

MIESIĘCZNIK Kurjera Polskiego



Zeszyt VIII.

za

SIERPIEŃ

1901.



TREŚĆ:

- I. Sześćset lat stosunków polsko-pruskich. *Czesław Jankowski.*
- II. Z papierów po Elsnerze, *Ferdynand Hoesick.*
- III. Przemysł domowy w Rosji.
- IV. Samko Ptak. Legenda słowacka przez *Juljusza Zeyera.* Przekład *Miriama.*
- V. Podbój pustyni (z rysunkami).
- VI. Z prasy. (Teatr Ludowy w Warszawie. Przeciw niechlujstwu).
- VII. Ze świata kobiecego (z rysun.) *E. Żmijewska.*
- VIII. Rozmaitości.
- IX. Kapitan Łamigłowa, powieść (z rysunkami).
- X. Miecz i Łokieć (powieść). *W. Gomulicki.*

Adres Redakcji: Ś-to Krzyska 34 (Jasna 2).

WARSZAWA.

Druk. M. Lewiński i Syn

Jasna 2, róg Ś-to Krzyskiej.

Składy Żyrardowskie

Krakowskie Przedmieście № 55 i Nowy Świat № 36

polecają:

PŁÓTNA. WYROBY POŃCZOSZNICZE. BIELIZNĘ.

Koldry, Dywany, Portjery, Firanki.

TOWARZYSTWO WZAJEMNYCH UBEZPIECZEŃ

Ziemiołodów od gradobicia

w Moskwie

działające w Królestwie Polskiem od r. 1877

przyjmuje na zasadzie bezwzględnej wzajemności ubezpieczenia ziemiołodów przeciw klęskom przez grady zrządzonym.

Dla ubezpieczeń w gubernjach Królestwa Polskiego zorganizowany jest oddzielny Okręg Warszawski, dotychczas zarządzany przez ś. p. Edwarda Epsteina, a nadal bezpośrednio przez samą Dyрекcję.

Kapitał zapasowy Towarzystwa na rok 1901 wynosi rb. 239274 k. 02.
Suma ogólna wypłaconego za szkody wynadgrózenia rb. 2691688 k 60.

Towarzystwo znajduje się w stosunku reasekuracyjnym z 2 najpoważniejszymi zagranicznymi Towarzystwami, zawarło zaś w roku 1901 ubezpieczeń w Królestwie na sumę przeszło 5,000,000 rubli.

Opłata składki w 2 ratach.

BIURO OKRĘGU

w Warszawie.

Do przyjmowania ubezpieczeń na prowincji upoważnieni są we wszystkich miejscowościach Korespondenci Towarzystwa

Dyrektor Zarządzający **W. Targoński.**

Sześćset lat stosunków polsko-pruskich.

Wspomnień historycznych kilka z powodu 200-letniej rocznicy powstania królestwa Pruskiego.

Dzisiejsze królestwo Pruskie Hohenzollernów, które, po zmożeniu Austrii Habsburgów, stało się rdzeną dzielnicą dzisiejszej monarchji zjednoczonych Niemiec, wyrosło na gruncie podbitych siedzib słowiańskich; rozwijało się, zrzucając z siebie stopniowo lenniczą zależność od byłego państwa Polskiego; stanęło wreszcie na stopie przynależnej samodzielnemu mocarstwu dopiero po przrzuceniu wschodnich granic swoich daleko w głąb zgładzonej z widowni świata Polski, której królom, zabiegając o łaski i przywileje, hołdowali protoplaści i antenaci rodu Hohenzollernów, zasiadającego dziś, w takiej pysze i majestacie, na cesarskim tronie.

Lat dwieście minęło właśnie od chwili, gdy w Królewcu, 18 stycznia 1701 r. korona królewska spoczęła na skroniach brandenburskiego kurfirsza Fryderyka. Jubileusz ów zamierzano upamiętnić solennie w Berlinie, wobec świeżo wzniesionych posągów wszystkich antenatów Wilhelma II. Wielkiej tej apoteozie przyglądać się mieli królowie i księżęta byłej Rzeszy,

uprzytomniając sobie wspaniały pochód *ad summum dominium* uprzywilejowanych margrabiów, kurfirsztów i królów, co wykuwali berło cesarskie dla pra-prawnuka. Zamierzonym długim uroczystościom kres nagły położył zgon królowej angielskiej. Nie mniej przeto prasa niemiecka i literatura uczciły obfitym wylewem uczuć i erudycji wspaniałe rezultaty zabiegów Hermana v. Salza, Alberta Brandenburg-Auspacha, Jana Zygmunta Hohenzollerna, Wielkiego Kurfirszta, Fryderyka II i Bismarka. Zaiste: trudno rozpocząć od marniejszego rzemiosła — od tępienia spokojnych swewów i wendów nad Szpreją oraz nawpółdzikich prusów nad ujściem Wisły, a trudno zająć wyżej — aż na aksamity cesarskiego tronu jednego z najpotężniejszych dziś mocarstw świata!..

Czyżby uwieńczenie tak wielkim blaskiem dziejowej kariery Hohenzollernów oraz losów prusko-brandenburgskiego państwa, które przez wieków tyle snuło przedzę polsko-pruskich stosunków, nie miało przemówić do wyobraźni naszej, do umysłu, a zwłaszcza do pamięci naszej? Dziejowych wspomnień naszych skarbnica bogata. Leżą tam w niej, ustosunkowane do siebie na zawsze ręką dziejopisów, światła i cienie. Na majestatyczny ów wizerunek przeszłości patrzeć dziś możemy z rozżaleniem nad przeminionemi klęskami i popełnionemi błędami, ale bez rumieńca na twarzy; sami spokojną ręką podnosimy z nad wizerunku tego zasłony wszystkie, aż do najbardziej przejrzystej, aby widocznym był błysk wszelki, co go żadne plamy przyćmić nie mogą. Godności by naszej ubliżało bądź co zatajać lub chełpić się buńczucznie minionym splendorem, kturemuśmy sami zczecznać pozwolili. Ustom naszym przystoi jedno tylko, spokojne lapidarne, prawdą nacechowane słowo: tak było! Przeszłości ono nie wskrzesza, ale uskrzydla przedziwnie myśl ludzką, daje jej zdolność wzniesienia się na te wyżyny, z których wzrok ogarnia znacznie szersze horyznty, niż skalę wypadków i stosunków dzie-

jowych. Wspomnienia, to zdrowa, świetna zaprawa sądów ludzkich. One im dają gruntowność, bezstronność, ową wreszcie szlachetną melancholję dusz, unoszących się wysoko po nad czasów dziwną przemianą...

Oderwijmy się przeto na chwilkę, jeśli wola, od chwili bieżącej, od jej bodaj najbardziej poruszających nas obrazów i stworzywszy dziejów karty, poddajmy im ochotnie wyobraźnię naszą. Za chwilę znajdziemy się — po nad wiekami. Z szybkością myśli roztaczać się pocznie przed nami ogromna panorama dziejów wzajemnych ścierań się i zmagañ dwóch narodów, dwóch państw, dwóch światów. Kilka, napozór martwych, dat i imion, wywoła nam przed oczy duszy obraz pełen chrzęstu i ruchu kresów mazowiecko-kujawskich z końca XIII wieku, potem znów kilka innych dat i imion uniesie nas dalej, wskazując po drodze wytyczne momenty coraz to inaczej kształtujących się tamże stosunków, aż wreszcie od etapu do etapu, taż sama siła wspomnień, coraz już lżej potrzebująca podniecać wyobraźnię naszą, wróci nas z wędrówki dalekiej napowrót na próg XX wieku, z kąd wybiegliśmy, zda się, przed chwilą, w przestrzeń dziejową.

I.

Tradycje krzyżackie opromieniające kolebkę przyszłych Prus królewskich. — Pojawienie się Zakonu Teutońskiego na granicy Mazowsza i starożytnej Prussji. —

Konrad Mazowiecki i Herman von Salza. — Państwo Krzyżackie osiada na politycznej widowni Europy.

Dzisiejsze królestwo Pruskie powstało ze zlania się ze sobą byłego państwa Krzyżaków i średniowiecznej Brandenburgji, nazwę swą wszelako wzięło nie od posiadłości kurfiurstów brandenburskich, ale od nazwy starożytnych *Prusów*, na których spustoszonych siedzibach

założonem zostało byłe państwo Krzyżackie. Wzięło nawet sobie za barwy państwowe kolory przypominające czarny krzyż na białym płaszczu krzyżackim, za herb wzięło sobie dwugłowego orła czarnego, co go wielki mistrz na tarczy ongi nosił, a najzaszczytniejszy znak orderowy pruski, ustanowiony przez Fryderyka Wilhelma III krzyż żelazny, kształt ma czarnego krzyża, rozpiętego ongi na płaszczach rycerzy Zakonu.

*Ich bin ein Preusse! Kennt ihr meine Farben?
Die Fahne weht mir weiss und schwarz woran...*

brzmi początek popularnej pieśni niemieckiej. A jeden z historyków monarchji pruskiej powiada: „Tak nawiązują owe szacowne symbole łączność doby dzisiejszej z dobą średniowieczną i nic tradycji snują po przez siedm stuleci“. Chełpliwości ludzkiej wrodzonym jest dążeniem opieranie się o jaknajbardziej oddalonych protoplastów. To też i Prusy dzisiejsze kładą gniazdo swoje między ujściem Niemna i ujściem Wisły, pod baszty Malboga, szcycąc się, iż kolebkę swą miały w potężnym polityczno-militarnym organizmie państwowym, stworzonym w XIII jeszcze wieku przez głośny w dziejach Zakon. Samodzielność państwa Brandenburgji znacznie później wykwitła i charakter jej początków mniej dogadza ambicji... Państwo Krzyżackie było, bądź co bądź, wytworem, dziełem, żelaznej energii i znakomitych organizacyjnych zdolności; ci, co je stworzyli, zawdzięczali wszystko — sobie samym. Brandenburgja dostała się w ręce Hohenzollernów z łaski cesarskiej, jako wspaniałomyślna nagroda za wysługiwanie się zapobiegliwe Habsburgom, a tradycje brandenburgskie nie mają siedmiowiekowej rozciągłości, sięgają tylko w wiek XV-ty. Tedy nietylko z historycznego przebiegu wypadków, ale i z wyboru uważają siebie dzisiejsze Prusy za nowoczesne studjum rozwoju dawnego państwa krzyżaków, za spokrewieńców ich mienia i tradycji. Z chwilą

przyjęcia wiary Chrystusowej przez Litwę, straciło rację bytu posłannictwo Krzyżaków na wschodzie Europy; zapewne, ale za dalszy rozwój owego posłannictwa — dowodzą historycy pruscy — możnaby uważać walkę w imię kultury z „barbarzyńskimi“ plemionami, powiedzmy narodami. W szerszym znaczeniu dzieło średniowiecznego Zakonu poprowadził dalej Fryderyk II, anektując dzielnice Polski XVIII wieku; jak ongi rycerze zakonni światło wiary, tak wniósł on tam dobrodziejstwa kultury. Tedy i pod względem ciągłości wiekowej *zadania*, ścisła istnieje łączność między „niespożytej chwały“ Zakonem a potężnymi dzisiejszemi Prusami.

Niemamy dobrej racji odwozić historjografów pruskich od tego punktu widzenia. Przeciwnie, z tego właśnie stanowiska patrząc na całe stulecia stosunków krzyżacko-pruskich do ościennych ludów i państw, ujawni się nam najdokładniej logiczna onych ciągłość, rozwijać się będzie przed nami konsekwentnie rozrost państwowy brandenburgsko-pruski, od chwili pierwszego cięcia krzyżackim mieczem po karku pogańskiego prusa, aż do pogardliwego szyderstwa rzuconego przez Bismarka w twarz posłom polskim w parlamencie berlińskim.

Początek dał dzisiejszej monarchji pruskiej w Europie książę Konrad Mazowiecki, wzywając dla obrony spustoszonych przez prusów dzielnic swoich zakon Teutoński walczący z poganami w Ziemi Świętej. Działo się to w 1226 r. Polska pierwszych Piastów wiodła zapamiętałe i przeciągłe boje ze starożytną Prusją ową, której dwanaście krain leżało szerokim pasem wzdłuż Bałtyku między ujściem Niemna i ujściem Wisły. Gorliwość apostolska, gniewna chęć pomszczenia zabójstwa św. Wojciecha popchnęła tam hufce Bolesława Chrobrego, który pierwszy ad majorem Dei gloriam jał burzyć i wyniszczać siedziby prusów spokojnych i nie wadzących nikomu, o których obyczajach, bezinteresowności i dobrych przymiotach chlubne da-

ją świadectwa średniowieczni kronikarze. Od tej da-ty rozpoczęła się walka. Spokojnych prusów opano-wała dzika zaciekłość; zmuszani opłacać daninę Pol-sce. raz po raz jarzmo zależności zrzucali z siebie, dając się krwawo we znaki ościennym pruskim dziel-nicom. Z ich pomocą o mało nie obalił tronu Kazi-mierza I współzawodnik Masław, ich to tępił Bolesław Śmiały, przez pruskie lasy przedzierał się z wojskami Krzywousty „szukał wojny i nie mógł jej znaleźć“ jak powiada Gallus — bo dzielny lud, broniący ojcowizny, cios zadawszy najezdcy cofał się w nadbałtyckie nie-przebyte puszcze, uchodząc pogoni. W borach tych i trzęsawiskach zaprzepaścił kwiat rycerstwa swego Bolesław Kędzierzawy, poległ tam książę Henryk San-domierski, a Polska, podziałami osłabiona, nie była zdolna pomścić klęsk owych. Prusja była nie do opa-nowania, prusowie nie do zwalczenia mieczem. Wów-czas to siłę znaczniejszą jeszcze wyprowadzono w po-le przeciw opornym prusom. Papież Inocenty III wy-słał na wschodnie kresy Germanji cystersów, a bisku-pem pruskim zamianował bogobojnego Chrystjana. Ochrzczeni przezeń prusowie dali braciom zakonnym pierwsze w Prusji ziemskie posiadłości a Chrystjan, zdobywszy tu oparcie nad Drwęcą, zwołał dla podbi-cia kraju — krucjatę. Papież Honorjusz ogłosił w 1218 r. szereg bull wzywających świat chrześcijański Nie-miec, Polski, Czech, Danji do ratowania misji zagroźo-nej nad Wisłą. Nieliczną krucjatę odparli prusowie zwycięzko; przenosząc walkę po za własne granice, pustosząc niemiłosiernie okolice Gdańska z jednej strony, Płocka z drugiej, zmuszając nawet księcia Ma-zowieckiego do złożenia im znacznej daniny. Chciano nawróconych prusów oderwać od wszelkiej wspólno-sci z ojczystym krajem; cesarz Fryderyk II, *divina fa-vente clementia Romanorum imperator semper augustus*, ogłosił, iż bierze nawróconych prusów, łotyszów i żemgałów pod swoją i państwową opiekę, wyjmuje ich z pod wszelkiej zależności od miejscowych książąt, słowem

otwiera przed nimi wszelkie przywileje obywatelstwa w państwie Germańskim; papież ze swej strony ogłosił, iż nawróceni poddanyymi być mogą tylko Boga i stolicy Apostolskiej. Nie pomogły nic przynęty. Nawróceni prusowie nie wyrzeli z lasów swoich; opornych nie wywabiły z siedzib ojczystych przyobiecane łaski cesarskie i papieskie. Oba głosy obity się o zdziczałe ostępy nie zrozumiane i zapewne wcale nie usłyszane. I te przeto zabiegi zawiodły. Wówczas to bezzaradny, wobec rozszalonego i rozzuchwalonego nieprzyjaciela, najbliższy sąsiad Prussji, Konrad Mazowiecki zdecydował się na heroiczny środek i — wezwał krzyżaków.

Dzielne ich sprawowanie się w Palestynie, rozgłos miało już powszechny, ale z drugiej strony niefortunne a świeże zajście z zakonem króla węgierskiego również obcem nie musiało być Konradowi. Wezwani dla obrony granic węgierskich od hord kumanów, tak ciężko dali się we znaki Węgom, taką rozwijać poczęli kolonizację gościnnej ziemi, zagarniając ją wprost na własność, iż król Andrzej zatrwożony takim poczynaniem sobie „obronców“ Siedmiogrodu, wygnał ich precz z Węgier (1225). Doświadczenie atoli węgierskiego króla, nie powstrzymało księcia Mazowieckiego. Olśnić go, przypuszczałnie, musiała postać majestatyczna ówczesnego wielkiego mistrza Zakonu, Hermana von Salza, doradcy i przyjaciela cesarskiego, męża słynącego słusznie z wielkiej bystrości umysłu i siły żelaznej charakteru. Przymioty te wydawały się Konradowi Mazowieckiemu, rękojmią dość bezpieczną dla mających się zacząć traktatów z Zakonem. Jakoż, nie wahając się dłużej, wystąpił z prośbą pokorną, ofiarowując Zakonowi szmat ziemi mazowieckiej pogranicznej w zamian za obronę Mazowsza od pogańskich prusów. Wielki mistrz przyjął propozycję nadspodziewanie skwapliwie. Książę mazowiecki, być może ani przypuszczał, jak bardzo w porę przychodziło jemu wezwanie. Stanowisko Zakonu

Teutońskiego w Palestynie było właśnie najzupełniej zachwiane. Jerozolima znajdowała się znów w posiadaniu niewiernych, zapal ogólny do ratowania Ziemi Świętej ostygł; zakony rycerskie opuszczały Palestynę; w ślad za nimi podążyć musiał pierwaj lub później zakon Teutoński; mistrz krzyżacki rozumiał to doskonale i szukał już punktu oparcia dla zakonu swego w Europie. Wezwanie księcia Mazowieckiego zjawilo się przed nim jak świt upragnionego dnia. Układ stanął. Zakon miał się osiedlić w ziemi Mazowieckiej.

Znaczna atoli część ziemi owej była w posiadaniu biskupa Chrystjana. Stało się to w ten sposób, iż Konrad Mazowiecki licząc wciąż na cystersów jako na przedmurze i teren wobec Prusji, posiadłości biskupie, drogą darowizny rozszerzał wciąż i rozszerzał, zaskarbiając sobie względy missji. Darował biskupowi Chełmno (Kulm), dzisiejsze miasto powiatowe w Prusach Zachodnich; darował mu 23 warowne osady, sto wiosek, znaczne siemi obszary, a nawet wyjednał od kapituły Płockiej odstąpienie biskupowi Chrystjanowi wszelkich jej w ziemi Chełmińskiej dotychczasowych posiadłości. Biskup, pan i władca tak pokaźnej siedziby, ufundował był na własną rękę zakon rycerski Braci Dobrzyńskich, którzy niewiele mu w poskramianiu prusów wprawdzie pomogli, ale również hojnie przez Konrada Mazowieckiego uposażeni zostali. Jedno z drugim biskup, rzec można, panował na znacznym obszarze chełmińskiej dzielnicy. A teraz miała ziemia, ta otrzymać współ-pana: Zakon Teutoński. Na mocy układu z biskupem, wziął przede wszystkim zakon w posiadanie Chełmno, które stało się rychło naczelnem miastem w całych Prusach, *urbs capitanea et principalis*, jako rezydencja od 1233 r. mistrzów prowincjonalnych pruskich (*Landmeister*), namiestników wielkich mistrzów krzyżackich. (Do Malborge stolicę dopiero w 1309 r. przeniesiono). Z niektórych ziem swoich miał biskup otrzymywać trzecią część plonów. Stosunek ten atoli nie trwał długo. Zakon jął coraz

bardziej zacieśniać lub wypierać prawa biskupie z zajmowanych posiadłości. Konrad Mazowiecki, bardziej już teraz wazący sobie zakon niż biskupa, przyznał zakonowi prawo do całej ziemi chełmińskiej. Biskup zaprotestował; zakon podcinając pretensje biskupie ogłosił, iż wszystko, co zakon posiada na granicy Mazowsza jest własnością — stolicy Apostolskiej! Papież Grzegorz IX przyjął dar, oddając go jednocześnie w używanie zakonowi, w zamian za niedużą roczną opłatę. Biskup został tym sposobem ze wszystkiego mienia wyzutym; wszczął proces w Rzymie i — przegrał sromotnie. Zakon Teutoński po ostatecznem ukończeniu wszystkich układów, traktatów, procesów i rozlokowawszy się na nowych siedzibach, ujrzał się panem niezależnym i władcą całej ziemi chełmińskiej, przyznanej mu prawnie przez Konrada Mazowieckiego w Kruszwicy; na dolę biskupa przypadła mała częśćka niegdyś posiadanych dóbr oraz prawo „kościelne” nad Kulmją i Prusją. Tego rodzaju gruntowne zabezpieczenie się na przyszłość było pierwszym dziełem, dokonaniem przez zakon zaraz na wstępie misyjnej działalności. W trakcie załatwienia tych spraw, pojawiały się w ziemi chełmińskiej tylko od czasu do czasu garstki rycerzy Teutońskich pod wodzą komturów, podczas gdy główne siły zakonu działały wciąż w Palestynie. Dopiero gdy wszystkie nadawcze i pramocne dokumenty księcia mazowieckiego znalazły się w ręku Hermana v. Salza, dopiero gdy w pożądanym granicach zamkniętą została władza biskupa pruskiego, dopiero gdy papież wydał bullę upoważniającą zakon do wojny z Prusją, dopiero gdy książę Mazowiecki wybudował dla przybyszów zamek warowny naprzeciw dzisiejszego Torunia — na wiosnę 1230 r. przybył nareszcie na Mazowsze pierwszy wojenny poczet Krzyżaków pod dowództwem landmistrza Hermana Balke, a w ślad za tem jął zakon cały przesiedlać się całym taborem z nad Jordanu nad Wisłę. Nastąpiła wreszcie chwila tak wyczekiwanego przez Konrada

Mazowieckiego niesienia pomocy jego zniszczonym dzielnicom; nastąpiło jednocześnie, u granic Mazowsza, na głęboko założonych podwalinach przyszłej potęgi krzyżackiej, panowanie Hermana v. Salza, istotnego protoplasty państwa pruskiego.

II.

Wzrost, rozkwit i upadek państwa krzyżackiego — Chrzciz Litwy. — Zakon na rozdwoiu. — Klęska pod Grunwaldem. — Traktaty Toruńskie. — Rozprzężenie się potęgi świeckiej Krzyżaków. — Polska zamiast zgładzić ich państwo z widowni świata, pod zwierzchnictwo ich tylko bierze swoje. — Wielki Mistrz Albert z Brandenburgskich Anspachów zamienia państwo zakonne na księstwo świeckie, przyjmuje reformę Lutera i hołd lenniczy składa królowi polskiemu, jako wasal
Polski dziedziczny

W lat dziesięć po przybyciu piewszych krzyżaków w Chełmińskie strony, prusowie zdali się na łaskę i niełaskę Zakonu; w ciągu dalszych lat niespełna pięćdziesięciu, powstało nad Bałtykiem znakomicie zorganizowane państwo Krzyżackie. Nie krzyżackie posiadłości ale krzyżackie — państwo, w najpełniejszym znaczeniu tego wyrazu. Prusja starożytna istnieć przestała. Zakon, załatwiwszy się z nią kilku potężnymi pchnięciami miecza w głąb prawiecznych borów, najeżdżał już zaniemeńskie zmużdzkie i litewskie dzielnice, zapuszczając się zwyciężkami pochodami aż pod Troki i Wilno. Przerażone Mazowsze paktowało uniżenie z potężnym — sąsiadem. W Malborgu rezydowali Wielcy Mistrzowie, a dwanaście podwładnych im komturów rządziło dwunastu prowincjami krzyżackiego państwa. Kraj cały, od Memla do Chełma, pokryła sieć osad warownych; między 1233 a 1416 rokiem powstało sześćdziesiąt miast, z których dwadzieścia, z Chełmem, Toruniem i Elblągiem na czele, otrzymało prawa miejskie, miastom nadmorskim udzielono pra-

wo lubeckie, miastom w głębi kraju leżącym prawo magdeburskie; puste obszary pozostałe po wytępieniu doszczętnem prusów, zaludniły się ludem wiejskim, tłumem napływającym z niemiec. Rycerze zakonni, nadciągający nad Bałtyk ze wszystkich stron Niemiec, pełnili obowiązkową służbę wojenną. Na obszarze wszystkich ziem krzyżackich zakipiało życie; zakwitły osady, wsie, miasta; rozwinęło się rolnictwo; na osuszonej delcie Wisły, między ujściem jej, a Nogatem, na obszarze czterdziestu mil kwadratowych, powstały przestrzenie żyznej gleby, zapobiegliwie uprawianej. W Chełmnie ufundowaną została akademja (w następstwie, od 1691 r. filja akademji krakowskiej, a w 1825 przekształcona na istniejącą do dziś dnia szkołę realną); jedna po drugiej powstawały szkoły parafjalne i ludowe. Niezależne od władz najwyższych zarówno kościelnych, jak świeckich, oparte na zwyciężkach podbojów łupach i plonach, silne organizacją wewnętrzną znakomicie przystosowaną do warunków bytu, dające obszerne pola do zgodnego współdziałania stanom, gdzieindziej waśniącym się ze sobą, militarne i urzędnicze zarazem, kierowane przez hartownych rycerzy, oraz wytrawnych jurystów i dyplomatów — stanęło państwo Krzyżackie u szczytu potęgi swej i świetności za rządów Wielkiego Mistrza Winricha von Kniprode, między rokiem 1350 a 1380. Nad Renem i Dunajem patrzano nań z dumą i zachwytem, zowiąc tę imponującą wschodowi placówkę „nowemi Niemcami“.

Czasy te blasku i chwały rychło miały przemiąć. Wojujący mieczem, od miecza zginąć musieli, zwłaszcza gdy dzwigająca ów miecz ręka w zniewieściałości osłabła, a wpijać się jąła pożądliwie w zdobyte bogactwa. Stoły krzyżackie pokryły się złotemi roztruhanami, a pancerze ich rdzą. Zakon mniszo-rycerski nie wytrzymał próby dobrobytu. Chciwość i rozpustne używanie dóbr ziemskich jąły toczyć państwowy organizm krzyżacki. Wyprawy na Litwę przerobiły się w rozbójnicze napady; misyjne wszel-

kie cele fikcją się stały, służąc tylko za pozór do dalszych zaborczych pochodów. Rozpasały się okrucieństwa, podstępny i gwałty. Współczesny piewca krzyżacki wypraw litewskich Zakonu, z cynizmem przyznaje: „co im doskwiera, nam rozkosz sprawia“ (*was in tut we, das tut nns wol*)

Już w 1343 r. mocą traktatu zawartego w Kaliszu, nie przewagą siły, ale podstępem zdobyto pas ziemi na lewym brzegu Wisły od Chełmna do morza, odcinając przez to posiadłości polskie od Bałtyku. Owoc zwycięstwa pod Płowcami udaremnił Rzym. nie dawszy poparcia królowi Łokietkowi przeciw Zakonowi bo Zakon, odmawiane dotychczas świętopietrze, nagle najpokorniej złożył Stolicy Apostolskiej. Temi drogami pójdzie odtąd Zakon aż nadto często; będzie niemi chadzał zwłaszcza z chwilą przyjęcia przez Litwę chrztu świętego. Było to dla Zakonu klęską najdotkliwszą z dotkliwych, Rzym pomimo najgorliwszych zabiegów przyznać już odtąd nie mógł racji bytu Zakonowi. Zakon tracił opokę, na której tyle razy znajdował oparcie. Więc cóż? Zwiąć państwo krzyżackie, jak ongi palestyńskie namioty? Szukać gdzie indziej innych jakich pogan i niewiernych? Zakon do pierwotnej organizacji swojej nie mógł już powrócić. Jedyne miał przed sobą wyjście: przeobrazić się jawnie i odwołać z misji *in partibus infidelium* w istotne państwo. Tak też i uczynił. Pociągnęło to za sobą zerwanie z Rzymem, ostateczne wyłamanie się z pod wszelkiej nawet łączności z Głową kościoła; konsenkwentnie na tej drodze miało państwo krzyżackie zająć z biegiem czasu do przeobrażenia się na państwo zupełnie świeckie, a w dalszym ciągu do przyjęcia Reformacji. Były to logiczne, nieodzowne następstwa — ochrzczenia się Litwy. Na tę drogę popchnął niejako Zakon król Jagiełło. On też zarazem nieustępującemu z nad granic Polski państwu krzyżackiemu zadał cios potężny, który stanowić miał

o losach organizacji państwowej Zakonu na daleką przyszłość.

Dnia 30 czerwca 1410 r., król Jagiełło przeszedł z wojskiem koronnem Wisłę pod Płockiem i połączył się z siłami litewskimi, nadciągającymi z nad Narwi pod wodzą Witolda. Dnia 9 lipca połączone wojska wkroczyły w granice państwa krzyżackiego. Dnia 15 lipca stoczoną została wiekopomna bitwa pod Grunwaldem i Tannenbergiem, zakończona zupełną klęską Krzyżaków. Rozbite ich wojska jeły cofać się ku Malborgowi. Król Jagiełło niedołącznie pościg poprowadził, zwycięstwa nie wyzyskał, nawet Malborga nie zajął, bronionego przez załogę, zdziesiątkowaną już przez głód i choroby. Cofnął się z pod stolicy krzyżackiej opuszczony przez Witolda, który zawistnem okiem patrzył na takie wzmaganie się potęgi króla polskiego. Jak morze po chwilowym odpływie, tak krzyżactwo jeło napowrót zalewać kraj, posuwając się odważnie ślad w ślad za cofającym się do ziemi Dobrzyńskiej wojskiem polskiem. Gdy Jagiełło stanął u granic polskich, państwo krzyżackie było znowu w posiadaniu Zakonu. Wysiłki atoli genialnego Henryka z Pławna aby kraj podźwignąć, umocnić, zorganizować na nowo, uzbroić, rozbił się o moralny upadek krzyżactwa, o brak posiłków z zewnątrz, o waśnie między władzą a podwładnymi. Po kilku niepomysłnych próbach przerzucenia walki w granice Polski, musiał rozpocząć rokowania o pokój, który też w Toruniu (1 lutego 1411) podpisanym został. Państwo krzyżackie traciło ziemię Dobrzyńską i Żmudź, ową Żmudź, jedyną podstawę do zaborczego rozwijania się, jedyne uprawnienie racji bytu w walkach z mnogimi tam jeszcze poganami! Oprócz tego, wyczerpany z zasobów państwowych Zakon, musiał w ciągu roku wypłacić 100 tysięcy kop groszy czeskich (mniej więcej 2 miliony rubli). We dwa lata po zawarciu traktatu, Henryk z Pławna, ostatni niepospolitej miary Wielki Mistrz Krzyżacki, oburzywszy na siebie surowością komturów

i mieszczan, złożonym został z urzędu. Na horyzoncie państwa krzyżackiego zgasł błysk ostatni dawnej świetności i chwały. Nastął długi zmierzch upadku. Po zniknięciu z widowni imponującej jeszcze postaci obrońcy Malborge, widzimy już tylko szamotanie się bezsilne wobec coraz to potężniej ugniatającego zakon wpływu Polski, widzimy w łonie samej państwowej organizacji krzyżackiej rozkład, podsycany nieustannymi waśniami. Zbuntowane przeciw władzy Wielkiego Mistrza Toruń, Gdańsk i Chełmno, poddają się Kazimierzowi Jagiellończykowi; wielka do kraju krzyżackiego przedsięwzięta wyprawa, oddaje w ręce wojsk polskich Malborg i zachodnią część państwa Zakonu. Zawartym wreszcie został drugi pokój w Toruniu (1466), potwierdzający nad państwem wielkich mistrzów władzę zwierzchniczą Polski.

W takim to rozprężeniu i upadku zakonnego państwa, nie tylko lenniczo zależnego od znienawidzonego sąsiada, ale zalewanego coraz szerzej przez szlachtę i lud polski, w tak ciężkiej doli, nadaremnie szukającego podtrzymania u cesarza i książąt niemieckich—powołanym został na mistrza wielkiego do Malborge młody margrabia Albert z rodu Brandenburgskich Anspachów. Dla czego wybór stanów i generalności krzyżackiej padł właśnie na młodzieńca, starającego się dopiero o przyjęcie go w szeregi rycerzy zakonnych, szukającego szczęścia i kariery na szerokim Bożym świecie, kołatającego o jakie takie, godne wysokich koligacji stanowisko, raz przy dworze cesarza Maksymiljana, to znowuż przy dworze króla czeskiego Władysława? Przymioty osobiste nie zalecały go wcale do zajęcia tak trudnego stanowiska, wymagającego dzielności charakteru obok dyplomatycznych zdolności. Nie liczył też Zakon na osobiste przymioty przyszłego wielkiego mistrza; całą swą nadzieję pokładał na — związkach rodzinnych, łączących go królewskim domem Jagiellonów, którego łaski i przychylność należało zaskarbić za będz jaką cenę. Mar-

grabia Albert był synem Jagiellonki, Zofji, a siostrzanem trzech królów polskich. To był jedyny jego tytuł do sterowania losami upokorzonego krzyżackiego państwa.

Ale, pomimo przymieszki Jagiellońskiej krwi, był Albert Brandenburski Niemcem, głęboko przejętym wspaniałością niemieckiej kultury, blaskiem potęgi cesarskich ówczesnych Niemiec. Z przyrodzenia łagodny, powolny, wrażliwy na piękno, miłujący naukę, nie miał w rządzonym przez się kraju sposobności rozwinięcia tych cennych przymiotów; okoliczności całkiem czego innego wymagały od wielkiego mistrza krzyżackiego, niż szerzenia oświaty i spokojnego rozwijania kulturalnych, odłogiem leżących dziedzin. Pchało go wciąż bądź do hardego stawiania się Polsce, bądź do szukania w Niemczech mścicieli za Grunwald i Toruń. Pomimo iż cesarz Maksymiljan, zabiegając o dobre stosunki z Polską i Węgrami, wykluczył był państwo krzyżackie ze związku z państwem Germańskiem, oddając one niejako na łaskę i niełaskę Polski, mistrz Albert peregrynuje miastami od Renu do Dunaju, zebrze pomocy, wstawiennictwa, posiłków u książąt, malując w czarnych kolorach położenie rozpaczne ziem zakonnych. Zabiegi bezskuteczne. Tedy Albert powołuje się na „niemieckość“ tej placówki kresowej germanizmu, na oddane tam przez niego samego zasługi sprawom germańskiej kultury.

Pomocy czynnej nie znalazł nigdzie mistrz Albert. Znalazł natomiast niespodzianie dobrą radę, bardzo dobrą radę, teraz właśnie, gdzie żadnego niespodziewał się współzucia dla swoich politycznych kłopotów. Wędrówki niewesołe odbywane po Niemczech, zawiadły go do Wittenberga, gdzie podówczas przebywał głośny już na świat cały Luter. Wielki reformator długą miał z wielkim mistrzem krzyżackim rozmowę. Wysłuchawszy wszystkich onego zażaleń i wniknąwszy w cały tragizm jego państwowych i osobistych okoliczności, wskazał mu Luter jedyną, jego

zdaniem drogę, prowadzącą ku pomyślniejszej przyszłości. Radą tą było: zrzucić z siebie całkiem już pozbawione praktycznego znaczenia, śluby zakonne, ożenić się i państwo krzyżackie uczynić państwem świeckiem.

Albert Brandenburgski zzymnął się, cofnął się przed tak heroicznym środkiem i odjechał, z wielką godnością, nie dając sobie nawet powtórzyć tak szalonej rady, ale w głębi duszy silnie nią poruszony. Sprzyjały wywartemu przez Lutra wrazeniu i wypadki, zaszłe tymczasem nad Bałtykiem. Sprawiający w krzyżackim państwie rady w zastępstwie nicobecnego wielkiego mistrza biskup Jerzy Polentz, jawnie przystał był do Reformacji. Czasu Świąt Bożego Narodzenia 1523 r. z ambony królewieckiej katedry sam ogłosił publicznie przystąpienie swoje do zasad wiary, ogłoszonych przez Marcina Lutra, a w parę mięcy potem rozesłany został po dyecezi całej reskrypt Polentza mianującego siebie „biskupem tylko z Bożej łaski“ W piśmie tem zalecał biskup podwładnemu swemu duchowieństwu studjowanie pilne pism Lutra. W ślad za tem pojawili się w Królewcu emisariusze Reformatora, apostołowie nowego wyznania wiary. Z kościołów królewieckich sprzątnięte zostały obrazy; pod nawami, ogołoconemi z ołtarzów zabrzmiał chóralny śpiew niemiecki, luterański. Albert Brandenburgski wróciwszy do kraju, znalazł przewrót religijny, dokonany niemal na całej przestrzeni państwa zakonu. Zgromadzone w Królewcu stany, uroczyście przysły błagać go, aby żonę pojął i świeckiem państwo zakonne ogłosił. Ważny ów krok nie mógł zostać dokonany bez przyzwolenia Polski. Rozpoczęły się rokowania. Osiągnęły one podwójny rezultat: sankcję Polski dla przeobrażenia politycznego państwa Zakonu, oraz ostatecznie i uroczyste konferowanie lennej zależności Albertowi Brandenburgskiemu. Akt ów doniosły, za zgodą pełnomocników Zakonu i przedstawicieli stanów pruskich, odbył się w Krakowie 10 kwietnia r. 155. W rę-

ce króla Zymunta złożył Albert Brandenburski lenniczą przysięgę i uroczyście otrzymał od niego w charakterze świeckiego wasala ziemie i posiadłości pozostawione byłemu Zakonowi Krzyżaków, traktatem drugim Toruńskim.

W ten sposób powstało świeckie książęce państwo Pruskie, przyjmawszy pod nową nazwę siedziby i organizację byłego państwa krzyżackiego. Książęce to państwo nowe, miało być zawiązkiem powstałego we dwieście niespełna lat potem królestwa Prurkiego, które w dalszej kolei rozwoju, połączone z Brandenburgją miało stać się zawiązkiem, powstałego w 1871 r. cesarstwa Niemieckiego.

Na progu tej drugiej z kolei epoki stosunków polsko-pruskich — podobnie jak na progu pierwszej stał Harman von Salza — stoi w 1525 r. Albert Brandenburski, były zakonnik, były wielki mistrz Krzyżacki, a obecnie dziedziczny książę lenny Pruski, — *Herzog, dux in Prussia*.

Pod mitrą książącą przeżył jeszcze Albert lat czterdzieści trzy, zostawując po sobie syna jedynaka słabego na ciele i umyśle, niemal niedołęznego całkowicie, którego dla, utrzymania książęcej dynastji, ożeniono z córką księcia na Clave, Wilhelma. Nawpół zidjociały Albert Fryderyk wstąpił na tron książęcy w 1568 r. ale nadzieje pokładane w małżeństwie jego zawiiodły; na świat przyszły tylko córki, ostatnie odrośle rodu Brandenburskich Anspachów. Dwie z nich miały w następstwie poślubić dwóch Brandenburskich Hohenzollernów, uprawniając mężów swoich do zagarnięcia spadku księstwa pruskiego po wygasłej linii spokrewnionych z nimi Anspachów,

III.

Brandenburgja. — Pojawienie się jej i ukształtowanie się jako państwo między Odrą i Elbą. — Podbicie i wytępienie plemion słowiańskich. — Początek i przebieg rządów Hohenzollernów nad Brandenburgją. — Ciężenie jej ku byłemu państwu krzyżackiemu. — Pierwsze więzy zadziergnięte między obu organizmami państwowemi. — Plany Hohenzollernów i ich urzeczywistnienie. — Prusy pod kuratelą Brandenburski. — Kurfirsz Brandenburgski dux in Prussia. — Stosunek Polski do Brandenburgji i Prus w roku 1618.

Podczas gdy ów szereg wypadków krystalizował powoli, w ciągu trzech wieków, księstwo Pruskie nad górną Wisłą, powstawał między Odrą a Elbą inny aglomerat państwowy — Brandenburgja. Powstał nie tak szybko jak państwo Krzyżackie. Podbicie i wytępienie nadbałtyckich Prusów dało się o wiele łatwiej skutecznie niż doszczętne wyniszczenie swewów i wendów nad Elbą i Odrą. Dzielne plemiona te słowiańskie stawiały długi i zacięty opór germanom. Walka eksterminacyjna rozpoczęta z nimi mniej więcej w 900 roku, trwała około półtrzecia stulecia. Dopiero Albert von Ballenstädt z rodu Anhalskiego krzyżem i mieczem ujarzmił lud broniący rozpacznie miedz swoich i, świętych gajów. Chrześcijaństwo i germanizacja zalały jednocześnie starożytną Brandenburgję; ostatni jej władca słowiański Przybysław chrzest przyjął, a sam bezdzietny, ustanowił za spadkobiercę swego, możnego najeźnika wspomnianego Alberta, zwanego Niedźwiedziem. Jakoż po śmierci Przybysława w r. 1150 nastąpionej, objął Albert skwapliwie to dziedzictwo i wówczas dopiero kolonizacja niemiecka między Odrą a Elbą zyskała silną i trwałą podstawę. Opierali się jeszcze przez czas pewien wendowie; walkę zacieklą wiódł jeszcze legendowy ich wódz Jaczo, ale bohaterские wysiłki na nic się zdały; wendowie legli bądź z bronią w ręku, bądź chrzest przyjęli, a rychło szczątki zdziesiątkowanego plemienia straciły wszelkie narodowościowe cechy. Na zgliczczach osad wendeń-

skich założony został Berlin, przyszła Prus, przyszła państwa Niemieckiego stolica.

I oto nad Brandenburgją, nad niedużym kraikiem rozciągającym szachownicą szczupłe ziemie swoje między Odrą a Elbą, rozpoczęły się rządy margrabiów (Markgrafów) Anhalskiego domu. Potem rozdrabiane i znów skupiane ze sobą brandenburskie ziemie przeszły w posiadanie rodu Wittelsbachów, aż wreszcie, wskutek wojen, zatargów, waśni i układów między możnemi rodami niemieckich książąt, własnością stały się Luksemburgów. Luksemburgów ród poszedł wysoko. Cesarzem Niemiec obwołano Luksemburga i właśnie o tym czasie, kiedy król Jagiełło zadawał cios okrutny państwu krzyżackiemu pod Grunwaldem, biedził się cesarz Zygmunt nad utrzymaniem jakiego takiego ładu i porządku w pozostającej na Boskiej opiece Brandenburgji. Istotnie, jakoby opatrność czuwała nad przyszłością Prus. W chwili gdy zawisły zda się na włosku losy macierzy pruskiej nad Bałtykiem, położone zostały tuż opodal powaliny drugiej, by się tak wyrazić, kolebki pruskiej, drugiej prądzielnicy pruskiej, która z czasem miała upadające dziedzictwo krzyżackie podtrzymać, wzmocnić i do dalszego, jeszcze świetniejszego rozwoju poprowadzić. W chwili akurat, gdy mało brakło do zupełnego zgładzenia z widowni świata organizmu państwowego stworzonego przez zakon Teutoński — mała, marna, rozbita blizka Brandenburgja otrzymała rząd silny oraz samodzielność, otwierającą przed nią przyszłość kulturalną i polityczną.

Był przy boku cesarza Zygmunta, wierny adherent, zaufany doradca, sługa oddany a zarazem druh dzielny i rozumny: Fryderyk VI z rodu Hohenzollernów, burggraf norymberski. Cesarz Zygmunt, pragnąc z jednej strony wywdzięczyć się Hohenzollernowi za służbę gorliwą i wierność nieskazitelną, a z drugiej strony zabiegając o dobro Brandenburgji, której stanu poprawą osobiście zając się nie mógł — powie-

rzył Fryderykowi Hohenzollernowi namiestnictwo, niemal nieograniczone, Brandenburgji owej. Stało się to w rok po bitwie Grunwaldzkiej, 1411 r. Nie poprzestał cesarz na konferowaniu ulubieńcowi swemu tego doniosłego urzędu. Pragnąc władzę jego w Brandenburgji bardziej jeszcze umocnić, postanowił samodzielnie uczynić go w Brandenburgji panem i władcą. Hohenzollern jako margrabia Brandenburski mógł w dodatku silnie ważyć w cesarskiem stronnictwie i większe jeszcze usługi oddać Luksemburskiej ewentualnej dynastji, niż na stanowisku nawet najzaufanego ministra i namiestnika. Tedy w 1415 r. darował cesarz Zygmunt Brandenburgję Fryderykowi Hohenzollernowi i jego potomkom. Inni mówią: sprzedał. Dar to był, czy też była to sprzedaż? Różnica zdań urosła ztąd, że w nadawczym dokumencie cesarskim znalazł się istotnie niepowszedni kodycył. Oto: ród Luksemburgów mógł w każdej chwili Brandenburgję od Hohenzollernów odkupić, wnosząc im 400 tysięcy guldenów! Nie dość na tem. W razie, jeżeliby Fryderyk VI Hohenzollern powołany został na tron cesarski, obowiązany był Brandenburgję Luksemburgom zwrócić! Istotnie, dar, takimi otoczony zastrzeżeniami, niemal całkowicie traci charakter darowizny. Historycy niemieccy tłumaczą, iż zastrzeżenia te zgoła żadnego nie miały znaczenia, albowiem: raz, ród Luksemburgów był już wówczas na wygaśnięciu, a powtóre Luksemburgowie tak wiecznie w kłopotach byli finansowych, iż marzyć z nich nie mógł żaden o wykupieniu Brandenburgji za tak znaczną sumę. Istotnie, faktycznego znaczenia cesarski kodycył nigdy mieć nie miał. Hohenzollern nie został cesarzem, Luksemburgów ród wygasł i potomkowie Fryderyka VI (czy raczej Fryderyka I jako pierwszego margrabiego Brandenburskiego), żadnego już demoklesowego miecza kodycyłowego nie mając nad sobą, legalnymi, bezsprzecznymi byli odtąd i są po dziś dzień władcami Brandenburgji. W roku 1417, w Konstancji nastąpiło ostateczne i uro-

czyste konferowanie Fryderykowi nowej posiadłości, do której też nie zwlekając odjechał.

Silne jego i rozumne rządy rychło dźwignęły prowincję z upadku; nie do tego atoli stopnia, aby Brandenburgja skuteczną dać mogła pomoc uciskanemu srodze sąsiadowi swemu, Zakonowi. Porwał się Fryderyk przeciw Jagielle, ale animusz swój musiał niebawem ukoić. Cesarz Zygmunt potrzebował przychylności i przyjaźni polskiej i szarpnął silnie margrabiego za rękę śmigającą już podniesionym mieczem; od południa zaczął Brandenburgję Ludwik Bawarski; arcybiskup magdeburski, na którego sojusz liczył Fryderyk, jał czynić potężnej Polsce najprzyjaźniejsze awanse. Musiał Hohenzollern poddać się okolicznościom, miecz w pochwę wpuścić, dać za wygranę pomaganiu Zakonowi, a natomiast wejść pełnemi żaglami w jaknajlepszy z królem Jagiełłą stosunek. Takie było pierwsze zetknięcie się Brandenburgji z Polską. Rezultatem jego była podróż margrabiego do Krakowa, zawarcie tam (1421) sojuszu zaczepno-odpornego z Polską, oddanie syna, młodego Hohenzolerna Fryderyka, na dwór krakowski dla kształcenia się i wychowania, oraz zaręczenia onego z córką Jagiełły, Jadwigą, domniemaną wówczas spadkobierczynią polskiego tronu.

Niefortunnym okazał się ów polityczny manewr. Dogodził Hohenzollern cesarzowi, wchodząc w zażyłość z Polską, ale oto brat króla polskiego Witold umyślił nagle sięgnąć po koronę czeską, aby stanąć na czele husytów — przeciw cesarzowi Zygmuntowi. Dalej traktat zawarty w Krakowie obowiązywał do dania Polsce posiłków zbrojnych — przeciw Zakonowi. Wreszcie rachuby matrymonjalne zawiodły. Sędziwemu królowi Jagielle powiła żona w 1424 r. syna, zwanego w następstwie Warneńczykiem i Hohenzollern zamiast być kiedyś królem polskim mógł jedynie być szwagrem króla polskiego, co koligacją jest niezaprzeczenie piękną, ale w tym wypadku niewystarczającą.

Pierwsze przeto zetknięcie się margrabiego Fryderyka z Polską i wielką polityką europejską, dało mu jedynie rozczarowania i zawody, stawiając go w sytuacji niewygodną i drażliwą. Nie wywikłał się z niej ani on, ani syn jego. Następcy jego margrabiowie Brandenburgscy Albert Achilles, Jan Cycero, Joachim Nestor zajęci głównie sprawami, rozgrywającymi się na widowni cesarstwa, utrzymują tylko w dyplomatycznym wahaniu się stosunki z Polską, nie narażając na żadne ani przeciw niej ani z nią hazardy młodego państwa, potrzebującego wewnętrznego silnego zorganizowania się oraz ugruntowania się na samodzielnym stanowisku wśród rzeszy księstw i księztwek niemieckich. Zbyt silnie zależną jest wciąż Brandenburja od korony czeskiej, a zbyt drugorzędną wobec znaczenia potężniejszych innych dzielnic niemieckich, aby na własną rękę szerszą jaką okazję polityczną rozwinąć mogła nie oglądając się na nikogo.

Powołanie na wielkiego mistrza Alberta Anspacha, bliskiego krewnego margrabiego brandenburskiego Joachima I (ojciec wielkiego mistrza był wujem (*Oheim*) margrabiego) podnosiło pośrednio znaczenie Brandenburgji, ale nastąpienie w 1525 r. przyjęcie przez tegoż Alberta wasalstwa polskiego znowuż na niekorzyść Brandenburgji przesunęło stosunki politycznej przewagi na wschodzie. Dopiero Joachim II jako jej kurfirszt (kurfürst) Brandenburgski, przyjąwszy w 1539 r. reformację Lutra (wbrew oporowi małżonki swej Jadwigi, córki króla polskiego Zygmunta I, polki i katoliczki), wzmocniwszy stanowisko kraju swego w Niemczech, rozpoczął na szerokie perspektywy dziejowe otwartą akcję polityczną, nawiązując z Polską nowy okres stosunków. Asumpt do akcji tej dało mu spokrewnienie się z panującym domem Jagiellonów.

Byłe państwo Krzyżackie, Prusy książęce, jak oaza niemiecka pod zwierzchniczym płaszczem królewskim polskim, zdawały się jedną tylko mieć przyszłość przed sobą: roztopienie się w państwie, z którym w len-

niczą wstąpiły zależność. Przyszłość tę uwydatniało jeszcze jaskrawiej niedołęztwo jedyne go potomka linii męskiej Alberta Anspacha. Gdy przejdą w ręce takie Prusy książęce — już po nich, już po placówce germańskiej, a granice Polski oprą się o lany brandenburskie. Jedyne dla dziedzictwa krzyżackiego ratunek: łączność jak najściślejsza z Brandenburgją, spokrewnioną w osobie panującego kurfirsztą z panującą tam książęcą pruską linią Brandenburskich Anspachów, spokrewnioną z dziedzictwem krzyżackim więzami narodowości i kultury niemieckiej. Jak atoli osiągnąć tę łączność? Drogą podboju? Sił nie starczy. Drogą dopomożenia Albertowi do zrzucenia zwierzchności lenniczej? I na to Brandenburgja porwać się nie jest w stanie. Pozostaje jedyne wyjście. Brandenburgja powinna dzielić losy i stanowisko Prus książęcych — do czasu. Niech do czasu obie te dzielnice, oba te organizmy państwowe pod zwierzchnictwem będą berłem Polski. Sromotność tej zależności wynagrodzi kiedyś wybiecie się wspólnymi siłami z pod tego zwierzchnictwa. Wspólne wasalstwo — oto jedyny w chwili obecnej sposób zlania ze sobą dwóch organizmów państwowych, oddzielnie słabych, ale w połączeniu, bodaj sromotnem, stanowiących poważny zaczątek przyszłej potęgi. Na teraz chodzi tylko o przyłączenie się do każdorocznego aktu hołdowniczego składanego przez księcia Pruskiego wobec króla Polskiego. Potem: przyjdą starania o objęcie opieki nad niedołężnym synem Alberta. Dalej: zagarnięcie, z dopuszczenia Polski, spadkobierstwa po najprawdopodobniej bezdzietnym księciu pruskim. I wówczas zlanie się Brandenburgji i Prus — dokonaniem. Natenczas pomyśleć będzie można o zrzuceniu wstrętnego zwierzchnictwa Polski na przestrzeni pięknego już kawałka ziemi od Niemna do Elby! Tak rozumował kurfirszt Brandenburgski Joachim II, poglądając na wschód, ku dziedzictwu gnuśnego potomka Brandenburskich Anspachów. Pod siecią atoli tych dypl-

matycznych konjunktur, kryła się myśl zasadnicza: zagarnięcie Prus, przyłączenie ich w ten lub owy sposób do Brandenburgji.

Kurfirszt rozpoczął akcję od ofiarowania teściowi swojemu, Jagiellonowi, zwierzchnictwa nad Brandenburgją. Oto podczas dorocznego składania uroczystego hołdu przez książąt pruskich, przedstawiciele stanów brandenburskich mieli mieć prawo, klękawszy jednocześnie z księciem pruskim przed tronem króla polskiego, ująć za chorągiew pruską, biorąc na siebie w ten sposób znamię współlennictwa i składając następnie w imieniu pana swego lenniczą przysięgę. Król Zygmunt prośbie tej odmówił. Domniemanie przez wzgląd na przyjęcie przez Brandenburczyka reformy Lutra.

Kurfirszt ponowił propozycję swoją, gdy na tronie polskim zasiadł Zygmunt August, w sprawach religijnych tolerant. I tym razem atoli zabiegi spełzły na niczem. Kurfirszt pocieszał się rojeniami o tem, że syn jego z Jadwigi Jagiellonki urodzony, być może, kiedyś, weźmie koronę polską w spadku po bezdzietnym Zygmuncie Auguście... Syn ów tymczasem, wyznaczając na ową świetną przeszłość, piał się w górę po szczeblach hierarchji, kościelnej i arcybiskupa magdeburckiego piastował dostojęństwo, ale nie sądzonem mu było ziścić nadzieje ojcowskie; umarł w 1566 r. Inna okoliczność natomiast poparła starania poselstw Brandenburskich, wciąż kołatających u dworu polskiego o wspólne z prusami lennictwo. Kurlandzki *herzog*, Gotthard Kettler przyjął był właśnie wasalstwo polskie i ciężkie zadanie ochraniania Kurlandji od najazdów Szwecji i Moskwy przypadło w udziale Zygmunutowi Augustowi; tedy związek z Brandenburgją wydał mu się korzystnym. Na sejmie w Piotrkowie 1562 r. postanowiono uczynić zadość domaganiom się kurfirszta, a gdy po śmierci księcia Alberta, szesnastoletni syn jego Albert Fryderyk przystępował do hołdu w Lublinie, dopuszczono do złożenia lenniczej przy-

sięgi i przedstawicielei Brandenburgji. Wykonali ją brandenburgczycy trzymając dłonie na sztandarze pruskim, w znak upragnionej łączności z pobratymczem księstwem. Łączność ta, otwierająca wspomniane widoki na przyszłość, była też osłoda obowiązków lenniczych, które Brandenburgja względem Polski brała na siebie. To też, z racji przystąpienia do współwasalstwa, odprawione we wrześniu 1569 r. w Berlinie festyny, wyrazem były przedewszystkiem — radośnej nadziei na przyszłość. Słabe Prusy weszły w tory przewidującej i wytrwałej polityki potężniejszej Brandenburgji.

Zdobyty przywilej należało już teraz utrzymać. Należało już teraz baczyć pilnie, aby zdobyta wspólność, ciągłość miała nieprzerwaną bez względu na to, kto na polskim tronie zasiada. Chodziło już teraz o odnawianie jej przez kolejnych królów polskich. To też, gdy Henryk Walezy z Francji jechał do Polski, kurfirszt brandenburgski Jan Jerzy, każe go uroczyscie w Halli spotykać; u granic Brandenburgji wita nowego króla polskiego francuską przemową pierwszy kurfirszt minister, a we Frankfurcie nad Odrą pięć dni popasa król Henryk, podejmowany wspaniale przez — wasala swego. Osobiście i oficjalnie witać Henryka nie ważył się kurfirszt ze względu na stosunek swój do cesarza niemieckiego, ale w ścisłym *incognito* zjawił się wszelako we Frankfurcie, czołobitność składając i skarbiąc łaski przyszłego swego zwierzchnika. Wykosztował się atoli kurfirszt nadaremnie. Król Henryk tak krótko koronę polską piastował, iż czasu mu zabrakło dla wywdzięczenia się Brandenburgji za komplementa i owacje. Tedy kurfirszt, idąc w ślady ojca, forytować jął na tron polski syna swego Ernesta. Kontrkandydat znalazł się w osobie samego cesarza niemieckiego Maksymiljana; temu już z drogi ustąpić kurfirszt musiał, a zaś niebawem obu kandydatów prześcignął Stefan Batory, obrany królem polskim. I znowu kurfirszt przechowując tra-

dycję ojcowską, w najlepszych z nowym królem stosunkach. Pomaga mu Gdańsk ujarzmiac, skarb polski znacznymi pożyczkami zasila. A w zamian w zamian domaga się już nietylko współwasalstwa z Prusami, ale i naznaczenia dla niedołęznego księcia Pruskiego rządcy i mentora w osobie krewnego zarówno Anspachów jak Hohezollernów, herzoga Jerzego Fryderyka Anspacha. Pomimo oporu magnatów, król Stefan uczynił temu życzeniu zadość i w lutym 1578 r. w Warszawie lenniczą przysięgę znów wspólnie i jednocześnie wykonali książę pruski i przedstawiciele Brandenburgji, a „gubernatorem“ Prus zamianowany został Niemiec Anspach.

Gdy tak rzeczy stanęły, gdy po śmierci Batorego, mądry kurfirszt najslabszego nie dał poparcia kandydatowi na tron polski, arcyksięciu Rakuskiemu a Zygmunt III, wywdzięczając się za to, pozwolił mu w 1589 r. odnowić lenniczą przysięgą — postanowił kurfirszt uczynić dalszy krok w dziedzinie spraw pruskich. Gubernatorstwo Anspacha w Prusach nie wystarczało. Aby wzmocnić więzy Brandenburgji i Prus, należało teraz starać się o osobistą samego kurfirszta brandenburgskiego kuratelę nad niedołęznym Albertem Fryderykiem. A potem ... potem dałoby się może wykołatać u Polski następstwo Hohenzollernów na tron książęcy pruski, pozostały bez potomka męskiego rodu Anspachów.

Przedewszystkiem, kładąc kamień węgielny tych planów, rozpoczął kurfirszt Jan Jerzy od zadziernięcia ścisłych i bliskich związków rodzinnych między własną dynastją, a wygasającym rodem Anspachów. Wnuka swego ożenił z Anną, zórką zidjociałego księcia pruskiego. Syn kurfirszta, który po śmierci jego w 1597 r. objął rządy Brandenburgji, jako kurfirszt Joachim Fryderyk poszedł dalej jeszcze w tym kierunku. Sam, mając 57 lat, pojął za żonę drugą dwudziestoletnią córkę księcia pruskiego. W ten sposób w 1601 roku sam kurfirszt panujący brandenburgski i następ-

ca tronu, ożenieni byli z jedynemi dwoma córkami bezdzietnego w linii męskiej, dogasającego w umysłowym zamroczeniu księcia Alberta Fryderyka. Któżby mógł przeczyć, że to wskazani, naturalni dlań opiekunowie! W tym też duchu wniósł kurfirszt Joachim Fryderyk kwestję przed forum obrad sejmowych warszawskich. Zwłaszcza gdy kurfirszt wystąpił z propozycją nadania mu tytułu „księcia na Prusach“ (*dux in Prussia*) oraz przyznania rodowi Hohenzollernów następstwa po wygaśnięciu w księstwie rodu Anspachów. szlachta gorąco i stanowczo zaprotestowała. Ale król Zygmunt III z innego patrzył punktu widzenia na sprawę całą. Już był rozpoczął nieszczęsny zatarg o prawa swoje do korony szwedzkiej i potrzebował sojuszu i pomocy, silnej już bądź co bądź Brandenburgji. Sejm jednogłośnie niemal domagał się zupełnego anektowania do Polski księstwa pruskiego po śmierci ostatniego Anspacha. Zygmunt III przeciwnie, pragnął oddać Prusy pod nieograniczoną niemal opiekę Brandenburgji w zamian za obiecaną pomoc zbrojną i pieniężną. Kurfirszt bowiem, ośmielony przez skład okoliczności dających mu piękne w rękę atuty, postawił był śmiało i otwarcie warunki swoje: za przyznaną mu „opiekę“ nad Albertem Fryderykiem, za potwierdzenie dla Hohenzollernów następstwa tronu książęcego w Prusach, za tytuł dla niego i potomków *dux in Prussia* — pomoc Polsce przeciw Szwedom i 400,000 guldenów do polskiego skarbu.

Nie chciała tego fatalnego układu szlachta polska, opierała się zamysłom brandenburskim szlachta pruska, mieszczaństwo pruskie. Król Zygmunt Waza uparł się przy popieraniu polityki Hohenzollernów. Bardziej mu chodziło o prawa do korony szwedzkiej, niż o dobro Polski. Szwedzkim interesom swoim miał niebawem poświęcić krew i mienie dwóch pokoleń narodu polskiego; poświęcić miał przyszłość wspaniałego państwa Batorego; cóż wobec tego znaczyło poświęcenie jakiejś tam nadgranicznej prowincji!

W trakcie układów, pasowań się sejmu i króla, w trakcie dojrzewania plonów polityki brandenburskiej umarł kurfirszt Joachim Fryderyk, a syn jego Jan Zygmunt do tego stopnia zajęty był popieraniem planów ojcowskich, iż na wieść o śmierci ojca i opróżnieniu brandenburskiego tronu, nawet z Królewca nie ruszył się. Tam, nie w Berlinie, było dlań główne pole do działania, tam, nie nad Szpreją ważyły się właśnie przyszłe losy przyszłego państwa Hohenzollernów. Kurfirszt Jan Zygmunt kuł w Królewcu żelazo rozpalone przez mądrość polityczną ojca i zaślepienie graniczące ze zdradą stanu króla Zygmunta. Im silniej stany pruskie i szlachta polska parły króla do przyłączenia absolutnego Prus do Polski, tem silniej opierał się król, patrząc w oczy kurfirsztowi. Porozumiewali się

Wydanie Prus książęcych Hohenzollernom brandenburskim dokonaniem zostało między rokiem 1605 a 1611. U kresu tymczasowego etapu zaborczej polityki swojej stanęła Brandenburgja; ostatecznie w r. 1618, gdy zgasło na książęcym tronie pruskim tlejące marne życie ostatniego Anspacha. W roku tym, 1618, po dokonaniem przez króla Zygmunta przeobrażeniu, stosunki polsko - pruskie, układ miały następujący: Brandenburgja Hohenzollernów, tworząca państwo silnie zorganizowane przez zagarnięcie nadreńskich księstw Jübich Cleve, wzrosła do 1472 mil kwadratowych obszaru, faktycznie panuje nad byłem państwem krzyżackiem, rozciągając władzę swoją aż bezpośrednio do granic Polski. Kurfirszt brandenburski zajął stanowisko dawnych wielkich mistrzów i książąt pruskich; ma w Królewcu rezydencję swoją jako dziedziczny *dux in Prussia* i w tym charakterze wasal Polski, ale już potężny, iż o dobrą wolę jego i przyjaźny z nim stosunek zabiegać musi Polska bardzo pilnie. Kurfirszt brandenburski rządzi od Niemna do Elby, coraz ma większe znaczenie wśród rzeszy książąt niemieckich, a jeśli w charakterze księcia pruskie-

go wasalstwo polskie znosi, to jedynie dla tego, że da-
ję mu ono wstęp do Prus, że mu ono w wielu spra-
wach politycznej natury dogadza, że moralnie tylko
mu ciąży, że jest wreszcie nieuniknionym stopniem do
coraz już bliższego celu, do zrzucenia z siebie połą-
czonemi brandenburgsko-pruskiemi siłami i środkami
tytularnego już zwierzchnictwa Polski, do stworzenia
tuż bezpośrednio przed wielką, ale rozprzegającą się
Polską, nowego, mocnego państwa, o którym marzyli
tylko kolejno, Herman von Salza i Hohenzollern
Fryderyk I.

Czesław Jankowski.

d. c. n.

Z papierów po Elsnerze

1769 — 1854.

Przyczynki do historii teatru i muzyki w Polsce

Przygotował do druku i objaśnieniami opatrzył

Ferdynand Hoesick.

VII.

... A tak się żegnają nie wrogie
Lecz dwa na słońcach swych przeciwnych bogi!

Dziwną jest dusza artysty! Ile razy zdarzyło się, iż takie „dwa na słońcach swych przeciwnych bogi“ jednocześnie pracowały dla sztuki i... chwały własnej, zawsze dzieliły ich antagonizmy, mające swe źródło w podrażnionej ambicji i małości natury ludzkiej. Najświetniejsze umysły, najwznioślejsze duchy, największe genjusze artystyczne, nie potrafiły się wznieść ponad płaskie pewniki psychologii konkurencji: dopóki sami wspinali się po stromych urwiskach Parnasu, dopóty w niczem nie uchybiali swej prawdziwej wielkości, ale niech tylko trafił się współzawodnik, w tej

chwili ukazywała jadowite swe żądło najpospolitsza rywalizacja, odzywały się niesprawiedliwe i krzywdzące sądy i insynuacje, odrazu wyłaziło sztydło z worka, a tem sztydłem była zawsze źle tajona miłość własna, próżność, pycha. Michał Anioł nie znalazł nigdy słówka pochwały dla Rafaela, któremu w stosunku do siebie przypisywał najniegodziwsze pobudki; Beethoven wygadywał na Mozarta, któremu między innymi nie mógł darować *Don Juana*; nawet w tak harmonijnym na pozór stosunku, jak Goethego i Schillera, dużo było kwasów i dysonansów, a o zatargach Mickiewicza ze Słowackim chyba przypominać nie trzeba... A to samo da się powiedzieć o stosunku Thalberga i Liszta, lub o przyjaźni tego ostatniego z Chopinem.

Elsner miał od chwili prawie swego przyjazdu do Warszawy takiego „przeciwnego boga“ w Karolu Kurpińskim. Ztąd naprężony stosunek pomiędzy nimi, ztąd i niekoniecznie pochlebna charakterystyka Kurpińskiego w pamiętnikach Elsnera.

A poświęcił mu w pamiętnikach swych cały rozdział, i to jeden z najdłuższych, co dowodzi, jak dalece myśl o autorze *Cecylii Piaszczyńskiej* leżała mu na sercu.

Oto historia tej rywalizacji, tak, jak ją opisuje Elsner. Kurpiński, którego pamiętniki również czekają na opublikowanie, pewno ją przedstawia inaczej, korzystniej dla siebie.

— W roku 1809, gdy polskie towarzystwo teatralne udało się do Krakowa, ja z żoną pozostałem w Warszawie, co się Bogusławskiemu nie podobało... Na moje miejsce pojechał tam Maar, pozostały dyrektor muzyki z niemieckiego teatralnego towarzystwa Bogusławskiego, z którym już dawniej łączyły nas stosunki przyjaźni, ponieważ życzyłem sobie, aby był zamówiony do nas w celu wyuczania chorów i podrzędnych ról w operze; w skutek czego Bogusławski jednocześnie zmuszonym się znalazł stworzyć przy polskim teatrze drugą jeszcze prócz mojej posady. Tak się też stało; a gdy ów Maar w roku 1810 w Warszawie zmarł, jego miejsce znalazło się nie zajętem.

W tym czasie przedstawił mi się Kurpiński i osobiście wręczył list własnoręczny, polecający go jako zdolnego, ale

zapomnianego muzyka. Wszedł on do mnie w czasie obiadowym, co mnie spowodowało, że go prosiłem, aby następnego dnia rano do mnie powrócił dla dłuższego i szczegółowego z nim rozmówienia się. Między innemi gośćmi znajdował się u mnie na obiedzie Kaczkowski artysta i wirtuoz skrzypcowy, znany z wielu utworów swych wydanych w Lipsku u Breitkopf et Hertel, przybyły ze Lwowa. Dałem mu do przeczytania wręczony mi przez Kurpińskiego list i dodałem, że właśnie jakby na zawołanie się zjawia, na co mi Kaczkowski uczynił uwagę, że Kurpiński mało grał na skrzypcach, że właściwym jego instrumentem jest fortepian, lecz nie w tym jednak stopniu, by występować mógł publicznie; dalej, że dotąd zostawał we Lwowie zamówiony jako wiolenczelista do kwartetów hrabiego Łączyńskiego, w których poprzednio grywał Lipiński. Po obiedzie przybył do mnie Szczurowski, pierwszy bassista opery, który jednocześnie wtedy trudnił się gospodarskimi i administracyjnymi interesami Bogusławskiego, a tym samym wielkie miał znaczenie; przybył zaś z prośbą, bym się wystarał o nauczyciela fortepianu dla córki jego i udzielił mu swej rady w tym względzie, — poleciłem tylko co przybyłego Kurpińskiego, prosząc zarazem z mej strony, iżby go przedstawił Bogusławskiemu, z czego był bardzo zadowolony. Jakoż dnia następnego z rana przyszedł Kurpiński, posłałem go natychmiast do Szczurowskiego, a w kilka miesięcy później był już do teatru zamówiony. Obejście się następnie Krupińskiego ze mną powinno było zwrócić moją uwagę; od czasu bowiem, gdy zaczął bywać w domu Szczurowskiego, więcej już mnie nie nawiedził. Trzeba wiedzieć, że pani Szczurowska ciągle i oddawna do mnie żal miała z powodu, że nie czuły byłem na jej wdzięki i hołdować im nie chciałem. Kurpiński zaś, uczęszczając do Szczurowskich, szczególnie o względy i przyjaźń pani starając się, był je pozyskał; — starał się przy tym, jako rodowity polak tak między aktorami, jak między członkami orkiestry zjednać sobie stronników. Ja zaś, przyznając mu rzeczywisty talent, przekonany byłem, że człowiek z wyższem usposobieniem, fałszywym być nie może i dla tego postępowania jego nie kładłem na karb złych

chęci. Czego zaś na prawdę nigdy do myśli nie przypuszczałem to to, aby kiedykolwiek Osiński mógł się dla mnie zmienić, a następnie należeć do liczby nieprzyjaciół moich. Niestety myśl głęboka, *honores mutant humores*, czyli że w miarę szczęścia zmieniają się ludzie, zaczęła odtąd umysł mój niepokoić!

Podług przeszłorocznej umowy, wysłałem żonę moją do Rejnertz, ażeby jako można poprawić jej zdrowie, które pogorszyło się. Ale Osiński nie tylko zamilczał o danem w roku zeszłym słowie, lecz jeszcze pragnął, aby za powrotem nie upominała się o należną pensję za czas jej niebytności, czego nie tylko akcjonariusze, nie należący do składu teatru w żadnym razie nie wymagali, lecz przeciwnie obstawali za wypłaceniem tej należności i do skutecznienia przynaglili. Gdy więc w tegorocznym dniu imienin moich Osiński przygotował zwykłą ucztę i uwiadomił mię o niej, nie przyjąłem zaproszenia. Niewierząc jednakże słowom moim, uczta się odbyła. Kogo zaś brakło? mnie. Osiński uczuł się mocno obrażony, poczęły się intrygi, krytyki teatralne, podpisywane literą X, do których on należał, zaczęły się ukazywać.

Przekonywałem się coraz bardziej, że celem było Osińskiego utrzymać się wyłącznie przy dyrekcji teatru, pozbycie się nie tylko akcjonariuszów, ale i mnie, co się jasno i widocznie pokazywało z rachunków i ciągle się zmniejszających zysków. P. K. tymczasem ożenił się był z niejaką panną B. ze szkoły dramatycznej, czem sobie zjednał szczególnego przyjaciela w osobie p. Albrechta Grzymały *Czyczys-besa X. Z.*, autora różnych artykułów o muzyce w gazetach warszawskich i krakowskich zamieszczanych, w których o genjuszu Kurpińskiego jako polaka cuda opowiadał, a w pani Kurpińskiej odkrywał głos altowy, mający kiedyś publiczność zachwycić i oczarować.

Wśród podobnych nieprzyjemności dla mnie i żony mojej, zbliżał się koniec przedsięwzięcia przez akcje, które starano się z umysłu różnemi sposobami obrzydzić i obudzić nań ogólne niezadowolenie. W tymże celu pod pozorem dobra kassy przedsięwzięcia, sprzedawano frej łoże

okcjonarjuszów przy pierwszych przedstawieniach nowych sztuk, nie pytając jak bydz było powinno podług kontraktów, właściciele onych; — nie wnoszono odtąd tak akuratanie jak przedtem w dniach następnych po przedstawieniach wpływów do kassy głównej u pp. Braunig i Hikman będącej; na koniec, w ostatniem półroczu znowu pod pozorem nagłej potrzeby, zatrzymywał kassjer teatralny wpływy w kassie. Wyszło też zaraz ogłoszenie Osińskiego, że ponieważ kontrakt stowarzyszenia się kończy, życzy sobie pp akcjonarjuszów spłacić. Poszedłem natenczas do niego i zapytałem jak dalece ogłoszenie to mnie dotyczyć miało? ra co mi odpowiedział: że mając zamiar podnieść teatr na wyższą stopę, żadnej różnicy mu nie zrobi wypłata 500-et dukatów należnych mi zwrotu, jako włożony kapitał do funduszów stowarzyszenia. Gdy na serjo przypomniałem mu dane mi słowo, odrzekł mi „przyjaźń przyjaźnią, interes interesem“. A to nadto zawołałem, mamże więc z niczem odejść?.. Czy możesz pan potem spokojnym pozostać?... a jeśli ja pana przed sąd powołam?... Zimno mi odpowiedział: nic pan nie wskórasz, bo niemasz nic na piśmie....“

Takie lekceważenie uczuć i honoru, było zbyt bolesnem, aby nie miało wyrzecz wpływu na mój umysł i znękać go. Starąłem się wprawdzie uspokoić, ale spędzałem noce bezsennie.

Po tym niespodziewanym przyjacielskim ciosie, postanowiłem o ile można dla zapomnienia o nim i rozerwania się, wyjechać do szląskich kąpieli.

Powróciwszy z drogi, oddałem się zwyczajnej mej pracy i zatrudnieniom. Osiński, przyszedłszy na próbę, siadł obok mnie i jakby pomiędzy nami nic nie zaszło, począł ze mną rozmawiać o tem i owem, na koniec rzekł: „radbym, byś pan przejrzał i przeczytał rachunki ostatniego półroczia i dał je do podpisu reszcie akcjonarjuszów, ażeby rzecz całą raz zakończyć zupełnie. Co się zaś tycze należności przypadającej panu i żonie jego, zechcesz na wypłatę onej do jesieni poczekać.

Poszedłem do niego dla formy tylko, wzięłem powyższe rachunki od kassjera i udawszy się z niemi do Hikma-

na, Gudejta i Bausemera, powiedziałem im, że rzecz ta cała tak mi obrzydła i obmierzała, iż zdaniem mojem jest, by i resztę wynoszącą wraz z pretensją naszą do Rządu o francuską aktorkę *Philis*, około 30,000 zł. p. (lubo ta ostatnia zależała od różnych jeszcze okoliczności) darować Osińskiemu. Zgromadziwszy się następnie, podpisaliśmy, jako niemamy do niego żadnych pretensji i zupełnie zakwitowali, nie rozdzieliwszy nawet między nas kilku tysięcy złotych, które nam się podług rachunków z kassy należały, a które użył Osiński na podróż do Paryża, w celu sprowadzenia ztamtąd tancerzy francuskich, za co nam bardzo pięknie podziękował. W ten sposób cel Osińskiego pozostania wyłącznym przedsiębiercą teatru został dopięty i to daleko łatwiej, niż się mógł sam spodziewać.

Czując jednakże dobrze, ile mi był obowiązany i przekonany będąc, że nie tak łatwo puszcę w niepamięć przeszłość, niepokoiony tem, usiłował chociaż nie zaraz oddalić z teatru. Jakoż ażeby powoli z czasem mógł się bezemnie obejść, żadnej nie puszczał okoliczności w wywyższeniu i podniesieniu talentu Kurpińskiego nad moje zasługi, w czem mu Grzymała, Minasowicz i spółka *ex officio e con amore* silnie dopomagali. Rzeczywiście Kurpiński nabył sławy i zasługi podczas przedsiębierstwa przez akcje, utworem kilku oper, kantat i pieśni; był też przyjętym do grona Warszawskiego towarzystwa *przyjaciół nauk*, gdzie znowu stał się kolegą moim. Jednakże wszystko szło po staremu. W tym czasie wydałem pierwszą część dzieła mego o metryczności i rytmiczności, o którym Kurpiński w mającym wychodzić polskim tygodniku muzykalnym dosyć pochlebnie się wyraził; a było to 1820-tym roku, kiedy Instytut Muzyki i Deklamacji ostatecznie został uorganizowany i wyniesiony na stopień Konserwatorjum, któremu Ministerstwo Oswiecenia przyszło w pomoc 12000-toma tysiącami i założyło katedrę muzyczną. Tu znowu wezwałem K. Kurpińskiego do podziału zemną posady nauczyciela harmonji kontr punktu i kompozycji, podobnie jak wezwałem go był dawniej, bo 1814 roku, do rozdzielenia między nas nauczania spiewaczek i spiewaków szkoły dramatycznej; lecz wtedy politykował, a dziś zupełnie

nie przyjął mojej propozycji, tłumacząc się, że mi wyłącznie zostawia zawód nauczycielski, z powodu że niechce się takowemu poświęcić, mając zamiar i plany inne, na drodze li tylko artystycznej.

Zamiast więc K. Kurpińskiego wybrałem biegłego fortepianistę i kompozytora Wurfel, obecnego podówczas w Warszawie na wyłącznego nauczyciela generałbassu i harmonji, a sam zatrzymałem dla siebie nauczycielstwo wszystkiego, czego kontrapunkt i kompozycja pod względem technicznym i estetycznym wymagają. — Jeżeli o tej okoliczności wspominać, czynię to w celu dokładnego wyjaśnienia i wytłumaczenia, do jakiego stopnia doszło prześladowanie mnie. — Jakoż po wydaleniu mnie z teatru w 1824 roku, umieszczono w pismach Krakowskich, zapewne dla usprawiedliwienia się z wyrządzonych krzywd i przykrości, jakoby przy urządzeniu konserwatorjum o K. Kurpińskim zapomnieli, otaczając się jedynie Niemcami. Rzeczywiście z nazwiska wszyscy niemal nauczyciele byli Niemcami lub cudzoziemcami, wyjąwszy B. Wolskiego profesora francuskiego języka, Kudlicza dramaturgji, i Bielawskiego nauczyciela instrumentów rżniętych; zresztą byli następnymi: Elsner, Würfol, Stolpe, Winen, Bailli, dwóch Wejnertów, ojciec i syn, Kratzer (ten rodowity polak i krakowianin), Feullide, a potem Soliwa i Rinaldi. Nadto robiono mi zarzut, że z umysłu polaków wyłączyłem, naturalnie, żeby tym sposobem osłabić wiarę publiczności w moje zasługi, jakie położyłem w narodowej polskiej operze—słowem powiedzieć można, że starano się uczynić mnie niemal podejrzanym. — Wszystko to później sam Bogusławski w 7-mym tomie swego dzieła w artykule *pod u o Elsnerze*, własnem zeznaniem zbił i temuż zaprzeczył.

W pierwszych latach przedsiębiorstwa Osińskiego doszedł był Kurpiński do szczytów, o jakich nigdy niemarzył, tak dalece, że zaczął sam nad sobą się zadziwiać, a następnie zabrnął w samolubstwo aż do zapomnienia się. Ukazał się też wkrótce na wystawie obrazów portret jego naturalnej wielkości, wyobrażający komponującego przy fortepianie, również portret jego żony obstalowany przez Grzymałę, oba pędzla Brodowskiego, przyjaciela Osińskiego. Tuż obok wy-

stawiony był portret pani Dmuszewskiej w roli *Jadwigi* z opery tegoż imienia, a jednej z najlepszych utworów Kurpińskiego, pędzla Gładysza. — Niedosć na tem. — Właśnie w tym czasie przysądzono weteranowi gramatyków polskich Kopczyńskiemu medal, następnie wybity i publicznie w kościele X X. Pijarów przy rozczulającej uroczystości i ceremonji wręczony. Nieco później podobny zaszczyt spotkał uczonego Lindego przy urządzonej na ten cel uczcie, której hrabia Nowosilców przewodniczył; a to z powodu ułożenia i napisania nieoszacowanego słownika Polsko-słowiańskiego. Pan Grzymała, zapatrując się zapewne na powyższe uczczenie tak zasłużonych w naukowem piśmiennictwie krajowem ludzi i chcąc protegowanego swojego unieśmiertelnić, przypuściwszy do urzeczywistnienia swej myśli niektóre damy, mianowicie N. Z. i H. Cho. kazał podobnież wybić medal na cześć Kurpińskiego.

Z początku pomysł ten trzymano w tajemnicy, lecz gdy wiadomość ta rozgłosu nabierać poczęła, sam Kurpiński nie dowierzał uznając, iżby to było za wiele dla niego i pomalu w żart obrócił. I chociaż mówiąc szczerze, później niebyłoby to nic wielkiego, jednakże wtenczas było to zawsze zawczesnie, i niejako znizeniem ze szczybla wysokości dwóch znakomitych ludzi, których opinja publiczna tak świeżo wyniosła w wyprawionych im uroczystościach.

Rozprawiano publicznie w towarzystwach o tej przedwczesnej manifestacji i potępiano jej niewłaściwość i niezręczność, co wprowadziło w kłopot czcicieli Kurpińskiego gdyż niewiedziano, co począć, zwłaszcza, że medal był już wybity. Uchwalono więc, że oddany mu będzie w teatrze bez żadnych uroczystości, co się też stało. Jednego wieczoru po przedstawieniu dyrygowanej przez niego opery, wywołano go — Pani hr. Chodkiewiczowa wyszedłszy z łoży, wręczyła mu medal na ostatnim stopniu schodów — on zaś przyjął i... ukłonił się, i tak się skończyła cała ceremonia.

Nie wpłynęło to jednak na powiększenie gorliwości jego w pracy: więcej może podnieciło próżność i pychę, z którą też nie bawem zaczął się popisywać. I tak zwykle

w rocznych kalendarzykach, w których wymieniano członków Królewsko-Warszawskiego towarzystwa przyjaciół nauk dotąd pisano Elsner pierwszy dyrektor muzyki, Kurpiński drugi dyrektor muzyki przy teatrze narodowym; z tego powodu podał on niewielki artykuł do *Gazety Warszawskiej*, domagający się od sekretarza towarzystwa *przyjaciół nauk*, Księdza Prałata Czarneckiego, sprostowania wzmianki o mnie i o nim, gdyż teatr nieposiada pierwszego lub drugiego dyrektora, lecz dwóch sobie równych. Podobało się to Osińskiemu, jako zgadzające się zupełnie z jego zamiarem względem mej osoby, innym zaś członkom *Towarzystwa przyjaciół nauk* wydało się zbyt chełpliwem, tak dalece, że o Kurpińskim, który się zawsze tak pokornym przedstawiał, zaczęto inaczej sądzić i nareszcie wierzyć, że sam jest sprawcą rozgłaszanych o nim przechwałek.*)

Uczuła to naprzód młodzież, a lękając się, aby mnie to wszystko nie zniechęciło, i chcąc sobie nie jako wynagrodzić na mej osobie przesadzone wywyższenia Kurpińskiego, niespodzianie zaprosiła mnie przez p. Karola Milewskiego, ówczesnego ucznia Uniwersytetu, na zgromadzenie wieczorne u Franciszka Godebskiego, również studenta uniwersytetu, w celu uczczenia i obchodu imienin jego dnia 3 grudnia 1820 roku. Zaledwem wszedł i zabierał się złożyć życzenia solenizantowi, przyjęty zostałem ogólnym okrzykiem

*) Jedną z przyczyn, które spowodowały tak wielkie napięcie w stosunkach Elsnera z Kurpińskim, był także fakt, przez Elsnera w pamiętnikach zanotowany, że Kurpiński, na rok przed swem wstąpieniem do teatru w roli drugiego dyrektora, oświadczył się w sam dzień św. Józefa przez Żółkowskiego Elsnerowi o rękę jego córki. „Wiedząc (pisze Elsner), iż Kurpiński zajęty romansem z siostrą pani Dmuszewskiej, panną Petrasz, że ma już względem niej obowiązki, jako ojciec nie mogłem na związek ten zezwolić i stanowczo odmówiłem. Odtąd wciąż mnożyły się powody niechęci pomiędzy dwoma „twórcami muzyki polskiej“. Gdy Kurpiński wydał szkołę na fortepian pod pysznym—zdaniem Elsnera—tytułem: Wykład *systematyczny muzyki na klawikord*, Elsner, jako dyrektor konserwatorjum, nie przyjął jej za szkolną normalną dla klas konserwatorjum, ponieważ uważał ją za lichą przeróbkę szkoły Pleyela, a raczej nieu-

i wierszem, powiedzianym przez Godebskiego, poczem ofiarowano i wręczono mi skromny złoty pierścionek z napisem: *Twórcy muzyki polskiej, młodzież 3 grudnia 1820 roku*. Tak niespodzianie zaskoczony, niebyłem w stanie słów znaleźć na oddanie wdzięczności mojej i podziękowania licznie zebranej młodzieży za tak miłe i drogie dla serca mego przyznanie, aczkolwiek małych mych zasług w polskiej operze. Ochłonnawszy trochę z zadziwienia i rozczulenia, zdołałem nareszcie odpowiedzieć: Że w istocie dzień ten zachowam głęboko w sercu i pamięci mojej i za najpiękniejszy w mojem życiu poczytywać będę, tem więcej, że mnie ta cześć spotkała od tych, którzy z czasem lepiej potrafią rozeznaczyć nasze ogólne starania, zwłaszcza, gdy nas starszych już na tym świecie niestanie; — a że z mojej strony nie przestanę ani na chwilę dowodzić usiłowaniem mojem, że zawsze starałem się okazać godnym tak zaszczytnych dla mnie uczuć i usposobień, a to nie słowami, ale czynem, nie zważając na jakiegokolwiek bądź stawiane mi na tej drodze zawady i niezrażając się bynajmniej niemi. Jedną tylko uwagę w następnej prośbie dodać muszę — a to żebyście raczyli zadość uczynić memu żądaniu i zmienić napis w pierścionku, nie twórcy muzyki polskiej, — lecz rozkrzewicielowi muzyki polskiej, — na co zgodzić się nie chcieli.

miejtny przekład jej przez Cybulskiego, wydany przez Klukowskiego, jako oryginalne dzieło autora *Zamku na Czorsztynie*. O wszystkim tem pisze Elsner złośliwie w swych pamiętnikach. Gdy w jakiś czas potem wyszły Kurpińskiego *Tajemnice harmonji*, w przedmowie do nich znalazło się złośliwe pod adresem Elsnera zastrzeżenie, że nie były one pisane dla naszego konserwatorjum. „Trudno mi było — pisze Elsner — znosić podobne docinki i widziałem się zmuszonym zrobić Kurpińskiemu wobec Osińskiego uwagę, iż zupełną miał słuszność, że swych tajemnic harmonji nie pisał dla Konserwatorjum, ponieważ dla uczniów naszych harmonja bynajmniej tajemnicą nie jest, lecz właśnie nauka, podług jego sposobu wykładana, byłaby tajemnicą, każdy bowiem uczeń, który się uczył harmonji, byłby w stanie podobne dzieło, a nawet dokładniejsze, sklecić i z większą bez wątpienia skromnością wydać.

Dotąd nikt się nieodważył spojrzeć zbliżona w aureolę, którą okolono Kurpińskiego. Lecz niebawem bezstronny ogół zaczął się przekonywać, że nie wszystko złoto, co się świeci. Zauważono, że w utworach swoich ogólnie biorąc, w cudze pióra lubił się stroić, że brakło mu samotwórczości w dziełach muzycznych i samoistości w stylu, że ów krzyż oznaczony czterema stronami świata, do którego dodał skalę tonową raz wstępującą, drugi raz zstępującą i swoim nazwiskiem oznaczony kazał wylitografować dawno istniał i był znany z płomieniejącego potoku paryskiego;—wątpono nawet, ażeby mała broszurka *pod n. myśli urzywkowe* w zupełności z jego własnych powstała myśli i nakoniec znaleziono pół arkuszyki jego notat w których radził któremuś panującemu (podobno Chińskiemu) ażeby na całym świecie jeden powszechny język zaprowadził i ustanowił, przedstawiając na ten cel język łaciński, co powiększało jeszcze dobry humor czytających owe półarkuszyki, gdyż wiedziano że łacińskiego języka nie znał i nieumiał.

Skoro więc czciciele jego spostrzegli, że ów promienisty *Nimbus* którym go otoczyli, zaczął się ściemniać (w tym to czasie napisałem na benefis Dmuszewskiego operę *Król Lokietek*, dla hrabiego Chodkiewicza operę *Jagiello* w stylu czysto narodowym, a dla Kudlicza melodramę *Ofiarę Abrahama* w stylu ogólnym) poczęli przedmiot czci swojej uniewinniać i bronić następującem tłumaczeniem: że w każdym razie był niezaprzeczonym genjuszem, że gdyby go przesadzonemi pochlebstwami nie rozdrażniano i nie podbudzano przedwcześnie popędu jego do samowładztwa muzycznego mianowicie będąc polakiem, żeby nareszcie zamiast chęci postawienia się jednym skokiem na najwyższym stanowisku, skromnie i powolnie był dążył do celu, byłby niezawodnie go dopiął i na czas długi pozostał pierwszym muzykiem narodowym w Polsce; (do czego ja także niestety dojść nie zdołałem).—w taki sposób, jak to czas następny okaże, doprowadzono go do zwątpienia o sobie samym;—a ponieważ mu się nie udało dla powyższych przyczyn przewyższyć i prześcignąć wszystkich, którzy z nim na polu muzycznym współzawodniczyli

postanowił wyjechać zagranicę, gdzieby go lepiej poznano i oceniono niż w kraju własnym.

Jakoż po powrocie z niedługiej artystycznej wycieczki zagranicę, napisał jeszcze jedną operę pod tytułem *Cecylja Piaszczyńska*, w celu zapewne usprawiedliwienia powyższych rozumowań. Że znowu ta opera cudów niepokazała mocno go to zdziwiło, a uznając się jako niedość oceniony przedsięwziął powtórnie i to na dłużej wyprawić się zagranicę. Wyjazd jego w rzeczy samej nastąpił. Kosztem już rządowym udał się przez Niemcy do Francji i Włoch. Zapominając wszelkich doznanych z jego przyczyny przykrości, dałem mu na jego żądanie listy do P.P. *Bernera* słynnego organisty i dyrektora muzyki w Wroclawiu, *Karola Marji Webera* kapelmistrza w Dreźnie, *Au Audree* w Offenbachu, na koniec do p. *Lesneur* kapelmistrza w Paryżu, w których polecałem im jako kolegę pełnego talentu.

Przewodnicząc podczas jego nieobecności sam operze, wyuczyłem opery *Czerwony Kapelusik* utworu *Boiledieu*'go i przedstawiłem ją. Na zimę przygotowałem opery *Turek we Włoszech* Rossiniego i *Wolny Strzelec* Webera. Za powrotem Kurpińskiego z zagranicy, opery powyższe tak dalece postąpiły, że już pierwsze akty były wyuczone i mogłyby być wkrótce wystawione. Publiczność zamiłowana w muzyce, a zwłaszcza przyjaciele jego zaciekawieni, czy też co zyskał na swej podróży, pragnęli bardzo widzieć go jak najprędzej przy pulpicie dyrektorskim, występującego z nową jaką operą. Dla zadość uczynienia temu życzeniu prosił mnie Osiński, dyrektor teatru, bym dyрекcję opery *Turka we Włoszech* Kurpińskiemu ustąpił, na co chętnie przystałem. Wyuczwszy zatem aktu drugiego, i porobiwszy w operze tej niektóre zmiany, wzbogaciwszy towarzyszenie orkiestry wielą instrumentami huczniejszymi, jak naprzykład kołty, przystąpił do przedstawienia. Oczekiwanie doszło do najwyższego wytężenia; lecz opera ta, będąc już i tak jednym z najstarszych utworów Rossiniego pomimo sztucznych i łomotowych efektów, przez Kurpińskiego wprowadzonych, nie zrobiła wcale spodziewanego wrażenia. W oczach więc publiczności Kurpiński niezdawał się godnie odpowiadać

nadziei przez nią żywionej co do korzyści z odbytej podróży, równie jak ofiarom i kosztom przez Rząd na nią wyłożonym. Tem więcej, że wszyscy żądali, aby się był zagranicą nowym własnym jakim utworem wstawił. Tłomaczy się wprawdzie co do tego, brakiem czasu (i wistocie tak było).

Czemże jednak tłumaczył się z przedstawienia opery? Oto zamiast pomyślenia, że huk kotłów nie jest muzyką a krzyk nie śpiewem, oświadczył wręcz, że póki nie będzie samowładnym dyrektorem opery i orkiestry, tak żeby mógł swobodnie używać swojej metody w dyrekcji, nigdy niebędzie wstanie pokazać, co umie, i do czego jest zdolnym. W celu więc usunięcia mu i tej zawady, wpłynęli przyjaciele i opiekunowie jego na Ks. Namiestnika królestwa—Wskutek czego kazał powołać do siebie Osińskiego i żądał od niego, by pod pozorem zrównania mnie z Kurpińskim co do pensji naszych, uwolnił mnie powiększej części od obowiązków teatralnych, zostawiając mnie przy połowie pensji.

Czemu z jednej strony Osiński rad był, z drugiej zaś nie bardzo, ponieważ musiałby drugą część odjętej mi pensji dodać Kurpińskiemu, gdyż przewidywał dobrze, że przez niejaki czas jeszcze, nie mógł by się być obejść, bez dodania wszechwładnemu dyrektorowi chociażby tylko repetytora chórów, któregooby musiał zamówić i zapłacić. Tak się też stało, bo Kratzer, były tenorzysta opery, na tę posadę został przyjęty i piastuje ją po dziś dzień. Układy te, w wielkiej przedemną odbywały się tajemnicy, tak dalece, że się o nich dopiero później, a mianowicie 7-go lipca 1824 r. dowiedział.

Jednakże miesiącem już wprzód, przeczuwałem i uważałem, że święciła się dla mnie jakaś nieprzyjemność w teatrze. Albowiem jeden z uczniów uniwersytetu przyszedłszy do mnie, opowiedział mi spotkanie z Kurpińskim w jednym z ogródków warszawskich, gdzie tenże, wszcząwszy rozmowę o mnie, użalał się, że przeszkadzam mu w użyciu bezpośrednio orkiestry podług myśli i wyobrażeń jego o dyrekcji onej, ponieważ zupełnie była mi podległą i powodowała się mną, a następnie utrzymywał, że obecny stan rzeczy ustać musi.

„Elsner miał wprawdzie zasługi w teatrze, lecz ja także je mam, niechże więc zostanie przy swoim konserwatorjum, ja zaś chcę i muszę sam jeden być dyrektorem opery; — oddawna dążą do tego usiłowania moje i spokojnym nie będą dotąd póki celu tego nie osiągnę“. „Wszakże by można rzecz tę szlachetnym i godziwym sposobem ułożyć, odrzekł ów uczeń!..

„To mi wszystko jedno!“ wykrzyknął Kurpiński w zapale gniewu, którego źródłem był poczęści pierścionek dany Panu przez nas na wieczorze u Godebskiego; czego on nam zapomnieć i darować nie może, wprzódki bowiem jeszcze, kilka razy wyrzucał mi i wymawiał, żeśmy nie postąpili jako polacy, a przez to dali niejako hasło do lekceważenia zasług jego.

Mocno podziękowawszy młodemu memu przyjacielowi za pełne współczucia dla mnie opowiedzenie jego rozmowy z Kurpińskim oświadczyłem, że pomimo to wszystko, ja z mojej strony ani jednego kroku nie zrobię; — niech się co bądź dzieje. Sądziłem bowiem rzeczywiście, że cała ta sprawa do nowego roku przeciągnie się i że *de me sine me*, nie uprzedziwszy mnie o tem, nie postąpią. Jednak omyliłem się, bo jak już powiedziałem, 1-go lipca 1824 roku Osiński przyszedłszy na próbę opery rzekł do mnie: „Zmuszony jestem z polecenia władzy wyższej do oznajmienia panu, iż od dziś, przestajesz należeć do składu teatru, ponieważ Kurpiński sam obejmie dyrekcję opery i orkiestry. Pan zaś przez rok jeden jeszcze pobierać będziesz połowę pensji branej dotąd z teatru. Jest to wola i postanowienie władzy wyższej bez żadnej już apelacji!“ Udałem się natychmiast do Ministra Staszyca, w celu uwiadomienia go o tem, lecz znalazłem go o wszystkim uprzedzonego.

„Panie Elsner, rzekł mi, Książę Namiestnik tak chce— Poswięcisz się pan zupełnie i zajmiesz wyłącznie konserwatorjum, czemu nawet przy istniejących okolicznościach rad jestem“. Ależ pensja moja? „Postaram się—odpowiedział Minister—ażeby od nowego roku przyznano panu dodatek z funduszków Ministerstwa Oświecenia“.

Cóż miałem począć—nic innego, jak milcząc poddać się losowi memu. Długo nie wiedziała publiczność, że byłem z teatru wydalony, a pogłoska o tak niesprawiedliwym obejściu się ze mną doszła, lecz już zapóźno, jej wiadomości, o co się też i starano, zachowując okoliczność tę w tajemnicy aż do ostatniej chwili.

W takim położeniu zastał mnie rok 1830-y.

Rząd, widząc opłakany stan interesów teatralnych, jeszcze przed 1830 rokiem wdał się w nie i w celu spłacenia długów, zaciągniętych przez Osińskiego, postanowił nabyć na własność swoją przedsiębiorstwo. Wtedy Kurpiński podniósł głowę i publicznie a jawnie narzekać zaczął na złą administrację Osińskiego, nawet w roku 1831 napisał i wydał kilka arkuszową rozprawę o sposobie zarządzania teatrem, wychwalając przedsiębiorstwo przez akcje, przyczem ma się rozumieć o mnie ani słówka nie wspomniał; czemu rad bardzo byłem, zwłaszcza, że w rzeczonyj broszurze odmawiał Osińskiemu wszelkiej zdolności administrowania teatrem, a nawet jego czynności ganił dość gburowato. Taką niewdzięczność mocno uczuł Osiński, czekając sposobności odpłacenia mu się wzajemnością.

W październiku 1831 roku, gdy powoli wszystko do dawnego przyszło porządku i teatr na nowo otworzono. Jenerał Rautenstrauch, mianowany został nie tylko prezesem dyrekcji teatralnej, jak nim był przedtem Jenerał Roźniecki, ale głównie i udzielnie zarządzającym całą administracją teatralną, mając sobie do pomocy dodanych dwóch dyrektorów, Osińskiego i Dmuszewskiego, każdy z pensją roczną 5,000 złotych. Jego Excelencja Rautenstrauch, wiedząc dobrze o dawniejszych okolicznościach i niesnaskach istniejących pomiędzy ówczesnemi członkami towarzystwa teatralnego, z których starsi przywłaszczali sobie jeden przed drugim pierwszeństwo, rozpoczął panowanie nad teatrem ze ścisłością nieodbitie potrzebną do utrzymania całości w należytem porządku i posłuszeństwie; ze swej strony, nieszczędząc najsumienniejszych starań w celu wykonania porządnego dzieł teatralnych i zaspakajania miesięcznych wydatków i kosztów. Będąc szczególnie zamiłowany w balecie, dopro-

wadził go do takiego stopnia doskonałości (jeśli nie co do tancerzy i tancerek solowych, to mianowicie we względzie chórów baletowych) że mógł współzawodniczyć z baletami innych miast stołecznych. Jakoż znalazłszy że dawny, dotąd zajmowany budynek teatralny nie był odpowiedni świetnym przedstawieniom baletu, zamierzył go opuścić, a użyć wielkiego teatralnego gmachu na rozkaz Rządu nowo wzniesionego, skoroby ten został zupełnie wykończony. W tym celu przedstawił Rządowi własny projekt i plan do zmniejszenia i jak najprędzszego wykończenia rzeczzonego gmachu, co też następnie wykonane zostało; przyczem gmach ten otrzymał nazwę Teatru Wielkiego, dla rozróżnienia od teatru Rozmaitości, czyli małego, umieszczonego w tymże samym budynku. Oba te teatra połączone, będąc w bliskości urzędowego bióra i razem mieszkania Jenerała Rautenstracha, mógł je przeto codziennie niemal odwiedzać i naocznie się przekonywać o gorliwości w wypełnianiu obowiązków każdego członka teatru. Surowość jego nie dozwalała żadnej wymówki i sprzeciwiania się... Co ułożył i postanowił, musiało być spełnione.

Zdarzyła się raz okoliczność, w której Kurpiński ściągnął na siebie niezadowolenie Jenerała, do czego nie mało przyczynił się Osiński, będący jako literat, ulubieńcem Jego Ekscelencji.

Przed otwarciem nowego teatru, a przy ułożeniu etatu pensji wszystkich jego członków, zauważywszy tenże, że niektórzy w stosunku czynności swych, za wielką pobierali zapłatę, zmniejszył je; — w liczbie tych zamieszczony został Kurpiński, któremu 10 dukatów miesięcznie ujęto. Przyzwyczajonemu do imponowania w czasie przedsiębiorstwa Osińskiego, był to wypadek wcale nie spodziany. gdyż pewnym będąc, jeżeli nie podwyższenia pensji, to przynajmniej gratyfikacji, doznał takiego upokorzenia, które mu się trudnem do zniesienia wydało

Rozgłaszał też, jakoby chciał teatr opuścić, wahając się jednak i wstrzymując w złożeniu stosownego oświadczenia przed dyrekcją, na co tylko Osiński i Jenerał (któryby tem

bardziej nie był zniósł najmniejszej oznaki impozycji) czekał, ażeby go choćby na czas niejaki usunąć od teatru.

W tym stanie rzeczy przyszedł do mnie Osiński i opowiedziawszy, co zaszło, wniósł zarazem, że wskutek tego bardzo być mogło do prawdy podobnem, że Kurpiński teatr opuści; następnie ofiarował mi w Imieniu Jego Ekscelencji dyрекcję opery. W prawdzie w 62-ym roku życia mego pozbawiony wszelkich dochodów Rządowych utrzymywałem się tylko z lekcji, jednakże odpowiedziałem, że ponieważ już raz byłem zmuszony teatr opuścić, postanowiłem nigdy więcej do niego nie wrócić, przecież zawsze gotów jestem poświęcić mu prace moje, gdyby tego odemnie wymagano. Lecz Osiński nalegał dalej, żebym dyрекcję opery i orkiestry choć na jakiś czas objął, nimby zkąd inąd sprowadzono dyrektora, a mianowicie: pp. Tomasza Nideckiego, ucznia mego z Wiednia, Ant. Orłowskiego, takż ucznia mego z Rouen we Francji, lub innego jakiego ze Lwowa. Na to wszystko wręcz oświadczyłem, że w żadnym razie posady tej przyjąć nie mogę, właśnie dla tego, że Kurpiński wysadził mnie z teatru; że wcale nie mam zamiaru użycia odwetu, a jeszcze mniej stać się narzędziem upokorzenia i poniżenia dawnego, chociaż wprawdzie niewdzięcznego ale zawsze kolegi, gdybym nawet ściągnął przez to na siebie niełaskę Jenerała. „Pozwól pan, dodałem, żebym się udał do Kurpińskiego i uwiadomił go o pańskiej dopiero zrobionej mi propozycji i wystawił mu rzecz całą podług mego sposobu widzenia; a spodziewam się, że potrafi on zastosować się do położenia, pomimo zmniejszonej pensji“. Zezwolił na to Osiński, a ja poszedłem natychmiast do Kurpińskiego, który po wejściu mojem powstał i nim zdołałem odezwać się, przyjął mnie z bolesnym wyrazem na twarzy następnemi słowy: „Przychodzisz pan zapewne w zamiarze oznajmienia mi, że mu ofiarują dyрекcję opery, wiem o tem i możesz pan zrobić, jak ci się podoba; ja się zajmę dawaniem lekcji“.

Czyś się pan wygadał? odrzekłem. Mylisz się pan bardzo, bo ja muszę w przódy powiedzieć, właśnie tylko co był u mnie Osiński i dwukrotnem naleganiem ofiarował mi dyрекcję opery, na co mu oświadczyłem, że w żadnym razie

onej nieprzyjmę. To słysząc Kurpiński popatrzał mi pilnie w oczy, jakby chciał przeniknąć wgłąb duszy mojej i wyczytać w niej, czy prawdę mówiłem, a wyraz twarzy widocznie zmieniając, zapytał mnie. „Dla czego?” Oto moje tłumaczenie rzekłem: Wyszedłem już z praktyki, przy czem opera szkodować by mogła, ale właściwą przyczynę łatwo możesz zgadnąć, byle byś mi chciał sprawiedliwość oddać i wierzyć, nie krzywdząc mnie, jakie jest moje serce. „Ależ proszę pana zastanów się” odpowiedział Kurpiński „czyż sposób jest znieść taką niesprawiedliwość?” Na to mu rzekłem. „Powiedziałeś mi, że odtąd dawaniem lekcji się zajmiesz, jest to bardzo sliskie i niepewne zatrudnione dla osoby będącej jak pan przedtem, kapelmistrzem i dyrektorem opery, a do tego kompozytorem i w sile wieku jeszcze; wprawdzie myślisz pan o posadzie zagranicą, ale to rzecz nie łatwa, wszędzie bowiem znajdują się teatru znakomitsze nawet, które zdołały pozyskać u miejscowej, w muzyce zamiłowanej publiczności, że tak powiem obywatelstwo i sławę. Nie tak to łatwo, a przynajmniej nie tak prędko zdołasz pan znaleźć posadę zagranicą; ponieważ nie jest rzeczą małej wagi posiadać doskonale znajomość języka, w którym działać i tworzyć wypada. Namyśl się dobrze i znieś raczej mężnie przykrość obecną i cierpienie. Chciej mi wierzyć, że następnie sam Jenerał względ mieć będzie na powolność i uległość twoją. Wszak macie wraz z żoną dostateczną pensją do przyzwoitego utrzymania się. Nie droż się i nieupieraj, bo może właśnie tego oczekują. Wszak gdy i ja nie przyjmę dyrekcji, to prędzej czy później znajdą dyrektora, który się wdroywszy w pracę i obowiązki połączone z tą posadą pozyskać potrafi zadowolenie i względy Jenerała. A czy my będziemy dyrektorami czy nie, opera może i będzie istnieć.

Przyznał nakoniec że miałem racją, a dziękując mi, zapytał, jak miał postąpić?

Wiesz pan, odpowiedziałem, że Pułkownik Jan Braun, zawołany miłośnik muzyki, pracuje w biurze Jenerała i że co do muzyki ważny ma głos u Jego Ekscelencji. Wiem i to że obecnie z powodu żywego obojęcia się waszego ze Stefa-

nim, którego szczególnym jest przyjacielem i dobrodziejem, nienajlepiej o panu mówi; lecz ja udam się do niego, pomówię z nim, a jak? mnie to już zostaw i poproszę, ażeby wystawiwszy Jenerałowi okoliczności teatralne oznajmił gotowość pańską do pozostania przy teatrze pomimo zmniejszenia pensji.

Jak powiedziałem tak się stało. Kurpiński utrzymał się przy posadzie dyrektora opery, a ja z mej strony dostateczne miałem zadośćuczynienie, że w mojej loży podczas teatru, wprost mi wyznał, że na mojem miejscu w podobnej okoliczności, przy istniejących dawniej między nami stosunkach, nie byłby z takim wyrzeczeniem się siebie jak ja w obec niego postąpił.

Jakoż odtąd, za każdym spotkaniem, dawał mi dowody szczególnego szacunku. Więcej powiem, gdy po skończonej już zupełnie sprawie przyszedłem razu jednego do niego, namawiał mnie do wykonania koncertowego wspólnie z nim jako współtowarzyszem, i na wspólny nasz dochód *Stworzenia Świata* Hajdena podczas postu, a mianowicie w Wielkim tygodniu. I tego odmówiłem po części z przyczyny, że Amatorowie, z Cichowskim na czele postanowili powyższe oratorium wykonać w sali resursy kupieckiej na dochód ubogich; dodając jednak że zachowuję sobie na czas późniejszy korzystanie z oświadczenia jego, jako środek do wspólnego powetowania choć w części strat naszych.

Następnie Osiński postąpił na Refendarza Stanu; miejsce jego zajął Halpert, a ponim nastąpił Kossakowski. Kurpiński znowu stał na mocnej podstawie, pozyskawszy do tego łaskę i względy Jenerała Rautenstraucha. Jak przepowiedziałem, otrzymał dodatek do pensji, z przyczyny, że urządzenie szkoły śpiewu, założonej przy teatrze, Jenerał mu porucił, gdzie i ja miejsce dostałem. Szkoła ta złożona była z trzech klass, a mianowicie z 1-ej początkowej, czyli elementarnej nauki, której nauczycielem był Kratzer, z 2-giej Solfeżiow i Wokaliży z nauczycielami Elsnerem i Steffanim i z 3-eciey śpiewu dramatycznego z nauczycielem Kurpińskim. Każdy nauczyciel pobierał 108 złotych miesięcznie. Kudlicz, będąc reżyserem otrzymał także dodatek do pensji i uczył części dramatycznej

bezpłatnie, podobnie jak Dmuszewski wykladał prelekcje o teatrze w ogólności. Szkoła ta, dodawszy do niej szkołę baletu i dramatyczną przy teatrze już istniejące, może przynajmniej w części zastąpić brak konserwatorjum i przynieść teatrowi znakomite korzyści.

VIII.

Epilogiem do tego rozdziału o Kurpińskim jest historia wykonania w r. 1838 słynnego oratorjum Elsnera, które słusnie uznano za jego arcydzieło.

Głównym zawsze zamiarem moim było napisanie Opery wedle myśli i pojęć moich, wyrażonych w drugiej części rozdziale drugim, dzieła mego *O rytmiczności i metryczności języka polskiego*, takiej mianowicie, w której by poezja z muzyką jak można tylko najściślej połączone były*). Wykonania zaś tego dzieła życzyłem sobie podjąć się osobiście, lub też za pośrednictwem uczniów moich, którzy by pod mym nadzorem pisali wspólnie utwór zamierzony. Okoliczności jednak w roku 1830 zamiar ten mój bezpowrotnie zniweczyły... Wtenczas to wpadłem na myśl napisania Oratorjum. Lecz skąd je wziąć? Wydarzyło mi raz jednego w końcu 1834 roku, że ksiądz Witman, kustosz tutejszego katedralnego kościoła, uskarżał się przedemną na brak nowej muzyki godnej wykonania w czasie kazań passyjnych w wielkim tygodniu, którą by publiczność i duchowieństwo radzi byli zastąpić dawne a znane utwory, jak np. *Stabat Mater Jurgoleza Hajdena i Wintera*; w skutek czego nalegano na mnie do napisania stosownej do tej pieśni i okoliczności muzyki. Rozmyślwszy dobrze nad tem zadaniem, napisałem część pierwszą na próbę, która mi się z wrażenia i ze względu na ogólny mój

*) Do tego samego miał dążyć z ozasem Ryszard Wagner.

zamiar w obrobieniu onej podobą. Pracowałem przeto dalej nad tem działem i powstało ztąd nakoniec moje oratorjum *pod n Męka Jezusa Chrystusa czyli Triumf Ewangelji*, które zupełnie ukończyłem dopiero pod koniec roku 1837-mego. Odtąd myślałem o wykonaniu tego dzieła.

W tym celu udałem się do Kurpińskiego i ani słowa nie wzmiankując o moim nowym utworze, przelożyłem mu, ażebyśmy w roku 1838 w czasie wielkiego tygodnia, spełnili zamiar, przez nas dawniej powzięty, wskutku własnej jego ówczesnej odezwy, wykonania na wspólny nasz dochód wielkiej jakiej muzyki. Na co Kurpiński tłumaczyć się począł, mówiąc, czy z powodu nadto wielkich zatrudnień i innych krytycznych okoliczności, dla których tyle cierpi, że nie wie nawet, że dożyje tego czasu, w żadnym jednak razie propozycji przyjąć nie może, słowem wprost mi odmawia.

Odpowiedziałem mu na jego tłumaczenie, że bynajmniej nie potrzebował obawiać się wielkiego z tego powodu zajęcia, ponieważ na ten cel napisałem *Oratorium*, którego wszystkie już prawie głosy śpiewne i orkiestrowe po największej części moją ręką rozpisane były; co się zaś tyczyło amatorów i wyuczenia dam, mających do wykonania należeć, że sambym zupełnie tem się zajął a jego prosiłbym tylko o udział i wystąpienie w wykonaniu jako dyrektora opery.

Zczzerwieniał się na to, niewiedząc, co miał w tej chwili odpowiedzieć; — opamiętawszy się wszakże i z niejakim pomieszaniem wyrzekł następujące słowa: „W tej chwili nie mogę nic odpowiedzieć na pańskie wezwanie, pomyślę jednak o tem“ Nie czekając na jego obiecaną odpowiedź, udałem się do Jenerała Rautenstraucha i uwiadomiwszy go o moim zamiarze, prosiłem o pozwolenie użycia chórów teatralnych do wykonania mego Oratorjum. Działo się to w listopadzie 1837 roku. Jenerał nic nie miał przeciwko mojej prośbie, zrobił tylko uwagę, że zadaleko jeszcze było do Wielkiego postu, by teraz już myśleć o wyuczaniu się oratorjum. Odpowiedziałem, że właśnie tak wcześniej chciałem rozdać głosy śpiewakom, ażeby chóry zwolna wyuczyć, nieprzerywając zwykłych prób i ćwiczeń teatralnych. Po otrzymaniu pozwolenia Jenerała, zaniósłem głosy chórowe w pięciu dupli-

katach Kurpińskiemu dla oddania onych Kratzerowi, repetytorowi chórów. W miesiąc zgórą potem zapytałem tegoż, czyby więcej jeszcze głosów niepotrzebował i czy już choć kilku chórów wyuczył? odpowiedział zdziwiony, że nietylko żadnych głosów dotąd nieotrzymał, ale że o całej rzeczy wcale nie wiedział. Udałem się zaraz do Kurpińskiego z zapytaniem, dla czego do tej pory niewręczył głosów chórowych Kratzerowi, który właśnie dopiero był mi powiedział, że po przedstawieniu odbytem opery Mejerbera *Robert Djabeł*, chórzysci nie mając czego się obecnie uczyć, są zupełnie wolnemi. Powiedział mi na to chcąc zapewne usprawiedlić się, że chociaż jest dyrektorem opery, jednak przy obecnych teatralnych okolicznościach co do składu opery, mało lub raczej wcale nie może rozporządzać się i radzi mnie, bym się udał do Kossakowskiego. Dla czegoż mi pan odrazu tego niepowiedział? spytałem. Zakończył tem, że wprawdzie chciał mi pomódz w dyrekcji przy wykonaniu mego Oratorjum, lecz propozycji mojej korzystania z dochodu żadną miarą przyjąć nie może.

„Kiedy tak to i ja z wykonania korzystać nie będę!“ Bo ułożyłem był pierwaj czysty dochód z wykonania oratorjum po potrąceniu wszystkich kosztów podzielić na trzy części, 1-ą na fundusz dla Wdów po Artystach muzycznych, 2-ą dla mnie 3-ą dla Kurpińskiego, lecz gdy ten ofiary mej nieprzyjął, poszedłem natychmiast do Doktora Medycyny a ówczesnego prezesa Gminy Ewangelickiej *Malcza* i objawiłem mu życzenie wykonania mego Oratorjum w kościele Ewangelickim na dochód Iustytutów Szpitala Ewangelickiego i na fundusz dla Wdów po artystach muzycznych. Otrzymawszy przyrzeczenie zadosyć uczynienia zamiarowi memu, udałem się do Kossakowskiego z prośbą, by głosy polecił oddać Kratzerowi.

Tyle jednak przeszkód i trudności towarzyszyło wykonaniu chórów, że ani myśleć można było o wykonaniu przed, a nawet po Wielkiej nocy. Gdy się następnie dowiedziano, że dwie już próby odbyłem w sali Resursy, a to z samemi tylko amatorami i amatorkami z towarzyszeniem kwartetu, a *Malcz* uwiadomił Jenerała o zbliżającym się wykonaniu

Oratorjum, w tedy to dopiero zdołał Kratzer na dobre i szczerze zająć się wyuczeniem chórów teatralnych i wykonanie nastąpiło dopiero w lipcu 1838 roku.

Obowiązany jestem wynurzyć szczególne a najszczerze moje dziękczynienie, osobom które z gorliwością dopomagały mi w wyuczaniu chórów a mianowicie oprócz p. Kratzera PP: *Janowi Sandmanowi, Józefowi Krogulskiemu, Albertowi Frejerowi* równie jak p. *Pohlens* kapelmistrzowi, który pomimo towarzyszących trudności, z swym chórem wojskowych śpiewaków i dzielnie się do tego przyczynił. Kurpiński ukazał się i wystąpił z pomocą swoją i współdziałaniem zemną w dyrekcji chóru, dopiero na próbach z całą orkiestrą. Za co i jemu serdeczne składam podziękowanie chociaż, jak to dobrze orkiestra i amatorowie zauważali, i pomimo pochwał pochlebnych, których dla mnie nieszczęśliwie ze względu na ten utwór, widocznie pokazywało się, że *nolens volens* przystępował do współdziałania.

Jakoż gdy po wykonaniu oratorjum, pisma publiczne, o niem i wrażeniu sprawionem głosiły, wspominając o poprzednich zasługach moich, nie zdołał się Kurpiński powstrzymać od głośnego objawu niezadowolenia i uzalania się na wyrządzoną mu krzywdę.

Znajdując się raz w zgromadzeniu, w którym z podobną mową słyszeć się dawał, a chcąc z umysłu przywieść mu na pamięć dawniejsze jego pomieszenie na moją propozycję współdziałania ze mną przy wykonaniu oratorjum, rzekłem, do niego: Masz słuszność Kurpiński, obsypują mnie pochwałami, których wcale nie żądam; wszakże mówią tylko o moich czynnościach, nieporównywając onych wcale z pańskimi zasługami; — jest to zatem li tylko przytoczeniem przeszłości mojej, z okoliczności powodzenia nowego dzieła mojego. Wszakże pierw od pana jeszcze byłem dyrektorem opery polskiej, nie widzę przeto i nie pojmuję, jaka ztąd może dla pana szkoda lub krzywda wyniknąć!? Kurpiński zamilczał, nadrabiając miną. I odtąd już pozostaliśmy dobrmi przyjaciółmi.

...Wszystko to, co przytoczyłem wyżej, nie napisałem bynajmniej w celu ubliżenia zasługom Kurpińskiego jako

muzyka i kompozytora, ani też w zamiarze dotknięcia zbliska charakteru jego jako człowieka.

Chciałem tylko pokazać i dowieść młodemu wchodzącemu w ten zawód artystom, z jaką trudnością i przeciwnościami zmuszony jest walczyć w zawodzie swoim artysta, pracujący nie dla żadnych ubocznych widoków, ale jedynie z zamiłowania swej sztuki i dla niej samej tylko; — ile cierni spotyka tenże artysta w wypełnieniu swych powinności, nie dla tego, by sprawiedliwie lub nie. Niebo czy piekło sobie wywalczył, lecz z wewnętrznego i gruntownego przekonania, że powinność swoją spełnia. Zniesienie mężnie powyższych przeciwności i trudności nie tylko próbuje cierpliwości i wytrwałości artysty, ale niestety częstokroć ileż mą nieprzyjaznych zaważ na drodze ku osiągnięciu celu stawiają. O zaprawdę! jeżeli miłujący sztukę jest szczęśliwy, gdy znajdzie przy końcu dni swoich we własnym sumieniu zaspokojenie i zadośćuczynienie doznanych przez ciąg zawodu krzywd i utrapień, a ileż razy mimowolnie zmuszony bywa wykrzyknąć: *Ojcze przebacz im, bo nie wiedzą co czynią!*

Przyjmij młodzi! którą Bóg powołał do wyższych celów od starca zbliżającego się już ku lepszej przyszłości te ostatnie i pożegnalne wyrazy: niech w całym życiu twoim świeci tylko jedna myśl bez interesownego i sumiennego spełniania obowiązków twoich, abyście potrafili uzyskać uznanie zasług waszych przez kraj, którego jesteście synami!

Jeżeli trzykrotne wykonanie Oratorjum mego, w którym udział czynny wzięło 400 z górą osób, przyszło do skutku i tak dobrem było, że ogólnem zadowoleniem znawców i miłośników muzyki oraz całej publiczności poszczycić się mogą, winienem przypisać i podziękować tym którzy gorliwie i zcałem poświęceniem zając się niem raczyły, przedewszystkiem zaś memu szczeremu przyjacielowi Janowi Braunowi. Osoby zaś, które się w ówczas śpiewem odznaczyły były następujące. Panny *Józefa Bausemer*, soprano, *Józefa Turowska*, alto,—panowie, *Antoni Teichman*, tenor i *Edward Stolpe*, bass oprócz tych pani *Grabowska*, pani *Johanna Naimska*, panny, *Lasocka*, *Kokular*, panowie *Żyliński*, *Herman*, *Markowski*.

Nie mogę tu przemilczeć o szczególnem wydarzeniu podczas pierwszego wykonania, które podniosło o wiele wrażenie tej muzyki i sprzyjało nadzwyczaj samemu utworowi jako też całemu przedsięwzięciu wykonania. Było to w pogodny i prześliczny dzień lipcowy. Oratorjum rozpoczęło się o samem południu. W tem niebo zasuwać się zaczęło chmurami podczas wykonania pierwszej części, podczas drugiej i trzeciej pusił się deszcz i wszystko burzę zapowiadało. W czwartej części dawał się słyszeć zdaleka grzmot, a przy ustępie *Emisit spiritum*, po którym następuje długa pauza, właśnie podczas tej ostatniej mocno błysło i wraz z odezwanieniem się całej orkiestry *fortissime*, padł z tak okropnym hukiem grom piorunowy, że aż wszyscy prawie słuchacze, jakby iskrą elektryczną rażeni, jednocześnie z miejsc powstali. Następnie burza ustawać i uspakajać się poczęła; a gdy Alleluja w wdzięcznych tonach rozległo się w Świątyni, burza i grzmoty ucichły zupełnie. Pobożne osoby z nabożeństwem słuchając muzyki, poczytywały okoliczność powyższą za dobrą wróżbę na korzyść dzieła mego, a jednocześnie wypadek w drugiej stronie miasta umocnił je niejako w przekonaniu i poczytały go za *digitus Dei*. W godzinę bowiem później dowiedzieliśmy się, że ów piorun, którego łoskot tak przeraził słuchającą publiczność, w części Warszawy, Szolcem zwanej, trafił był żyda, dozorcę składu drzewa, w tej że samej chwili naśmiewającego się z chrześcijańskich furmanów, którzy za silnym błyskiem, poprzedzającym uderzenie piorunu, strachem przejęci, żegnali się znakiem krzyża świętego. Żyd ów na miejscu zabity zolał.

.

Na tem się urywają wspomnienia twórcy *Tryumfu Ewangelji*. Kończąc je, w przekonaniu, że niebawem mu wypadnie odejść do lepszego świata, tak pisał na ich ostatniej karcie: „Jednakże i po zamknięciu na wieki powiek, z wysokości lepszego świata, jeżeli zdołam zasłużyć na pomieszczenie mnie w gronie sprawiedliwych i wobec Boga wiernie szczęśliwych, duch mój ulatując ponad ulubionem miastem,

w którym obrawszy sobie mieszkanie, resztę dni moich spędziłem, cieszyć się będzie i z wdzięcznością błogosławić tym, którzy mi swem współczuciem i przyjaźnią ciernisty na tym padole płaczu żywot upiększać i uprzyjemniać raczyli...“ Pisząc te słowa, liczył sobie Elsner lat 70 z okładem, lecz koniec dni jego wcale nie był bliski.

W roku 1899, z rozporządzenia Cesarza Mikołaja, któremu dedykował swoje Oratorjum, otrzymał 4860 zł. polskich rocznie pensji emerytalnej, w r. 1841 usłyszał powtórnie wykonanie swego Oratorjum (tym razem pod dyrekcją Nideckiego). „W późnej już starości, bo w r. 1845 dotknięty został paraliżem, a straciwszy władzę w prawej ręce, nie przestał pracować, i mimo wieku, wyuczywszy się pisać lewą rękę, wiele jeszcze do stanowiących sławę jego kompozycji, nowych dzieł dodał“ *). W roku 1852, w czerwcu, obchodził nader uroczyście swe złote wesele z sześćdziesięciokilkoletnią małżonką swoją, o której to uroczystość nader obszernie i serdecznie pisały wszystkie ówczesne dzienniki warszawskie... W niespełna trzy tygodnie po tych złotych godach, dnia 12 lipca 1852 zmarła mu żona, a w niecałe dwa lata później i on sam dokonał swego długiego, pracowitego żywota. Umarł w Elsnerówce pod Warszawą dnia 18 kwietnia 1854 roku. Cześć jego pamięci!

*) „Kur. Warszawski“ № 74 z r. 1851.

Przemysł domowy w Rosji.

Rola nie jest już u nas w stanie wyżywić tych milionów, które się do jej piersi cisną. Wypadek ten powtarza się w dziejach świata cywilizowanego często i zawsze jest źródłem ciężkiej niedoli, zawsze sprowadza dotkliwie i mocno powiktane cierpienia społeczne.

Źródłem wszelkiej pomysłowości jest praca, od niej zależy dobrobyt materialny, bez niej niema zdrowia i zadowolenia moralnego.

Rola pracownikom swoim nie zajmuje całego czasu. Po ciężkich mozołach letnich przychodzi kilkomiesięczny przymusowy odpoczynek. Długa bezczynność prowadzi do ociężałości i zgnuszenia, a złe wpływy i instynkty mają otwarty dostęp do niezajętej niczem myśli. Jeden upodoba sobie w rozpuście, drugi się puści na występne nocne praktyki. Pokus nie zabraknie: w prawe ucho szeptać będzie nędza, w lewe przyszły spółnik zbrodni.

Jednym z objawów, jednym z niezawodnych świadectw choroby jest emigracja. Wszyscy nad nią ręce łamią, wszyscy wysilają głowy, szukając ratunku. Ratunek istotnie potrzebny — radykalny i szybki.

Ratunek jeden tylko — rozwój przemysłu domowego wśród ludu.

Do przemysłu tego pcha chłopą bieda. Ale sam on kwestji należycie nie rozwiąże. Gdyby nawet własnym rozumem i własnymi środkami stworzył jakiś przemysł, to przemysł ten byłby podobny do dzikiej płonki, dałby owoce kartowate i cierpkie: chłop sam wynalazku technicznego nie dokona, na wiele pomysłów się nie zdobydzie, nie jest w możności ani osiąść ani nawet poznać, co istnieje gdzieś indziej. Nie koniec na tem, chłop pozostawiony sam sobie, musiałby wyroby swoje sprzedawać przekupniowi, który mu cały zysk z pracy zabierze. W różnych krajach, w różnych czasach zrobiono już w tej dziedzinie dużo doświadczeń i zdobyczy, okupionych szeregami zawodów, ofiar, czyż należy pozwolic, aby chłop polski powtarzał te doświadczenia, szukał po omacku drogi, rozbijał głowę, kaleczył ręce, kiedy tę drogę można mu pokazać i oświecić.

Pomysłny rozwój przemysłu ludowego wymaga rozumnej a troskliwej opieki ze stron inteligentnych warstw ludności oraz poparcia

rzędu. Trzeba chłopu postać nauczycieli, trzeba mu dać (a choćby tylko pokazać) narzędzia, modele, wzory, często wypadnie i o surowym materiale pomyśleć (bawełna, lepsze gatunki lnu). Prócz tego należy od niego kupić wyroby, postarać się o dostawy. W tych wyrobach 70% wartości stanowi materiał, którego rolnik-rzemieślnik darmo dawać nie może.

Trudne to zadanie, wymaga i siły i wytrwałości, ale też, gdy się powiedzie, daje plon obfity. Nietylko kieszeń chłopka pęcznie, ale mu przyrasta godności, od karczmy stroni, czuć i rozumieć zaczyna, że po za troskami osobistemu istnieją obowiązki społeczne. Co więcej, chłop przez rzemiosło rozwinięty, staje się lepszym rolnikiem—widzi skutki postępu i zaczyna mu wierzyć.

U nas nie brak ludzi, którzy rzeczy jasno widzą, potrzebę rozumieją i pracy nie szcędzą. Nie mało też położyli zasługi. Przy Towarzystwie pop ros. Przemysłu i Handlu w Warszawie istnieje sekcja przemysłu ludowego, gdzie każdy, pragnący na tej niwie pracować, znajdzie wskazówki i pomoc. Ale tymczasem wszystko idzie jakoś opornie i rezultatów większych niema. Może przyczyną tego brak wśród ogółu szerokiego jasnego objęcia potrzeby i gorętszego poparcia. A jednak na liście naszych potrzeb rozwinięcie przemysłu ludowego zajmuje jedno z miejsc pierwszych.

W marcu roku przyszłego w Petersburgu odbędzie się zjazd przedstawicieli i opiekunów przemysłu ludowego z całego państwa. Nie ulega wątpliwości, iż znajdą się tam i pionierowie płodnej myśli z kraju naszego

Podajemy niżej stan i warunki rozwoju przemysłu ludowego w Cesarstwie według artykułu p. A. Pogruzowa, zamieszczonego w jednym z ostatnich zeszytów miesięcznika rosyjskiego „Wiestnik Jeneropy.”

Drobnym przemysłem domowym w Rosji zajmują się miliony włościan, a produkcję ich można ocenić na półtora miljarda rubli.

Z pomiędzy oddzielnych okręgów przemysłu domowego, niektóre produkują olbrzymie ilości wyrobów. Tak np. pawłowski okręg ślusarski z produkcją roczną wartości 2½ miliona rb.; w Sosnowie, w gub. saratowskiej wyrabiają satynek za 1½ miliona; w Nowogeorgiewsku—wyrobów drzewnych za 2 miliony; w okręgu tulskim—instrumentów muzycznych za 800 tys. rb., samowarów za 5 milionów; w bormakińskim okręgu (gub. jarosław.) za 800 tys. rb. wyrobów siodlarskich; w Gzeli za 1½ miliona wyrobów porcelanowych i fajansowych; w okręgu moskiewsko-zwenigorodzkiem mebli za 650 tys.; w kimrskim—obuwia za 6 milionów i t. d.

Mało dotychczas znamy tak wewnętrzną, jak i zewnętrzną stronę przemysłu domowego — mówi Prugawin.

Przemysł domowy włościański—to świat nieznaną, podziemny, to olbrzymia fabryka chłopka, która nie mieści się w wielkich, pięciopiętrowych gmachach z mnóstwem dymiących kominów, nie daje znaku życia hukiem maszyn i gwiz-

dawką parową, lecz żyje rozrzuciona na niezmiarzonej przestrzeni kraju, cicho i niedostrzegalnie, jak jej siostrzyca — rolnictwo.

Tymczasem cała Rosja żyje z przemysłu domowego. Rosyjski włościanin-rękodzielnik zaopatruje w swe wyroby i chłopą, i pana, i pokojówkę i damę światową; ubiera i obuwia miljonowe wojsko, dostarcza roboty swoje marynarce, artylerji, kolejom. Jego wyroby spotkać można w złocistych pokojach hrabiowskich i książęcych, a nawet w pałacach cesarskich.

Wspaniałe koronki rosyjskie zdobią ramiona paryżanek, i cenione są nawet przez bogate amerykanki. Cenne futra czarnoburych lisów, bobrów kameczackich, gronostajów i soboli zdobią lustrzane wystawy największych magazynów Paryża, Londynu, Berlina, Wiednia i New-Yorku. Wyroby włościan rosyjskich przedostały się już do Turcji, Persji, Indji, Afganistanu, Japonji i Chin. Często nawet w sklepach w kraju sprzedają je za zagraniczne; tak np. kapelusze, kamertony, uprząż, instrumenty lekarskie, obuwie, wyroby ślusarskie, meble zapełniają sklepy wszystkich miast.

Włościanie wyrabiają niezliczoną ilość przedmiotów z drzewa, z metali, z gliny, z kamienia, ze szkła, ze skóry, z rogu, z kości, z włosia i t. d.

Z drzewa robią najprostsze rzeczy i najwykwintniejszą galanterję; sanie do gnoju i damskie nesesery, meble rzeźbione, mozaiki, posadzki, wyroby z brzozy, szkatułki, albumy, futerały, herbatnice, papierośnice, przyciski, spinki, guziki, meble gięte, nie ustępujące wcale wiedeńskim, klatki dla ptaków od 10 kop. do 40 rub., czółna, barki, a nawet całe okręty.

Z kamienia wyrabiają włoścjanie: kamienie młyńskie, nagrobki; z gliny—wyroby garncarskie, naczynia fajansowe i porcelanowe, wyroby ceramiczne; biżuterje z kamieni uralskich; wazony z terrakoty.

Metale obrabiają kowale i ślusarze na gwoździe, łopaty, kłódki, scyzoryki, (od 30 kop. za tuzin do 16 rb. za sztukę), kindżały, fuzje (od 1 r. 40 kop. do 300 rb.); wspaniałe samowary tombakowe, wyroby złote i srebrne, biżuterję, cyrkle, busole, kompasy, instrumenty medyczne, matematyczne, chirurgiczne, optyczne, termometry, barometry, okulary, wagi aptekarskie (od 75 kop. do 20 rb.), pompy powietrzne, maszyny elektryczne; w prostej wiejskiej kuźni, odkuwają ogromne kotwice i łańcuchy kotwiczne.

Włościanie na wielką skalę produkują wyroby tkackie, płótno, perkal, merłę, gazę, satynki, chustki, obrusy, ser-

wetki, ręczniki, wyroby jedwabne, półjedwabne, wełniane, bawełniane, z sierści wielbłądziej, aksamity, welwety, plusze, dywany, pasy, wstążki, taśmy, a nawet gotowe ubrania.

Skóry zwierzęce przerabiają na najrozmaitsze skórki białe, czarne, lakierowane, safjany, łajki, futra i t. d.

Przemysł domowy dostarcza nawet materiałów, do których stosować można pracę artystyczną, jak malowanie ręczne, wyszywanie, hafty białe i złote, emaljowanie. Włóścianie wyrabiają śliczne drobiazgi z kości mamuta, szyldkretu; rozpowszechniają własnego wyrobu pługi, młocarnie, wialnie, a nawet kosiarki i wyrabiają maszyny ogniowe, tokarnie, gwinciarki, piły, sztance, umywalnie, a nawet welocypedy. Przemysł domowy wchodzi nawet w dziedzinę sztuki muzycznej; znane są powszechnie harmonje, gitary, skrzypce, bałalajki, kamertony, wiolonczele, arystony, fisharmonje.

Drobny przemysł nie zapomina nawet o chemji, produkując kali, spirytus drzewny, potaż, kalafonję.

Włóścianie umieją nawet korzystać z takich odpadków, które w życiu powszednim uważa się za niezdatne do niczego. Z odpadków miedzi wyrabiają lichtarze, zapalniczki, popielniczki, i t. p. tak wytworne, że czasami cena pary lichtarzy dochodzi do 25 rb. Z okruców sukna wyrabiają pantofle; ze skrawków futer—futra i dywany; ze skrawków skór—obcasy i klejone podeszwy; z t. z. puchu świńskiego—dywany, dywaniki, chodniki i sznury; z włókien pokrzywy—cienkie i grube płótna oraz sieci; ze skórek susłów—futerka na czapki, łajki.

II.

Popieranie przemysłu domowego przez rząd rozpoczęło się właściwie od r. 1888, kiedy gałąź przemysłu przeszła z pod zawiadywania ministerjum skarbu do ministerjum dóbr państwa.

W historii organizacji i rozwoju przemysłu drobnego godnem jest uwagi, że w dwóch ważnych chwilach zawdzięcza poparcie osobistej inicjatywie monarchów. Tak np. podniesienie tej sprawy nastąpiło wskutek Najwyższej uwagi Cesarza Aleksandra III, zrobionej na najpoddanniejsem sprawozdaniu gubernatora niżnonowgorodzkiego za r. 1885, mianowicie w miejscu, gdzie była mowa o wystawie wyro-

bów włościańskich na niżno-nowgorodzkiej wystawie. Cesarz napisał tam: sprawa bardzo pożyteczna, i byłoby pożądanem urządzić takie wystawy w innych także gubernjach i miejscowościach Rosji.

Na skutek Najwyższej uwagi, wyszedł cyrkularz ministra spraw wewnętrznych, wskazujący ważne znaczenie wystaw drobnego przemysłu i polecający organizowanie komitetów, celem ułatwienia zbytu wyrobów włoścjańskich bez pośrednictwa hurtowników. Wtedy to powstały „komitety drobnego przemysłu“ w niektórych miastach gubernjalnych, a później i powiatowych, oraz poczęto urządzić stałe wystawy wyrobów włościańskich.

Drugą ważną chwilą w historii rozwoju przemysłu drobnego — była Najwyższa uwaga szczęśliwie nam dziś panującego Jego Cesarskiej Mości Najjaśniejszego Pana na najpoddańszym raporcie gubernatora jarosławskiego, zaznaczającym dokładne wypełnienie zamówień wojskowych przez włościan okręgu burmakińskiego. Mianowicie obok miejsca, gdzie była mowa o zamówieniach wojskowych, jako o „sprawie bardzo ważnej i szczególnie pożytecznej dla rozwoju przemysłu drobnego“, była zrobiona Najwyższa uwaga: „Zupełnie słusznie, to bardzo pożądane“.

Tej Najwyższej uwadze zawdzięczają swe istnienie „przepisy tymczasowe“, tyżące się dostaw wojskowych przez włościan, niedawno, po 3-letniem doświadczeniu, przejrane i zmienione.

Po raz pierwszy drobny przemysł rosyjski wystąpił w r. 1882, na wystawie wszechrosyjskiej, jako „samodzielny wystawca licznych i rozmaitych wyrobów. Ale z olbrzymich, milionowych sum, wydanych na urządzenie tej wystawy — na oddział przemysłu domowego przeznaczono zaledwie 15,000 rb.

I teraz także, środki pieniężne, jakimi rozporządza ministerjum rolnictwa na popieranie przemysłu domowego, są bardzo szczupłe. W latach 1888—1890 wydano na ten cel po 35,000 rb. rocznie, a do r. 1901 podwyższono tę sumę do 109,972 rb. Licząc ogólną liczbę włościan-rękodzielników na 7 milionów, wypada, że rząd wydaje na każdego z nich mniej, aniżeli półtorej kopiejki rocznie *). Tymczasem w małej Szwajcarji tylko na same subsydja dla szkół przemysłu

*) Ciekawe jest zestawienie tej sumy, wydanej na cały ludowy przemysł domowy, z sumą asygnowaną kuratorjom trzeźwości na zabawy ludowe, a które w r. b. wynosi 3,112,000 rb.

drobnego i w
nosząca czwa
handlu i prze

Jednocze
przemysłu dr
np. urząd cel
ostatecznie w
rozwinęty tam
wiele trudu, ab
emigracji ludno
nych. Takie roz
nie posiada mas
granicą istnieją
następnie drogą

We wsi Bezw
włoścjanin zaczął w
które przedtem sprow
tych tkanin doszła ju
zaczął upadać. Na up
niesienie cła na zagr
z którego wyrabia się t

Wskutek tego przes
a do wyrobów zaczęto uży
w złym gatunku i często
rabia się dwa razy mniej,
i daje z puda 18½ funta od

W tej samej wsi rozw
kotwicznych. Jeden z tamte
lato na statku, dowiedział się
się z Anglii.

Po powrocie do domu, sprób
we własnej kuźni. Próba wypadła po
szli za jego przykładem i fabrykacja lan
chniła się w całej wsi.

Łańcuchy włościańskie nie są bynajmniej
angielskich, a nawet przewyższają je dobrocią,
niektórzy badacze, a pomimo to, są trzykroć tańsze
gielskich, dla tego tylko, że wychodzą z kuźni niewy
wane, jak angielskie, na prasie hydraulicznej, gdyż wie
nie maszyny tak drogiej (6,000 rb.) kupić nie są w stanie

I oto „przez całe lata starają się o to, aby im wska
zano urzędnika, który mógłby cechować ich wyroby, budują
sami prasę, dają urzędnikowi pieniądze na drogę, jeżdżą do

ych urzędów

i statystyki

popiera prze-

y tegoż mini-

ymać. Dzieje

e mylnie tło-

ęcej urząda-

icznych, fabryk

na opał drzewa.

zy zamyka i za-

i cegielnie, po-

rg włościan, że

ane do kategorii

36.

u państwie włościa-

zakłady i warsztaty

aniczone.

pi niedostatek, w fa-

trudno żyć włościani-

ędzy włościanami wy-

większa.

skutek przedpotopowych

bardzo dużo materiału.

ieuzasadniona, gdyż obszar

niczych wynosi 2,400,000

się corocznie 600,000 sąż.

o wyprodukowania corocznie

jonów pudów surowca, a tym-

zakłady górnicze produkowały

w, i dopiero niedawno cyfra ta pod-

ów. Większa część pozostałego zapa-

ali się. Ztąd powstają olbrzymie pożary

ęgach górniczych.

Substancje Pa

ARTEX

*) Z referatu W. Biełowa, odczytanego w kwietniu r. b. w Tow. popierania ros. przemysłu i handlu.

III.

Oddawna istnieje wiele wyjątków z przepisów, tyczących się sprzedaży drzewa z lasów rządowych na użytek przemysłu. Ulgi zaś dla włościan miały początek dopiero w r. 1896, pomimo że obróbka drzewa zajmuje pod każdym względem pierwsze miejsce w drobnym przemyśle Rosji.

Wielką przeszkodą do bezpośredniego zakupu drzewa przez włościan były kaucje w wysokości 10—30 % ceny towaru, wymagane przez departament leśny i dopiero w r. 1881 pozwolono na przyjmowanie zamiast kaucji poręczeń gminnych lub osób pewnych, chociaż obie te formy nie obeszły się bez pośrednictwa wiejskiego hurtownika-lichwiarza.

Sprawa wzięłaby zupełnie inny obrót, gdyby prawo pozwoliło na poręczenie solidarne mieszkańców wsi, zakupujących drzewo do spółki lub przez artel.

Do racjonalnego korzystania z nowych przepisów w znacznym stopniu przeszkadza zbyt wczesny termin ostateczny do kupna drzewa, mianowicie 15 września (st. st.), gdy włościanie nie ukończyli jeszcze robót polnych.

Z tego widać, że z ulg, jakie dają nowe przepisy, nie może korzystać znaczna liczba włościan-przemysłowców.

Przemysł domowy napotyka także wiele innych przeszkód, i to ze strony samego skarbu.

Tak np. pomimo prawa, pozwalającego majstrom w gub. ekaterynburskiej na wyrób przedmiotów złotych na wolną sprzedaż, nie ma tam dotychczas izby probierczej. Wskutek tego włościanie muszą nabywać oprawy do kamieni w Moskwie, co ich pozbawia znacznej części zarobku.

Niewiadomo, dla czego włoścjanom nie pozwolono dobywać drogich kamieni w skarbowych kopalniach uralskich, pomimo, że kopalnie te były zarzucone od lat dwudziestu.

Gdy skarbowy okrąg góro-błagodacki, jako wyczerpany, oddano drobnym przedsiębiorcom, ilość wydobywanego złota wzrosła z 2-ch pudów — do 90 pud. rocznie. Departament górniczy, zamiast zastosować ten sam system do innych okręgów, jakby przestraszony świetnymi rezultatami, oddał jeden okrąg Baszmałowowi za 2,000,000 rb. a ten odstąpił go komu innemu za 5 milionów, drugi zaś okrąg — wielkiej spółce.

Niegdyś broń palna, klingi kindżałów i szabel, a jeszcze dawniej kolczugi kaukaskie, cieszyły się wielką wziętością. Gwintówki dagestańskie, podczas wojen kaukaskich były lepsze od rosyjskich. Po skończonych wojnach zabro-

niono wyrobu broni palnej i doświadczeni puszkarze zmuszeni byli zająć się ślusarstwem i kowalstwem. Na zimę wychodzili do większych miast i w zbudowanych naprędce szopach trudnili się naprawą kociołków, rądl i t. p. naczyń kuchennych.

Zamiast podtrzymać malowanie obrazów świętych przez włościan, z którego słynęły niektóre okolice gubernji włodzimierskiej, pozwala się na fabryczny wyrób obrazów. Pewna firma moskiewska, wyrabiająca pudełka blaszane do szuwaksu, zaczęła wyrabiać obrazy na blasze; żyd odeski otwiera drugą podobną fabrykę.

Wyrobem koronek trudni się w Rosji do 30 tysięcy kobiet; koronki wyrobiły sobie nawet zbyt za granicę a nic się dla tej sprawy nie robi, podczas gdy w samych Austro-Węgrach znajduje się 37 szkół, w których uczą tkactwa i wyrobu koronek.

Nie zrobiono ani jednego kroku, aby rozwinąć wyrób skór łojkowych, i skóry te sprowadza się z Francji i Austrii, pomimo, że w powiecie dmitrowskim wyrobem rękawiczek łojkowych trudni się przeszło 3,000 kobiet.

Istnieje wysokie cło na blachę, której wielka ilość idzie na potrzeby przemysłu drobnego, lecz nic się nie robi, aby poprzeć jej wyrób krajowy. Niemcy i Anglicy zaczęli sprowadzać żelazo na blachę, a w Warszawie, Moskwie, Libawie i innych miastach powstały fabryki, w których cynują żelazo zagraniczne. Tymczasem, jak dowiodły badania W. Bielowa na Uralu, sami włościanie mogli by wyrabiać blachę z żelaza uralskiego, tańszą o 91 kop. na pudzie od tej, którą robią fabryki z żelaza zagranicznego *), przytem żelazo uralskie okazuje się lepszem do tego wyrobu od zagranicznego.

IV.

W ogóle metale, używane w przemyśle domowym, kosztują zbyt drogo. Prywatne fabryki żelaza na Uralu, na zasadzie syndykatu, sprzedają swój produkt po tej samej cenie, co w N. Nowgorodzie, to jest, doliczają do ceny koszt

*) Blacha w Uralu, gdzie jej używają do okucia kufrów, kosztuje 4 rb. 65 kop. pud, w Londynie zaś tylko 1 rb. 61 kop.

przewozu do Niżnego. To samo się praktykuje w fabryce rządowej w Niższym Tagilu. Przytem „wiele fabryk wcale nie sprzedaje żelaza włościanom, jako drobnym odbiorcom, lecz wolą mieć do czynienia z hurtownikami, którym włościanie muszą płacić za żelazo znacznie drożej“.

Włościanie-przemysłowcy przepłacają za żelazo ogromne pieniądze, i przytem otrzymują towar nieodpowiedni, nic jednak nie zrobiono w tym kierunku. Tymczasem, gdyby zarządy ziemskie pełniły takie obowiązki, jakie skarb powierza agentom skarbowych zakładów górniczych, i otrzymywały takie same ustępstwa, włościanie-przemysłowcy mieliby żelazo conajmniej o 60 kop. na pudzie taniej. Czyż dla państwa korzystniej czynić ustępstwa agentom-kapitalistom, aniżeli tak poważnej organizacji, jak ziemstwo, pod firmą której, bez żadnego uszczerbku dla skarbu, z ustępstw korzystali by zamiast bogatych agentów, tysiące najbiedniejszej i najpracowitszej ludności.

W interesie samego departamentu leśnego leży rozwój przemysłu drzewnego, który objął największe przestrzenie państwa; a co departament ten zrobił np. w sprawie otwarcia składów suchego drzewa, tak niezbędnego w przemyśle domowym? Co zrobił w sprawie urządzenia plantacji wierzby, używanej na wyroby koszykarskie, lipy na łyka, klonu na meble gięte i t. d.? Co zrobił w kierunku rozpowszechnienia w państwie gatunków drzew, sprowadzanych z zagranicy i t. d.?

Ministerjum wojny potrzebuje corocznie za 30 milionów różnego rodzaju wyrobów tkackich, około 1 miliona par obuwia, przeszło 1 milion arszynów taśmy, 800,000 rogóz i t. p. Lecz „włościanie, będący u nas przeważnie jedynymi wytwórcami tych towarów, nie mają jednak bezpośrednich stosunków ze skarbem i spełniają zamówienia przez pośrednictwo rozmaitych dostawców, przeważnie żydów“. Tak więc za sukno, które w Moskwie kosztuje 60—80 kop., skarb płaci po 1 rb. 10 kop. Jak się wyrażają włościanie, w ostatniej wojnie robili dla wojska sukno, tkane na zamówienie dostawców nie z wełny, lecz z piasku. Słyna także dostawcy obuwia, teraz milionerzy, obuwia z podeszwami tekturowemi, w którym żołnierze rosyjscy przechodzili Bałkany.

Ponieważ intendentura udziela zaliczek na zastaw fabryk, praktykują się olbrzymie oszustwa i dostawcy dla pozorów wydzierżwiają opuszczone fabryki, do maszyn wstawiają zamiast brakujących metalowych części, drewniane i t. p. *).

*) W. Prugawin: „Przemysł domowy na wystawie w r. 1882“.

Artel mechaniczny n. turyński na Uralu wyrabiał dla artylerji gilzy do nabojów po 37 kop., gdy cena fabryczna wynosiła 1 rb. 25 kop. i dostarczyła ich w ciągu kilku lat za 326,000 rb. zarabiając około 40,000 rubli. Niewiadomo dlaczego pozbawiono artel tej roboty i wyrób gilz powierzono znowu fabryce rządowej, która je robi po 1 rb. — 1 rb. 25 kop.

Pod miano przemysłowców - włościan podszywają się często, jako dostawcy skarbowi, lichwiarze lub fabrykanci.

Dotychczas do ministerjum marynarki, które najrzadziej zwraca się do przemysłowców drobnych ze swemi zamówieniami, jak mówią, dostarcza śruby gwintowane wielki fabrykant, podając je za wyrób domowy włościański, a śruby takie mógł by doskonale wyrabiać np. artel pawłowski.

W ogóle, pomimo Najwyższej woli, wyrażonej na najpoddańszym raporcie gubernatora jarosławskiego za r. 1894, o czem już wspominaliśmy, przez cały ten czas, z olbrzymich ilości towarów, zamawianych przez ministerjum wojny, włościanie otrzymują tylko dostawę rogóz i szycie obuwia z materiałów skarbowych, a i to w bardzo ograniczonych rozmiarach.

Podczas, gdy w Niemczech, Austrii, Francji, Szwecji, Szwajcarji i t. d. założono już szereg szkół rzemieślniczych i drobnego przemysłu (w małej Szwajcarji dziesięć lat temu było 25 szkół), w Rosji z wielkim trudem powstają najniezbędniejsze szkoły.

Wiele wysiłków i kłopotów kosztowało otrzymanie 700 rubli, których zabrakło dla utworzonej z inicjatywy prywatnej szkoły, mającej za zadanie podtrzymanie drobnego przemysłu stolarsko-rzeźbiarskiego w Rostowie. Aby uzyskać otwarcie szkoły rzemiosł w takim centrum przemysłu drobnego jak wieś Pawłowo, trzeba było przeszło *dwudziestu lat* korespondencji pomiędzy rozmaitemi instytucjami i wtedy dopiero uzyskano pozwolenie, gdy miejscowe zgromadzenie włościańskie przyjęło na siebie koszty.

W Syberji, gdzie rozwój przemysłu domowego ma szczególnie ważne znaczenie pod względem państwowym i ekonomicznym, otwarto z funduszków prywatnych we wsi Sosnowskoje jedyną w kraju, dobrze uposażoną szkołę, posiadającą maszyny rolnicze i narzędzia, wzorowe warsztaty garbarskie, mydlarskie i inne, udoskonalone ule, a od gabinetu Jego Cesarskiej Mości 400 dziesiątin ziemi.

Pomimo to wszystko, wkrótce, na skutek intryg pewnego lichwiarza i przedstawienia komisarza włościańskiego, który nie sprzyjał szkole, szkołę zamknięto, a całe jej mienie zostało sprzedane za bezcen lub rozkradzione.

V.

Jak ważny jest przemysł domowy w sprawie ogólnego rozwoju przemysłu krajowego, tego rząd nie rozumiał i teraz rozumie niezupełnie.

Od czasu pierwszych trosk Piotra I o rozwój przemysłu w Rosji, o przemyśle drobnym zapomniano zupełnie, a przeniesiono z Zachodu nową, gotową formę fabrykacji. A jak można było—mówi A. Korsak, nie brać pod uwagę przemysłu domowego, który miał dość siły żywotnej, aby przyjąć nową, produkcyjniejszą i doskonalszą formę? Czyż nie trzeba było, przedewszystkiem zwrócić się do żywych sił ludowych i pozwolić im rozwijać się dalej, zamiast je gnębić monopolami i niewolą?

Te same pożyczki, te same ofiary, jakie ponosił rząd dlatego, aby wzbogacić pojedynczych kapitalistów, przeważnie nie mających nic wspólnego z przemysłem—można było przeznaczyć na całe wsie i miasta, słynne oddawna pewną gałęzią przemysłu; zamiast budować na koszt skarbu fabryki i zakłady i oddawać je potem kupcom i właścicielom ziemskim, czyż nie byłoby rozsądniej oddawać je całym miejscowościom, które trudniły się tą właśnie gałęzią, z pomocą prostych narzędzi domowych, a którym brakowało tylko racjonalnej organizacji, udoskonalonych sposobów i umiejętności, ulepszonych narzędzi i maszyn.

Na Zachodzie przemysł fabryczny rozwinął się organicznie z domowego. Taki jest początek przemysłu Halifaxu, Scheffieldu, Birminghamu, opartego początkowo na fabrykacji domowej. W ten sam sposób powstał w Anglii przemysł bawełniany w Lancaster, Manchester i t. d., oraz sukienny w Leeds, Halifax, Brandford, Wackfield.

We Francji cały prawie przemysł Delfinatu mieścił się po wsiach. To samo można powiedzieć o ljońskim przemyśle jedwabnym, wełnianym w Reims, lnianym na Szląsku pruskim, o fabrykacji zegarków w Szwajcarji i t. d. i t. d.

To samo działo się także w Rosji. Fabrykacja słynnych perkalików w Iwanowo-Wozniesieńsku wzięła początek z przemysłu domowego. Gdy po wprowadzeniu taryfy celnej roku 1819, wiele fabryk upadło, byli pracownicy ich, włościanie rozwinęli przemysł po wsiach, zakładając własne warsztaty, z których z czasem powstały fabryki. Taki sam początek miały fabryki sukna w Materach, w gub. włodzimierskiej. Całe kupiectwo szujskie powstało z włościan-przemysłowców, jak również Morozowowie, którzy do tak olbrzymich rozmiarów posunęli tkactwo, słynni Demidowowie, Potapenko, który pierwszy w Rosji rozpoczął wyrób skór hamburskich, milioner Martynow, Pogrebow, Stolarow, który otrzymał wiele medali złotych na wystawach w Londynie, Wiedniu, Paryżu, Amsterdamie.

Przemysł domowy posiada wielką siłę wzrostu i w rękach rządu mógłby się stać potężną bronią w sprawie rozwoju przemysłu krajowego i podniesienia dobrobytu narodowego. Przy artelowej organizacji fabrykacji, specjalnych szkołach, pośrednictwie w zbycie wyrobów ze strony komisjonerów lub firm poważnych i towarzystw, oraz jednoczesnym rozwoju towarzystw kredytowych, — przemysł domowy miałby, bez wątpienia, wielką i pewną przyszłość w Rosji.

Podobną organizację posiada przemysł domowy na Zachodzie. Fabrykacją słynnych koronek weneckich, która w siódmym dziesiątku lat zeszłego wieku już była upadła, znowu podniosła się do dawnej wysokości i zdobyła sobie rynki europejskie tylko dzięki założeniu kilku szkół. W ten sam sposób podniósł się upadający już przemysł żelazny w Remscheid, z kąd rozchodzi się po całym świecie nieprawdopodobna ilość pił, pilników, łyżew i t. d.

Tak samo również zorganizowane są: fabrykacja wyrobów plecionych w Wolen, wyrób zabawek w Turyngji, zegarków w Schwarzwaldzie, wyrobów metalowych, zwłaszcza nożowniczych w Solingen.

Na zachodzie do rozwoju wszelkiego rodzaju gałęzi przemysłu domowego dzielnie pomagają liczne szkoły rzemieślnicze i przemysłowe, muzea, posiadające bogate zbiory modeli i rysunków, z których korzystać może każdy rzemieślnik; specjalne kursy dla nauczycieli i t. p.

Ogromny wpływ na rozwój i organizację przemysłu domowego za granicą ma łatwość taniego kredytu. Podczas, gdy w Niemczech, w połowie roku 1895, istniało 6.417 kas pożyczkowo-oszczędnościowych dla rzemieślników i drobnych przemysłowców, w Rosji są oni prawie zupełnie pozbawieni łatwego kredytu. Wydane przez bank państwa przepisy,

tyczące się „towarzystw kredytowych“, operujących kapitałem, otrzymanym z banku, a które, jakby się zdawało, mogły by stworzyć nową epokę dla drobnych przemysłowców, utrzymywane w jakiejś tajemnicy, nie są znane nie tylko rzemieślnikom, lecz większości ludzi oświeconych.

VI.

Zasługi drobnego przemysłu dla kraju, nawet przy obecnym stanie, przy braku organizacji i kredytu, są bardzo duże. Drobni przemysłowcy stworzyli nowe, obszerne gałęzie wytwórczości. Tak np. Proskurjaków wprowadził fabrykację tkanin metalowych, które, jak już wspominaliśmy, sprowadzano poprzednio z zagranicy, a których obecnie wyrabiają w gub. niżegorodzkiej za 800,000 rb. rocznie. Inny rozpoczął wyrób łańcuchów kotwicznych.

Dawniej sprowadzano do Rosji sierpy z zagranicy, teraz robią je w gub. włodzimierskiej, daleko taniej, po 1 miljonie sztuk corocznie, i zaopatrują w nie nie tylko całą Rosję i Finlandję, ale także Bułgarję, Serbję, Rumunję, Turcję, Grecję, a nawet Japonję i Chiny. Obecnie rozpoczęto wyrób łopat ze skali uralskiej, oraz pilników, zamiast sprowadzania angielskich.

Drobni przemysłowcy z powodzeniem rozpoczęli fabrykację tanich pługów włościańskich, oraz stworzyli tanie typy wialni, młocarni, tańsze i niegorsze od fabrycznych, wynaleźli nawet tanią żniwiarkę (2—5 rb.). Udostępniając użycie tego rodzaju maszyn gospodarstwu włościańskiemu, przyniosą całemu krajowi wielką korzyść.

Przy należytem poparciu — mówi Andrejew — można by rozpocząć domowy wyrób maszyn hafciarskich, maszyn do szycia, do pisania i welocypedów, oraz rozwinąć wyrób zegarków, a w gubernji tulskiej i w Dagestanie, gdzie są zdolni puszkarze, fabrykację strzelb magazynowych, rewolwerów i broni białej.

W gubernji wiatskiej i teraz już robią tańsze od zagranicznych arystony, koncertyny i fisharmonje, przy prawie zaś wyroby te mogłyby zupełnie wyrugować z kraju zagraniczne.

Na poparcie i organizację czeka tylko i garbarstwo,

gdyż nawet i większe fabryki nie wyrabiają droższych gatunków skór, sprowadzanych z zagranicy. Futur surowych wychodzi z Rosji za miliony rubli i następnie powracają wyrobione, droższe trzy razy. Np. w Niżnym skupują skórki zajęcze dla Lipska po 6—7 kop., a często powracają do Rosji pod inną nazwą i sprzedają się po 3 $\frac{1}{2}$ rb. za sztukę.

Jedwabnictwo, które przynosi przeszło tysiąc rubli czystego dochodu z dziesięciny, mogło by się pomyślnie rozwinąć, oprócz Kaukazu i Azji środkowej, na południu, w gub. astrachańskiej, której klimat sprzyja bardzo jedwabnictwu. oraz w kraju usuryjskim, gdzie morwa rośnie w stanie dzikim. Jedwabnictwo nie tylko że się nie podnosi, lecz na Kaukazu i w Azji środkowej nawet upada. W Turkiestanie, po osiedleniu się tam rosjan, rozpoczęto bez litości cięcie drzew morwowych na opał i władze administracyjne nie tylko nie zapobiegały zniszczeniu, lecz wyznaczały za drzewo morwowe wyższe ceny, aniżeli za inne gatunki.

Wielką przyszłość mógłby mieć domowy wyrób kalafonji i terpentyny, oraz wydobywanie garbników, które dotąd sprowadza się z zagranicy, pomimo że w Rosji istnieją olbrzymie przestrzenie, obfitujące w surowe materiały. W guberniach lesistych jak niżegorodzka, wcale nie pędzą terpentyny, a fabrykacja ta była by bardzo korzystną, gdyż terpentyny oczyszczonej można by używać do oświetlania domowego i miast, jak się to praktykuje w Norwegji.

Wielce sprzyjające warunki dla rozwoju przemysłu drobnego posiada Syberja. Smoła mogła by mieć łatwy zbyt za granicą, zwłaszcza przy posilkowaniu się komunikacją rzeczną. Bogate rudy żelazne, obfitość lasów, węgiel kamienny i wielka potrzeba wyrobów żelaznych, tak dla ludności miejscowej, która obchodziła się dotąd bez żelaza, jak i dla kopalń złota—zapewniłyby rozwój przemysłu żelaznego. Wyroby żelazne mogły by mieć wielki zbyt między krajowcami syberyjskimi, w Turkiestanie, Chinach, a zwłaszcza w stepach i w Mongolji.

Bardzo ważne znaczenie dla życia ekonomicznego Rosji ma ta okoliczność, że przemysłowcy-włościanie, natrafiwszy na miejscowość, najbardziej sprzyjającą ich rzemiosłu, osiadają tam na stałe i rozwijają swój przemysł w nowych miejscach.

Koloniści europejscy wywierają wielki wpływ na rozwój przemysłu domowego na Syberji. Niedość, że podnoszą gospodarke rolną, lecz słyną, jako najlepsi garbarze, stolarze, kowale i t. d. W niektórych miejscowościach koloniści wyrabiają wozy, naczynia drewniane, meble, dzwonki, pędzą

terpentynę, sieją gorczycę. Małorosjanie pod Ust'-Kamienogorskiem hodują arbuzy i soneczniki na olej. Koloniści posiadają maszyny do wyrobu masła, nowe młyny, warsztaty tkackie.

Na południu, połud.-wschodzie i poł.-zachodzie Rosji spotykamy bardzo wielu mieszkańców gubernji włodzimierskiej, niżegorodzkiej, moskiewskiej, którzy pracują tam jako stolarze, cieśle, ślusarze, handlarze i t. d. Tacy wędrowni przemysłowcy byli by pożyteczni także na południu, w Azji środkowej i w ogóle tam, gdzie rzemiosła miejscowe są mało rozwinięte, lub gdzie nie ma wcale niektórych gałęzi.

VII.

Ze wszystkiego, o czem dotąd mowa była, można się przekonać, że przemysł domowy nie upada, lecz rozwija się i wzrasta w uporczywej, nierównej walce z wielkim przemysłem; widzimy, ile siły, uporu, sztuki orientowania się przy najtrudniejszych i najrozmaitszych warunkach, ile umiejętności i talentów kryje w sobie ta wielka, pracująca masa ludu. Widzimy, jak ważne i nawet niezbędne jest istnienie przemysłu drobnego w kraju. Gdyby go nie było, połowa rolniczej Rosji spędzała by większą część roku w próżniactwie, nie mając przytem środków do zapłaty podatków. Ponieważ długie zimy wstrzymują roboty gospodarskie na czas ośmiu miesięcy, przeszło półroczna bezczynność miljonów ludzi była by smutnem zjawiskiem w życiu ekonomicznem narodu, a wzrost bogactwa narodowego byłby stale wstrzymywany.

Wychoźdztwo na zarobki nie zastąpiło by przemysłu domowego. Co zresztą może ono pomódz tym setkom tysięcy robotników, którzy co lato wyruszają z gubernji środkowych i północnych na stepy, aby po sprzątnięciu zboża, powrócić do domu? Z workami na plecach idą na los szczęścia i rzucają własne gospodarstwa w czasie, gdy rąk roboczych najbardziej potrzeba. Młode dziewczyny idą za ich przykładem i wędrują w dalekie strony, narażając się na utratę zdrowia, a często i dobrej sławy. Mojem zdaniem — mówi M. Kowalewski — jest to najwymowniejszy dowód nędzy, panującej w naszych wsiach. Szkodliwy wpływ wy-

chodźstwa po zarobki idzie dalej. W gubernji tulskiej zauważono niezwykle wzrost śmiertelności ludności męskiej, gdyż emigracja i ciężka praca na obczyźnie rujnuje jej zdrowie. To samo będzie wkrótce z kobietami, których coraz więcej wychodzi na zarobki.

Dochód, jaki daje włościanom przemysł domowy, nie jest bynajmniej tylko dodatkowym do głównego, z rolnictwa, i w długim łańcuchu pracy chłopskiej jest to niezbędne ogniwo, które jedynie daje możność związać w gospodarstwie koniec z końcem. Gdy tego ogniwa brak — powstaje nędza i ruina.

Ponieważ wszystkie podatki skarbowe, ziemskie i inne włościanie pokrywają przeważnie z zarobków, jakie im daje przemysł domowy, upadek jego pociąga za sobą zmniejszenie zdolności płatniczej ludności i wzrost niedoborów. Wymownym tego przykładem służyć może Krasnaja Ramień (19 osad w gub. niżegorodzkiej), gdzie kiedyś kwitnął wyrób gwoździ, a teraz upadł zupełnie. W r. 1891 liczono tam 55,000 rub. zaległych podatków. Przeciwnie w powiecie nowooskolskim, gdzie wyrobem obuwia zajęto się ziemstwo, nawet w lata największego nieurodzaju i głodu, ludność nie brała pożyczek żywnościowych.

Przyczyną zawodowego żebractwa w niektórych okolicach jest jedynie upadek miejscowego przemysłu domowego.

Fundamentem gospodarstwa włościańskiego jest połączenie pracy męskiej z kobiecą. Chłop pozbawiony pomocy kobiecej, zwłaszcza obarczony dziećmi, nie da sobie rady i pójdzie z torbami. Póki mężczyzna pracuje w fabryce, rodzinę zaś ma na wsi, nie zrywa związków z ziemią i wraca do niej od czasu do czasu. Gdy jednak przeprowadzi się z całą rodziną do koszar fabrycznych, gdy żona i dzieci znajdą zajęcie w fabryce, nigdy już nie powraca na rolę i dzieci jego stają się specjalnie fabrycznymi robotnikami.

Z tego wynika, że utrzymanie kobiety w gospodarstwie domowym, dostarczenie jej pracy, która by nie odciągnęła jej od ziemi, od domu i dopomogła do takiego ustroju gospodarstwa, w którym rolnictwo z przemysłem idą ręką w rękę — jest podtrzymaniem całej gospodarki włościańskiej.

Kobieta jest głównym czynnikiem prawidłowego rozwoju gospodarstwa wiejskiego i wywiera nań potężny, decydujący wpływ. Ziemstwo moskiewskie dowiodło tego wykazując, że znaczna liczba włościan rujnuje się wskutek śmierci żon. To samo zauważono w innych gubernjach.

VIII.

Podczas, gdy w Rosji, w której technologia stoi na niskim szczeblu rozwoju, która sprowadza maszyny z Zachodu za drogie pieniądze, gdzie wykształcenie przemysłowe stoi bardzo nisko, gdzie wreszcie robotnik jest bardzo tani, rząd i społeczeństwo zaniedbuje przemysł domowy—w małej Szwajcarii i rząd związkowy, i władze kantonalne, i towarzystwa przemysłowe, i osoby prywatne poświęcają wiele trosk i ofiar materialnych na zawodowe wykształcenie rzemieślników w ogóle i drobnych przemysłowców w szczególności.

Wszędzie, gdzie istnieje jakabądź gałąź przemysłu domowego, widzimy energiczne dążenie do jego podniesienia i rozwoju, objawiające się przez zakładanie specjalnych szkół, bardzo tanich lub bezpłatnych i dla każdego dostępnych, muzeów, wystaw i t. p.

Każdy rękodzielnik, posiadając pierwsze wiadomości o rzemiośle, przechodzącym w jego rodzinie z ojca na syna, może łatwo rozwinąć i udoskonalić swoje wiadomości techniczne i zdolności, na miejscu, nie opuszczając wioski rodzinnej. Przedsiębiorczość jednostki ma pole do działania, i spotyka pomoc ze strony społeczeństwa i państwa.

Przy takich warunkach przemysł domowy ma rozwój zapewniony, i dlatego w wielu gałęziach wytwórczości drobna Szwajcaria wytrzymuje konkurencję potężnych sąsiadów. Nie ma tam obawy, aby przemysł, powstały wśród ludności danej miejscowości mógł upaść lub wyrodzić się z braku sił odżywczych, gdyż wszystkie udoskonalenia techniczne stają się tam własnością ogółu, a rozpowszechnienie wykształcenia artystycznego zapewnia prawidłowy rozwój poczucia estetycznego w szerokich warstwach.

Przy rozpatrywaniu sprawy przemysłu domowego trzeba zwracać uwagę nie na stosunek jego do przemysłu kapitalistycznego, w obec którego wygląda na początkową formę przemysłu krajowego, lecz na stosunek jego do rozwoju życia ekonomicznego całego narodu, w którym, wobec jednostronnego rozwoju wytwórczości kapitalistycznej, zgromadzenie bogactw na jednym biegunie, podług wyrażenia Karola Marksa, t. j. pośród kapitalistów-właścicieli, wytwarza na drugim, to jest w klasie robotniczej skupienie nędzarzy, trudów pracy, niewolnictwa, ciemnoty, nędzy moralnej.

Zadanie państwa w tej sprawie jest jasne; powinno—mówi prof. Isajew—wszelkimi siłami dopomagać tym, któ-

rzy mają najmniej sił do walki z wrogimi stosunkami. Trzeba więc się zgodzić na wniosek, że niezbędnem jest zorganizowanie systemu poparcia ze strony rządu dla przemysłu drobnego w taki sposób, aby system ten pomagał do grupowania włościan-przemysłowców w stowarzyszenia przemysłowe, oparte na zasadach wspólności i solidarności.

Ostatecznym zaś celem działalności rządu w tym kierunku ma być zaprowadzenie organizacji racjonalnej wytwórczości, opartej na potrzebach narodu i państwa, nie na interesach zbytu i konkurencji, co się zdarza przy obecnej kapitalistycznej organizacji sił ekonomicznych kraju.

A. D. Pogruzow.

SAMKO PTAK.

LEGENDA SŁOWACKA

Juljusz Zeyer, poeta i powieściopisarz czeski, należy do największych pisarzy naszej doby. Potęga jednoczy się w utworach jego z wykwiitnością, głęboka treść ze śliczną formą.

Pomimo, że przytem Zeyer był zawsze szczerym, gorącym przyjacielem narodu naszego, ogół nasz nie miał żadnego pojęcia o wielkim pisarzu pobratymczego narodu. Usłyszeliśmy o nim i do wiedzieliśmy się o jego dziełach i zasługach dopiero po śmierci Zeyera (urodził się 26 kwietnia 1841 r. umarł 28 stycznia r. b.) z notatek, które p. Zenon Przesmycki łaskawie rozsyłał redakcyom pism warszawskich.

To też za zasługę prawdziwą poczytujemy firmie S. Lewentala, że wydała wybór pism Zeyera w mistrzowskim przekładzie Mirjuma.

Aby zapoznać jaknajszerszy ogół z mistrzem literatury czeskiej, zamieszczamy jedną z trzech legend. znajdujących się w II tomie wydawnictwa.

Noc była chmurna, jak dola słowackiej krainy, burza grzmiała w dali, jak wściekłość hordy mongolskiej, która do dzisiaj znękany lud ten gnębi. Ciemność była tak gęsta, że gór aniby dojrzał. Lasy szumiały, potok pieniać się pędził między skałami, posepny, zimny, wrogi. W jednym tylko miejscu pełny był czerwonych blasków, jak gdyby ktoś skarb złota i rubinów na mieliznę jego wysypał. To padało nań światło z otwartych drzwi poblizkiej zagrody.

Ogromny ogień buchał tam na kamiennym kominie przestronnej kuchni. Pieczono na ruszcie całego barana. Gromada mężczyzn o jasnych oczach i surowych twarzach siedziała w pobliżu na drewnianej ławie i popijała z glinianych dzbanów. Drzwi stały otwarte na ścieżaj, było gorąco u tego wesołego trzaskającego ognia, świecącego aż nad rzekę i na ścieżkę, wiodącą wzdłuż jej brzegu. Na drożynie tej zjawiła się teraz wysoka, wychudła postać młodego mężczyzny. Był bosi i w podartej sukmanie. Płowe, długie włosy miękko spadały mu na kościste ramiona, oczy miał jak szmat błękitnego nieba, płochliwe, marzące, łagodne. Twarz jego była blada, zeszpecona przez nędzę, śmiertelnie w tej chwili smutna i naznaczona czerwoną pręgą, ciągnącą się od prawej skroni przez usta aż do lewego ucha. Biedak zatrzymał się o kilka kroków od drzwi, nie śmiejąc podejść bliżej. Usta jego poruszyły się, i w ciemności nocnej, w ciężkim przed burzą powietrzu, ozwał się zamiast słów świegot jakiś ptasi, cichy, słodki i smutny. Dźwięk ten zawionął do bielonej, jasnej od ognia kuchni, i gospodarz wyszedł na próg. Ten głos ptaka w ciemności nocnej, przy zbliżającej się burzy, zadziwił go nieco. Szukał ptaka—i ujrzał człowieka.

— Kto to? — rzekł grubym głosem, przysłonił sobie ręką oczy i patrzył.

Blady nędzarcz z krwawą pręgą na twarzy drgnął teraz boleśnie, obejrzał się dokoła, jakby chcąc się upewnić, że stoi na miejscu, którego szukał, i oczy jego napełniły się łzami. Tak, tu stał niegdyś jego domek, tu było niegdyś jego pole! Nie kłamali tedy, nie drwili z niego, gdy mu rzekli: „Wszystko, co niegdyś było twojem, należy teraz do innych. Przyszli jacyś z Niemiec obcy ludzie, i pan twój i nasz dał im, co twojem było.“

— Kto to?—powtórzył gruby głos z obcej mowy brzmieniem.

Blady młodzieniec otarł w mroku nocnym łzę, smętny jakiś uśmiech rezygnacji świecił mu z oczu, chciał przemówić, ale zamiast słowa z ust jego wybiegło znowu coś, jakby smutne, słodkie, tkliwe świegotanie drozda. Zrobił krok bliżej—i pełne światło padło na jego wynędzniałą postać.

— Włóczęga! — rzekł Niemiec niechętnie i nieufnie. — Precz mi ztąd!

Tymczasem przystąpił do gospodarza drugi mąż.

— Tego niema co się obawiać — rzekł z uśmiechem. — To głupowaty. Wołają nań „Ptak“, był przy budowie zamku. Dziś rozegnali tam tę hałastrę, która nareszcie skończyła stawiać mury. Nie potrzeba im już tych ludzi, a nie wiedzą, co teraz począć z nimi. Nie rób nic złego „Ptakowi“, ale do domu go nie puszczaj. Kradnie najpewniej.

Miał w ręku wielki kawał chleba i, acz urągał żebrakowi, litował się jednak nad nim. Rzucił mu tę kromkę zdaleka, jak psu. Padła nędzarzowi pod nogi, a on, myśląc, że to kamień, cofnął się o krok, zamiast po rzuconą jałmużnę się schylić. Męża, który chleb rzucił, rozgniewała ta niewdzięczność.

— Chleba nie chce! — jął się wściekać — a do domu chciałby się wkraść!

I podniósłszy teraz już istotnie kamień, rzucił nim w żebraka. Trafił go w ramię. Z ust nędzarza wyszło coś raczej podobnego do skrzeku ranionego ptaka, aniżeli do wykrzyku człowieka. Zaczął powoli cofać się w ciemności. Ale mężowie w kuchni, usłyszawszy łajania i klątwy towarzysza, wyszli na dwór i, nawpół pijani, jęli, jedni ze śmiechem, drudzy ze złością, zbierać grudki ziemi i kamyki i zasypywać niemi z urąganiem biednego, żwawo już teraz pierzchającego Samka Ptaka, niby gradem strzał.

Samko uciekał wzdłuż rzeki, dopóki mu starczyło oddechu. Obejrzał się wreszcie i zobaczył, że go już nie ścigano. Noc ukryła go przed złością ludzką. Burza zerwała się tymczasem i deszcz lał z niebios potopem. Samkowi ta wrzawa nawałnicy milszą była od krzyków tych rozżartych ludzi. Wiedział, gdzie jest, wiedział, że znajduje się w pobliżu niezbyt głębokiej w skałach jaskini. Znał ją dobrze. Wiedział, że jest tam miękki mech, i wszedł. Był tam zupełnie zasłonięty od deszczu i wiatru. Siadł cicho na ziemi, oparł głowę o skałę, a ręce opadły mu na kolana. Odychał długo, nie myśląc o niczem, w jakimś ogłuszeniu;

potem, gdy krew przestała dzwonić mu w uszach, a serce tłuc się o żebra, rzekł do siebie ze smutkiem:

— Dokąd pójść?

Ale żadna odpowiedź na to nie ozwała mu się w duszy. Wszystkie jego pojęcia o istnieniu i szczęściu, o świecie i życiu, zamykały się w tej samotni leśnej, gdzie się urodził on, i ojciec jego, i nawet ojca jego ojciec, w tej niewielkiej dolince nadrzecznej, gdzie dokoła na wysokich stokach tysiącoletnie drzewa, pełne gniazd ptasich, w takiej cichej zadumie stały, i szumiały, i kołysały się, drzewa pełne gędzby i woni, których wielkie cienie padały na miękką trawę, usianą białymi i żółtymi kwieciami gwiazdami. To była dla Samka cała ziemia. Granicami jej były stromo aż pod niebo pnące się Tatr szczyty, nad którymi płynęły obłoków sznury, których twarde czoło wiatr potężnymi smagał skrzydłami i z których głębi szemrząc sączyły się srebrne strużki i źródelka. Za Tatrami nie było zapewne już nic, ale żeby nawet był świat, i najpiękniejszy, Samko miłował tylko ten piękny zakątek, w którym był ujrzał światło słońca i rodziców swych twarze. Ten kąt był jak gniazdo zaciszne.

Nad brzegiem rzeki stała biała chałupka, a za nią falowały dwa małe pólka, rozdzielone potokiem i olch szeregami. Jedno modre, gdzie kwitł len, drugie złote, gdzie dojrzewało żyto. U drzwi chałupki siadywała zawsze przez całe lato jego prababka i przędła.

Na wiosnę uprawiał Samko starannie te pólka, zaprzęgał się do pługa, jak ojciec jego przed nim, a prababka, odłożywszy przęślicę, orała. Długie jej, białe jak mleko włosy wiewały z wiatrem, jak grzywa, a jej pełny, dotąd silny i dźwięczny głos błogosławił brunatnej ziemi, wyziewającej świeżą woń i ślubującej chleba dostatek. Prababka była mądra i święta. Rozumiała mowę ptaków leśnych i wielkich od nich dowiedziała się tajemnic. Samko zaczynał też ich świegoty rozumieć i nauczył się odpowiadać im. Umiał śpiewać jak drozd, klaskać jak słowik, gwizdać jak kos. Nawet skwiry orłów umiał z siebie wydawać, bo często wdrapywał się aż do gniazd ich na szczytach Tatr, a gdy wisiał niekiedy w niebezpieczeństwie życia między przepaściami, na dnie

których szumiały wody, a obłokami, trwoga wyrwała mu z ust takie same dźwięki, jakie wydawały orły, tłukąc skrzydłami, w strachu o swoje młode, które Samko w gniazdach ich głąskał. Niepotrzebnie się wszakże bały, Samko nie zrobił nigdy krzywdy żywemu stworzeniu, ani żukowi, ani muszce, ani ptakowi, i ciemny las i słoneczna niwa znały go i kochały. Ptaki były jego przyjaciółmi, żaden się nie płoszył, gdy Samko doń się zbliżał, przeciwnie, zlatywały się radośnie do niego, gdziekolwiek się zjawił. Gdy szedł lasem, towarzyszyły mu zięby i drozdy, gdy siadłszy na progu domostwa posilał się, przylatywały kosy na gody i jadły z nim z jednej misy, gdy ciągnął pług na polu ulatywał skowronek obok niego wzdłuż bruzdy i śpiewał mu. Samko miłował skowronka najbardziej ze wszystkich skrzydlatych przyjaciół swoich, bo też ze wszystkich ptaków skowronek najwięcej miłości okazał Panu naszemu, Chrystusowi, którego żywot Samko z opowiadań prababki znał szczegółowo.

Gdy Chrystus z martwych powstał, zaradowały się ptaki weselnie; przez czas, gdy w grobie leżał, milczały smutnie, a teraz prosiły Pana Zbawiciela, aby z nim mogły pozostać na wieki. Gdy Pan im rzekł, że do nieba wstępuje, chciały koniecznie za nim. Leciały, leciały, ale powoli nużyły się, gdy Chrystus coraz wyżej i wyżej, tak zawrotnie wysoko do chwały niebieskiej się wznosił. Padały ku ziemi jeden po drugim, aż został jeden tylko skowronek. Ten wszakże leciał ciągle, nawet wówczas, gdy już i orzeł dalej wznosić się nie zdołał. Miał takie dla Syna człowieczego przywiązanie wątyły ów tworek, że przez zapał od orła mocniejszym się stał i w locie go przewyższył. Ale gdy do słońca doleciał, osmalila mu ta niezmierna niebios watra skrzydełka tak srodze, że biedak ranny padł wreszcie na ziemię w trawę, z kąd jeszcze za Panem pieśnią gonił, jasną jak srebro, przenikającą błękit niebios jak promień światłości. Ilekroć skowronek Samkowi usiadł na ręce, całował tenże ze wzruszeniem te osmalone jego skrzydełka, a święgot, którym z ptakiem o uczuciach swoich rozmawiał, miał zaiste słodycz, zbożność i polot pieśni skowronczej. Dla turkawki żywił też Samko szczególne przywiązanie, bo z nią

Chrystus niegdyś, jako niemowlę, w kolebce się bawił. Jednego razu przywiązała ją Panna Marja swym opalowym paskiem za szyję, aby boskiemu dziecięciu nie uleciała, i odtąd została ptaszynie na szyjce, na pamiątkę, mieniąca się pręgą, i dla tego to pono śmieje się turkawka tak pięknie, tak radośnie, że przypomina sobie chwile, gdy różowym dzióbkiem różowszego jeszcze ciała króla światów dotykać mogła, tego ciała, które później na męki za nas wydane było.

To wszystko wiedział Samko od prababki, która rozumiała mowę ptaków leśnych i dowiedziała się od nich tajemnicy wiecznego żywota. Tajemnicę tę, z której sama korzystać nie chciała, zamierzała kiedyś powierzyć ojcu Samka, ale rozmyślała o tem zbyt długo, czy żywot wieczny na ziemi szczęściem jest, czy brzemieniem, rozmyślała o tem tak długo, aż jednego wieczora dzicy jeźdźcy zjawili się u białej chałupki w samotni leśnej i gospodarza, ojca Samka, swawolnie zabili. Żona jego oszalała ze zgrozy, gdy gorąca krew męża trysła jej na twarz. Błądziła odtąd, jak łania płochliwa, po górach i dołach, a żale jej przcbijały niebiosą. Skarżyła się tak długo, aż serce jej pękło.

Samko był wtedy małym jeszcze dzieckiem i został babce, jako jedyny szczątek całej rodziny. Rósł z ptakami i drzewami, zdala od ludzi, których niekiedy tylko, jak rychło znikające widma, widywał. Prababka uczyła go wielu rzeczy, ale tajemnicy żywota wiecznego mu nie odkryła, smutna dusza jej czuła nazbyt ciężar ziemskiego istnienia i wiedziała nazbyt pewnie, że dla każdego wzejść musi czarny dzień niedoli, którego ciężki cień pada na słabe światło naszego życia, aby nigdy nie zniknąć, i że tedy szczęściem nie może się nazywać ciągnięcie z sobą w nieskończoność chmury wspomnień przesmutnych.

Czarny dzień niedoli! Jak dla każdego, wszedł też dla biednego Samka. Miał wówczas może lat piętnaście. Razu jednego, pod wieczór, zjawili się znowu niespodzianie dzicy jacyś jeźdźcy w samotni leśnej nad rzeką i powiedzieli Samkowi, że nietylko on, ale i ten boży las, i to miłe złote pole, ten biały dom, i wogóle wszystko, na czem tu oko spocząć może, należą pono do jakiegoś pana. Że pan ten oso-

by Samka teraz potrzebuje, i że Samko musi tedy pójść z nimi. Podczas tej rozmowy przybyło więcej jeźdźców. Gnali przed sobą, niby stado, cały tłum powrozami ze sobą powiązanych ludzi i strzelali z biczów nad ich głowami. Jeden z jeźdźców zszedł z konia i zbliżył się do Samka z więzami. Samko zdumiony wydał coś, niby skwir orli i schwytał za siekiere do obrony, jakby przez wilki napadnięty, ale przemogli go łatwo z szyderczemi śmiechy, a gdy prababka klęła i złorzeczyła zbójcom i szalona rozpaczą miotała się na nich, podpalili chałupę i rzucili staruszkę w płomienie, gdzie marnie zginęła, a z nią razem wszystkie jaskółki, gnieźdzące się pod drewnianych strzechy okapem, wszystkie turkawki, śmiejące się w sieni. Związany Samko patrzył, skamieniały ze zgrozy, na straszną tę scenę.

A na drugi dzień zaczęło się rąbanie lasów na zboczach, i Samko i ci powiązani ze sobą powrozami biedacy musieli zwałać pnie starych jesionów i sosen, jodeł i dębów, tych omszonych kolumn zielonej świątyni, w której wyrósł. Ptaki pierzchały przestraszone z cienistych domów rodzinnych, które w proch padały, a przyjaciel ich, mniej szczęśliwy, musiał pomagać wlec zrąbane drzewa ku stromym stokom, po których się głęboko, głęboko w dół, na równinę staczały. Słyszał jęki tych odwiecznych boru olbrzymów, słyszał trzask i łamanie się ich gałęzi, słyszał dudnienie i łoskot ich aż do dołu, kędy dopadłszy, jak trupy, nieruchomo leżały. Serce mu pękało. Patrzył za ptakami, pierzchającymi na najwyższe szczyty, na słoneczne gór wyniosłości, patrzył na popioły domu, wśród których białął szkielet jego prababki, patrzył na stratowane pole, gdzie konie tych dzikich napastników się pasły, i w głowie jego była ciemność. Za co Bóg go tak karał? Byłaby może ziemia, w której się narodził, przeklęta od wieków do wieków? I znosił-że każdy jej syn podział kłatwy? Tak się zdawało.

Porywcy nie zostawili mu wiele czasu do rozmyślań. Pognali go razem z całym tem stadem ludu, trzaskając biczami. Dowiedział się wkrótce, do czego potrzebował go pan, którego był własnością. Budowano ogromny, potężny gród warowny, z kąd groza miała padać na cały kraj okol-

ny. Twierdza stać miała na wysokiej skale, aby lud tej w jarzmie niewoli jęczącej ziemi zdaleka już wiedział, komu kłaniać się trzeba. Samka i tych pozostałych nieszczęśników ściągnięto tu, aby ich użyć do budowy. Umierali ze znużenia i pracy, bicz plotąc na samych siebie.

Pięć lat jęczał Samko w tej nędzy, przy budowie murów i łamaniu kamieni w łomach. Przez cały ten czas był bydlęciem jucznem. Siłę swą młodzieńczą, wiosnę swego żywota, wesele całe ziemskiego istnienia pochował w tych łomach, w tych murach i wałach. Pracował więcej, niż wszyscy pozostali, bo nie umiał się bronić, i własni towarzysze dręczyli go tak samo, jak sami przez panów dręczeni byli, posługując się nim i dodając mu jeszcze ze swej pracy. Do tego wszystkiego, Samko był, i dla jednych i dla drugich, wiecznym celem szyderstw i drwin. Nie umiał mówić płynnie, bo żył zawsze więcej w towarzystwie ptaków, niż ludzi, i każde jego westchnienie zmieniało się w smutny, cichy świegot drozda, który więcej echa znajdował u niemych w łomie głazów, krwią rąk jego znaczonych, niż w sercach ludzkich, zatwardziałych w niesprawiedliwości skutkiem krzywd przecierpianych. Wołano nań urągliwie „Samko Ptak“, a on imię to rad przyjmował, bo w wiecznych marzeniach o szczęściu minionem wspominał stale i wiernie tych upierzonych druhów swego dzieciństwa wśród boru, i wspomnienie to krzepiło go tak, że nędzę terażniejszości znosić zdołał. Oni, ci śpiewacy o słonecznych żrenicach, byli dotąd wolni i szczęśliwi. A kto wie, czy i on nie wróci do nich kiedyś?

Jakiż wzruszający świegot wybiegał mu niekiedy z ust przez sen, gdy mu się zdawało, że ma skrzydła i leci na modre szczyty Tatr, strzelające ku niebu, ku słońcu, na te szczyty, gdzie orły się gnieźdzą i zkad srebrne owe biją i spływają strugi, w których kosi, drozdy i leśne piją gołębie! A gdy go budzono gburowatemi słowy i gnano do męczącej pracy, było mu przezwisko „Ptak“ jak gdyby słodką pociechą, jakby radosną obietnicą, wmięszaną w potok surowych, nieczułych dźwięków.

Tak upłynęło długich, cierpień pełnych pięć lat, i zamek był wybudowany. Co począć teraz z ludem, który go budował? Cóż innego, jak rozegnać go. Niech sobie szuka odległych miejscowości, kędyby mógł z głodu umierać. Dziwy hajducy z długimi biczami uganiaли tedy na rozszalałych koniach wśród tłumu, gromadzącego się pod grodem i czekającego rozkazów swego pana. Konie miażdżyły ludzi pod kopytami, a ciosy biczów dosięgały uciekających. Srogie jedno smagnięcie padło na twarz Samka i wryło na niej krwawą pręgę, jako pamiątkę i piętno niewoli.

— Czemu ten człowiek mię bije? — myślał Samko, wijąc się z bólu i ocierając krew i łzy. Podniósł oczy ku niemu niebu, nagle wszakże przypomniał sobie Chrystusa i drogie jego rany, i ucichł. A po chwili uczuł coś jakby radość. Wygnali go! Mógł tedy iść, dokąd chciał. Pójdzie tam, do owej samotni, gdzie się narodził. Powiedzieli mu wprawdzie, że tam inny dom stoi, że wszystko, co było jego własnością, pan jego innym już rozdał. Ale jakżeby to być mogło? Z pewnością chcieli go tylko pomęczyć temi opowieściami, pośmiać się z jego niepokoju. Dowlókł się tedy do miejsca, gdzie niegdyś stała biała chałupka, gdzie jego prababka siadywała i przędła, słuchając gwarzeń ptactwa leśnego. Dowlókł się tam i znalazł dwór, od wrót którego odegnano go kamieniami! A teraz leżał tu ukryty w jaskini i pytał siebie:—Dokąd pójść? — I na pytanie to nie znajdował odpowiedzi! W głowie czuł mgłę jakąś nieprzejrzystą, i tylko chwilami, jakby w błyskawicznym olśnieniu, spozstrzegał niewyraźnie strome Tatr szczyty, wokół których orły krążyły i z których srebrne łały się wody.— Tam!—rzekł sobie ze słabym uśmiechem. Szum deszczu kołysał go jednostajną swą gęźbą, i Samko usnął cicho. To słówko „tam“ zmieniło się w ustach jego w krótki, słaby, słodki świegot chorego ptaka.

Pierwsze różane promienie słońca przysły budzić Samka do mchem porosłej jego grotty. Wstał i umył się w rzece. Znalazł nieco dojrzałych bruśnic i poziomek i zaspokoił głód. Potem udał się w drogę, dokąd nogi go niosły. Szedł wzdłuż potoku, w kierunku przeciwnym od dworu, kędy nań

wczoraj kamieniami rzucali. Szedł długo, dzień cały; noc spędził pod krzewem kwitnącym, a na drugi dzień, gdy słońce było już wysoko, ujrzał niewielkie miasto, po nad którym strzelał potężny kościół z wysokimi wieżami, pięknymi, z samych kolumn, tworzących piętra powietrzne; im wyżej od ziemi, tem cieńsze były kolumny, unoszące łuki, a te najwyższe, pod samym dachem, tworzyły ogromną jakąś klatkę, w której wisiały dzwony, wydzwaniające w tej chwili uroczyście i lejące potężną gędzbę swą w czyste, złote powietrze. Samko byłby z pewnością ominął miasto; wiedział, że gdzie są ludzie, tam go czeka urągowisko, gwałt i niezasłużona, ślepa nienawiść, ale te dźwięki, falujące w lazurach niebios, wołały go. Dla Samka był dzwon jakimś ogromnym, śpiżowym orłem o anielskim głosie, ptakiem, mieszkającym wysoko ponad nienawiścią ludzi, sąsiadem chmur, druhem wiatrów, ale zarazem ptakiem nieszczęsnym, bo uwięzionym, przykutym, ptakiem, którego śpiew głęboki i smutny był wielką skargą. Samko zwrócił się ku miastu, dokąd dzwon go wołał. Pójdzie do kościoła. Tam zobaczy z pewnością obraz białego odzianego Chrystusa w rozblaskach tła złotego, Chrystusa z wielkimi, ciemnymi oczyma, patrzącemi z jasnej wyżyny ku niemu w dół, w mrok, bez szyderstwa, z dobrocią, bez wzdargy, bez surowości. Usta tych obrazów uśmiechają się do każdego, uśmiechną się tedy do Samka także, a Samko nie pamiętał, aby, od śmierci prababki, ktoś doń się uśmiechnął! A w tych błogosławiących rękach Chrystusa nie będzie bicza!

Spojrzenie pełne miłości, pełne współczucia! Jakże ciepło robiło się w sercu Samkowi na samą myśl o tem. Pośpieszył do miasta.

Ulice pełne były ludzi świętecznie odzianych, domy były ozdobione wieńcami, a z wysokich ich dachów wiały długie proporce. Na Samka nikt nie zwrócił uwagi; bez obelgi, bez urągowiska, bez przykrego słowa, doszedł biedaczysko, cały zdumiony tą niezwykłą łaskawością, do wielkiego placu, gdzie stał piękny ów kościół, który zdaleka był widział. Ale tłok był tam niezmierny, Samko znalazł się po

chwili w tak gęstym tłumie, że ani kroku dalej zrobić nie mógł i ledwie oddychał.

Z rozmów, prowadzonych dokoła, zrozumiał, co to wszystko znaczyło.

Cesarz bizantyński i dziesięciu królów ze Wschodu wracało z odwiedzin u cesarza rzymskiego, i tędy wiodła ich droga ku Dunajowi, po którym, na wyłaczanych łodziach o purpurowych, perłami i srebrem szytych żaglach, w dół popłynąć mieli. Za godzinę powinni byli dojechać do miasta; z wieży było już wyraźnie widać pył, który z pod kopyt koni ich orszaku pod niebo się wzbijał. Król węgierski wyprzedzał ich ze swem rycerstwem. W kościele będzie dla nich odprawiona msza uroczysta i będą Bogu złożone wielkie dzięki, że kroki tych mocnych świata koło tak nieznanego miasta prowadził. Zaszczytne odwiedziny te upamiętnione zostaną złotemi głoskami na tablicy kamiennej w kościele. Tak opowiadał lud i radował się.

Ale radosne okrzyki zmieniły się wkrótce w jęk przerażenia.

Dzicz madziarska na rozszałych koniach zalała nagle plac i poczęła walić ludzi na ziemię. Król węgierski gotował w ten sposób żywy kobierzec z niewolników swych dla siebie i gości, aby rumaki ich nie tknęły pyłu i błota miejskiego. Pomazańcy pańscy mieli ze swem rycerstwem po tym moście z grzbietów ludzkich dojechać do portalu kościelnego. Straszliwe ciosy płazami mieczów i długimi biczami, zaopatrzonemi na końcach w kolce żelazne, padały na barki i głowy tych, co nie chcieli z ciał swych tworzyć bruku dla dostojnych osób, robiących Bogu zaszczyt odwiedzin w jego domu. W bolesny płacz kobiet i głośnie przekleństwa mężczyzn lały teraz dzwony głębokie swe dźwięki, pełne żalu i majestatu.

Od bramy miasta pędził już orszak na przepysznych koniach. Naprzód straż króla węgierskiego, kapiąca brudem i złotem; turańskie, nawpół zwierzęce twarze tej szlachty były źle umyte, ale brody ich przeplatały obficie sznurki pereł, a z fałdów jedwabnych szat tej nietrafnie ochrzczonej dziczy, sypało się robactwo i drogie kamienie. Za nimi je-

chał król węgierski z wielkim berłem w rękę, potem gnali na białych jak mleko rumakach rycerze cesarza bizantyńskiego, postacie świetne i piękne, podobne w srebrnych zbrojach swych chórom aniołów, wreszcie ukazał się sam cesarz bizantyński w orszaku dziesięciu królów w purpurze. Miał szatę ze srebrnogłowia, a na skroniach tjarę, polyskującą djamentami i szmaragdami. Samko, leżący w prochu na ziemi, widział, jak to wszystko mignęło nad nim, niby piękna, lecz złowieszcza kometa. Widział to wszystko, jak przez sen, bo wkrótce stracił prawie przytomność pod miażdżącymi koni krokami.

Obudził się w miłym chłodzie, w zmroku pachnącym kadzidłami. Dokoła błyszczały gwiazd miliony! Były to płomyki złotych lamp i niepoliczonych świec woskowych, wysokich jak filary.

Samko był w kościele. Nie widział, jak się tam dostał; ludzka fala rzuciła go tam zapewne, tak, jak morska muszle na brzeg wyrzuca. Leżał między żebrakami i kalekami u wysokich wrót bronzowych. Daleko od siebie, u samego ołtarza, gdzie odprawiała się msza, ujrzał znowu cesarza bizantyńskiego z połyskliwą tjarą na głowie, w kole tych dziesięciu królów ze Wschodu; siedzieli na trybunie okrytej złotogłowiem. W uroczystych pieśniach śpiewaków, w grzmocie srebrnych organów, gubił się płacz żebraków i kalek poranionych kopytami końskimi. Samko czuł także ból w boku i ramieniu, ale znosił go cicho; przywykł był znosić. Patrzył ku ołtarzowi. Oczy jego z upragnieniem szukały obrazu Chrystusa, tej słodkiej pociechy w każdym cierpieniu. Ale nie znalazł go. Święta postać była przysłonięta ciężką, szkarłatną, krwawą zasłoną, na której świetniały wyszywane złotem i srebrem obrazy dzikich bestyj jednogłowych i dwugłowych; były to herby obecnych gości. Przed tą zasłoną stała, w prawdziwym lesie światła, jaśniejąca jak słońce, monstrancja, a pośród rażących jej promieni, złotych i djamentowych, świeciła, jak miesiąc w pełni, biała, święta, hostja, niewymownie podniosła w swej śnieżnej prostocie, pośród tego ludzkiego, wrzawnie a natrętnie wdzierającego się przepychu. Samko utkwiał w niej oczy,

potem rzucił się na kolana i pochylił czoło. W mrok wielkiego jego smutku przedarł się promyk słodkiego wzruszenia. Podniósł głowę i patrzył znowu na monstrancję. I ujrzał z osłupieniem, że nagle rość jąła, że zmieniła się w jakiś dom, wystawiony z księżycowych blasków, z kryształowemi wroty, które otworzyły się cicho. Z wnętrza gwiaździstego przybytku wypłynęła biała hostja, jak widmo, i oto! był to Chrystus sam! Odzian był w suknię grubą, lecz czystą, jak ze śniegu, twarz jego była blada, z ciemnych oczu spływał zdrój litości, a w uśmiechu słoneczniała miłość. Samko myślał, że zasiędzie u boku cesarza bizantyńskiego, ale on kroczył, nie spojrzawszy na trybunę, powoli przez kościół, płynął w obłokach kadzideł i dymach świec woskowych, zmierzał w mrok, kędy jęczeli kaleki i żebracy, i usiadł tam, między nimi. W tej chwili przestał go Samko widzieć, ale czuł wyraźnie pociechę tej świętej jego obecności, duszę miał jakby przesyconą rozświetleniem. I na twarzach wszystkich tych cierpiących dokoła niego uwidoczniła się nagle błogość niezwykła. Nikt nie czuł już bólu swoich ran, światło lało się ze wszystkich oczu, każdemu zdawało się, że skrzydła mu rosą. Samko był jakby oszołomiony szczęśliwością. Podniósł oczy z wdzięcznością ku niebu. W tej chwili na kazalnicy zjawił się stary, prosty ksiądz. Trzymał krzyż w rękę i błogosławił naprzód cesarzowi i królom, a potem i ludowi. Miał przemówić do koronowanych gości. Stał wszakże niemy, nie znajdował słów, strach jakiś go ogarniał, nie wiedział sam czemu. Wtem w ciszy kościoła zabrzmiało coś, jakby słabiuchny świegot drozda; było to mimowiedne westchnienie Samka, pełne tej słodkiej błogości, która równa się modlitwie. Zdumiony spojrzął ksiądz w stronę, z kąd to ptasie pozdrowienie płynęło, pozdrowienie, które — zdało się — odwagi chciało mu dodać, i zdziwił się jeszcze bardziej, widząc teraz wokół wszystkich tych żebraków i kalek nadziejską jakąś jasność. Nagły smutek wybił mu się na twarzy, wspomniął ich nędzę; nagły zapał po smutku tym nastąpił, zrozumiał, że Bóg ich miłuje. Zdało mu się, że mistrz boski go zmusza, by się pokłonił przed majestatem ludzkiego cierpienia i hołd mu oddał. Skłonił

czoło przed tymi, o których wiedział, że ich przed chwilą miażdżyły końskie kopyta, i głosem pełnym łez, utkwivszy oczy w źrenicach Samka, które świeciły jak one gwiazdy, co płonęły, gdy aniołowie śpiewali: „Pokój ludziom dobrej woli,“—rzekł cicho:

— Błogosławiony, kto ścieżką kroczy cierniową, albowiem do rajy dojdzie!

Samko uśmiechnął się, jako gdy wschodzi jutrzienka. Już nie było ciemno w jego głowie, już pytanie:— dokąd pójść?—nie miało tej nieokreślonej grozy, tej gnębiącej ciężkości! Zagadka całego jego życia była rozwiązana! Samko padł na twarz i długo dziękował Bogu.

Powstał, dopiero gdy kościół był próżny. Poszedł cicho do zakrystji, chciał widzieć starego księdza, aby mu podziękować za jego słowa i radę. Znalazł go istotnie jeszcze w zakrystji, w towarzystwie kilkorga ludzi, z którymi rozmawiał. Samko zbliżył się wprost do niego.

— Czego chcesz?— spytał przyjaźnie ksiądz, który go poznał.

Prostaczek Samko nie wiedział, jak dziękować i co właściwie powiedzieć.

— Pójdę do nieba — rzekł wreszcie cicho.

Pośród obecnych ozwał się śmiech przytłumiony.

— Którędyż to, warjacie?— spytał ktoś z gromadki.

— Ścieżką cierniową — rzekł z prostotą Samko.

Teraz już śmiechu nie starano się tłumić, i w oczach Samka odbiło się zdumienie, że i tu, w tem świętem miejscu, w obecności tego dobrego księdza, obelżywe spotyka go szyderstwo. Wielki smutek rozlał mu się na twarzy, potem wszakże zwrócił się do księdza, a oczy jego były takie marzące i zamyślane, że starzec przez nie aż na dno duszy jego patrzył. Położył mu rękę na głowie i rzekł ze wzruszeniem:

— Zaprawdę, dojdiesz do nieba! Bóg cię miłuje. Wspominaj o mnie w modlitwach swych.

Śmiech ucichł.

— Zrobię to — rzekł Samko z prostotą, ucałował szatę

księdza i wyszedł cicho otwartymi drzwiami na plac pełny słońca i ruchu.

Nie było trudno znaleźć za miastem ścieżkę porośłą cierniem i bodiakami. Toć nieboga ziemia słowacka zwolna dopiero budziła się z omdlenia znowu do życia, nieszczęsna ziemia słowacka, strатовana przez najeźdźców azjatyckich, pod których jarzmem dotąd jęczy! Niezbyt dawno wrócili wówczas ludzie z kryjówek skalnych do swych opuszczonych, kąkolem zarosłych pól. Niezbyt dawno Aryowie wzięli się znów do pracy, której owoce zbierali i zbierają dotąd niesłusznie Turańczycy.

Nie było tedy Samkowi trudno znaleźć drogę porośłą bujnie cierniem i bodiakami, które raniły bosc jego nogi Męczeńską tą drogą chodził wiele dni i wiele nocy, znosił głód i pragnienie i na wyschłych skałach krwawe stóp swoich zostawił ślady. Żywił się tylko korzonkami i ożynami, niekiedy jeno dostał w jakiej w samotniach zgubionej, w cieniach lasów ukrytej, lub do nagiego zbocza przylepionej siedzibie ludzkiej kawałek czarnego chleba. Dawali mu ci mieszczący tam ludzie, ubodzy i nędzni, jak on, chętnie wprawdzie tę jałmużnę — ale nigdy bez szyderstwa, gdy odpowiadał im na pytania, jaki cel właściwie ta długa, bolesna wędrówka jego miała. Ale Samko nie dbał o to, nie gniewał się i nie dał się zbić z tropu. Wiara jego była pewna, a pociechy też mu nie brakło; miał teraz to, do czego przez lata całe gorąco wzdychał: wolność! Miał szumy wspaniałych odwiecznych, czuł wiewy potężnych skrzydeł wichrowych, wsłuchiwał się do syta w słodkie, marzące, przyjacielskie śpiewy ptaków, tych wiernych druhów swej młodości! Ileż razy w tej wędrówce towarzyszyły mu one aż po skraj lasu! Ileż razy skowronki, trzepocące się jak kłęb iskierek wysoko pod obłokami, witały go radosną swą pieśnią! Ileż razy gnieźdzące się w skałach turkawki cieszyły sierocą jego duszę weselnym, miłym swym śmiechem! Czemże było to nieznaczne ściskanie się serca przy urągowskich ludzkich w porównaniu z tem wielkiem rozszerzaniem się duszy przy szumie drzew, świstach wichrów i śpiewie tych w powietrzu pływających, w złotem świetle kąpiących się tworków, tych

uskrzydionych naczynek wdzięku, przepelnionych słodkimi, natchnionemi, tęsknemi, rozmarzającemi dźwiękami! Prawda, krew lała mu się z nóg, pot rzekami spływał z czoła, ale we wnętrzu jaśniał mu już przedświt owego raju, którego szukał i do którego że dojdzie, ufał niezłomnie.

Jednego wieczora wszakże był już tak znużony, że ledwie z wysiłkiem nogi powlóczył. Zatrzymał się na stromym stoku, którego spadziistość osłaniał świeży, młody lassek brzozy. W dole pod sobą widział, we wstających mgłach wieczornych, coś jakby biały zamek, ale bez wałów i baszt, dokoła którego stare drzewa gęstemi stały rzędami, poważnie kołysząc swe jeszcze odbłaskiem słońca oblane wierzchołki. Mgła była jasno-fioletowa, tu i owdzie przecinały ją wielkie smugi różowego światła, a białe ściany budowli były promieniami zachodu jak złotem zbryzgane. Był to widok niewymownego czaru. Samko, trzymając się krzewu, ciekawie wychylił się nad zagłębiającą się pod stopami jego dolinę, gdy wtem ziemia osunęła się pod nim, gałąź, której się trzymał, pękła, i Samko, bez władzy, bez siły, potoczył się, jak pień podcięty, po stoku głęboko, głęboko w dół, a tak zawrotnie szybko, że w głowie pociemniało, a w oczach skry zabłysły. Dopadł wreszcie gdzieś, gdzie długo bez zmysłów nieruchomie leżał. Dziw, że się nie zabił.

Gdy przyszedł do siebie, było już zupełnie ciemno. Przed nim wznosił się wysoki mur, w którym o kilka kroków od niego wielka brama stała na ścieżaj otwarta. Za sobą miał wysoki ów stok, na którym w miłej pomroce gwiazdzistej nocy brzozy srebrnymi połyskiwały pniami. U samej jego głowy szemrał potoczek, jakby naszeptując mu coś do ucha. Samko napił się trochę i powstał na nogi. Trzęsły się, ale niosły go. Wszystkie członki go bolały, ale żaden nie był złamany. Opierając się o mur, powlókł się wzdłuż niego ku bramie i wszedł. Ujrzał się w cudnie pięknym ogrodzie; było tam woni, było tam kwiatów, śpiących, ale wyziewających tak słodko balsamy swe w ciszę nocną! A białe jakieś wody tryskały w górę, jak promienie, jakby chciały lecieć ku gwiazdom, i padały z powrotem w cembrowiny

z jasnego, połyskującego kamienia. W gęstwinach wyśpiewywały słowiki. Samko przechadzał się powoli.

— Czyżbym doszedł już do celu? — mówił do siebie. — O tak, zaiste, to jest raj!

I serce biło mu gwałtownie, oczekiwał, że lada chwila na którejbądź z drózek spotka Boga Ojca, Chrystusa, albo Pannę Marię.

Ale ogród był pusty, i Samko doszedł aż do wielkiej budowli, którą ze stoku był widział. Z ogromnych okien jej po jednej stronie lało się światło, jakby miesięczne. Samko zajrzał do wnętrza. Ujrzał olbrzymią salę, białe kolumny unosiły sklepienie usiane złotymi gwiazdami, srebrne lampy kołysały się na długich łańcuchach i płonęły jak zoroze, schody z białego kamienia, szerokie jak gościniec, wzdłuż których na również białej poręczy kamiennej stały posągi aniołów, jakby ze śniegu, ze skrzydłami złotymi, wiodły kędyś na górę do drugiej sali, jeszcze głębszej, mrocznej jak bór, lecz rozjaśnionej tęczowemi światłami. Z tajemniczego tego przybytku płynęła gędzba organów. Daleko w głębi sali, na tle całem złotem, siedziała na tronie z kości słoniowej wielka postać Bogarodzicy w białej szacie, w płaszczu błękitnym, z gwiazdą u każdego ramienia, z gwiazdą w koronie, z oczyma wielkimi i ciemnymi, z rękoma podniesionymi i błogosławiącymi. Po schodach wstępowało i zstępowało mnóstwo starców, młodzieńców i mężów. Wszyscy byli jednakowo odziani w białe szaty, nogi mieli podwiązane czarnymi sandałami, ręce złożone, oczy spuszczone, jak w modlitwie.

— To są święci! — szepnął do siebie Samko.

Ale więcej nie zdołał już myśleć. Osłabienie przema-gało go tak, że czuł, jak chwieje się i pada. Mimowoli chwycił się rzemienia, wiszącego tuż przy nim, koło drzwi, których dotąd nie był spostrzegł, i padając na ziemię, usłyszał mocne w dzwon uderzenie. Jak przez sen, widział jeszcze, że drzwi się otworzyły, że jedna z tych biało odzianych postaci nad nim się pochyliła. Potem, wysilony, zmożony głodem i pragnieniem, w głębokie zapadł omdlenie.

Samko nie wiedział, że padł na progu bogatego klasztoru, i nie czuł, jak mnisi, wzruszeni jego nędzą, zabierali go do wnętrza. Pamięć wróciła mu dopiero na drugi dzień rano.

Widział, że leży na pościeli z wonnego siana, odkrytej grubem wprawdzie, lecz śnieżnobiałem płótnem, w prostej, lecz czystej izdebce, przez której otwarte okno niebo się doń uśmiechało i drzewa szumiały. Wonie i świegoty ptasie płynęły z ogrodu do pokoju. U łoża stał jeden z tych świętych, których był widział, gdy po schodach wstępowali i zstępowali. Patrzył na chorego z dobrocią i współczuciem. Gdy Samko uśmiechnął się doń, uśmiechał się też, wziął czarę z drzewa jaworowego, pełną wina, i przychylił ją do ust chorego. Ciało Samka przebiegł jakby promień słoneczny. Mnich podał mu potem jakiś pokarm, i Samko jadł, i poczuł się silnym. Potem zaczął go mnich wypytywać, kim jest, z kąd przychodzi i dokąd wiedzie go droga. Samko opowiedział mu wszystko pokrótce, rzekł mu, jak cierpiał i jak nareszcie, idąc za radą starego księdza, poszedł szukać raj.

— I oto--dodał w końcu—znalazłem tedy raj. Czy nie będę z niego wygnany?

Mnich patrzył nań chwilę ze zdziwieniem, potem uśmiech zaigrał mu na ustach, ale uśmiech dobrotliwy.

— Nie będziesz wygnany—rzekł nakoniec.

Odszedł, zostawiając uszczęśliwionego Samka w śnie pokrzepiającym. W refektarzu opowiedział zgromadzonym właśnie towarzyszom wszystko, co od Samka wiedział, wszyscy z uśmiechem zgodzili się, że Samko wygnany nie będzie. Postanowiono, żeby mu dać pracę w ogrodzie i żeby—ze względu na wyczerpane jego siły—praca ta była lekka. I został tedy Samko w owym raju! Nie było szczęśliwszego nadeń stworzenia! Mógł chodzić po klasztorze, ile mu się spodobało, mógł się przechadzać w ogrodzie i w lesie, a do nie ciężkiej zresztą pracy nikt go nie zapędzał. Sam on wszakże nie próżnował. Oprócz ogrodu, miał też zajęcie w lesie, nosił ztamtąd drwa i robił ogień w kuchni, oraz na wieczór w refektarzu, gdy było chłodno lub dżdżysto. Przy-

słuchiwał się rad huczeniu ognia. Ten strzelający w górę płomień wydawał mu się także jakimś ogromnym ptakiem o krwawo złotych skrzydłach, którymi bił, aż z nich skryleciały. Po obiedzie mnichów, chodził dokoła stołu z miską, a oni nakładali mu jadła, którem się z ptakami w ogrodzie i w lesie dzielił.

Taki był szczęśliwy! Nie wiedział już, co to nędza a w oczach tych biało odzianych mnichów nie spotkał nigdy złego spojrzenia, na ustach ich nie widział nigdy skrzywienia szyderczego, nie usłyszał od nich nich nigdy urągliwe słowa. Jakże nie miał wierzyć, że żyje między świętymi? Że prostota jego stała się i dla nich z czasem przedmiotem zabawy, tego nie przeczuwał, bo nigdy mu tego uczuć nie dali. Uważali go za półdjętę, dla którego mieli współczucie, któremu nigdyby nic złego zrobić nie chcieli, ale którego za człowieka z duszą nieśmiertelną, za człowieka im równego uważać przecież nie mogli. Byli nazbyt przekonani, że przez rozum swój wysoko, wysoko nad nim stali. Aby pojąć i odczuć tę prostotę myśli, która w samej tylko miłości raj widziała, na to mieli jeszcze w sercach zbyt wiele pychy, zbyt wiele świata, acz wysokie mury i głęboka samotność od marności jego ich oddziały. Nie miał tedy Samko między nimi ani jednego przyjaciela, był dla nich jedynie igraszką, znoszonem przez litość niemem zwierzęciem, któremu nie szczędzono łaskawości i jałmużny, ale które kochać ani we śnie na myśl im nie przychodziło.

A jednak dusza Samka nie została sierotą, znalazła, odepchnięta przez ludzi, przyjaciela, o jakim nikt z tych ludzi ani zamarzył. Stało się to tak.

Samko wszedł raz do jakiejś komórki, kędy różne niepotrzebne rzeczy były złożone, i ujrzał wyglądający z gruzów i śmieci stary, nawpół spróchniały krzyż. Zaczął go odgrzebywać i przekonał się, że był to krucyfiks drewniany, prastarej, prostej roboty. Zrobiło mu się tego wyrzuconego obrazu bożego serdecznie żal. Postawił go przy ścianie, umył, oczyścił, a potem wyporządził też całą komórkę. Naznosił choin, napłócił z nich wieńców, rozwiesił je po ścianach, wysypał podłogę kwieciami polnem, i komórka nędzna.

zmieniła się w jakąś leśną świątynkę. Otworzył okno, i światło strumieniami polało się do wnętrza, a ptaki jeły wnet ciekawie siadać na podmurówce i szczebiotać tak słodko, jakby Chrystusa Pana bawić chciały, na co Samko z zadowoleniem się uśmiechał. Kląkł i gorąco wpatrzył się w figurę Ukrzyżowanego. Twarz jej była sina, smutna, zmęczona, oczy zagasłe, czoło poplamione wielkimi krwi kroplami, ciało tak wynędzniałe, iż wszystkie żebra znać było, z kolan tryskała krew. Oblicze miało głęboką wyrazistość; było nieskończenie wiele zapału i prostoty w pojęciu i wykonaniu tego krucyfiksu, ale wysokie znaczenie wewnętrzne i wartość tej sztuki pojmowała już doba ówczesna równie mało, jak mało ci mnisi prości serce Samka ocenić zdołali. Ta wielka prostota wszakże była właśnie dla Samka dostępna, mówiła potężnie do jego tak głęboko czującej, a względem świata tak naiwnej duszy. Płakał nad tą męką, a razem płakał nad tem opuszczeniem krzyża w gruzach, w prochu zapomnienia. Figura, która tak patrzała i tak zdawała się cierpieć, miała dla Samka duszę. Nie umiał już o czem innym myśleć, jak o tym żywym Boga obrazie, czy to idąc po drzewo do lasu, czy pracując w ogrodzie. Po obiedzie mnichów, przyszedł kiedyś do komórki ze swą miską i siadł na progu. Ale z żalu nie mógł jeść. Czyliż nie zdawał się ten Chrystus na krzyżu z głodu wybladyłym? Samko onie-miał z boleści. Wstał i jak we śnie wszedł do ciemnej komórki. Podniósł bojaźliwie ku Ukrzyżowanemu pełne łez oczy, a usta jego szeptały nieśmiało:

— Biedny, zapomnieli o Tobie! Czy nie dręczy Cię głód? Jesteś taki blady, taki blady! — I oślepiiony prawie łzami, podniósł miskę ku Zbawicielowi i rzekł:— Gościu drogi, jedz, proszę!

I pochylił drewniany Chrystus swą umęczoną twarz, rozjaśnioną nagle słodkim niewymownie uśmiechem, usta Jego dotknęły pokarmu i Pan jadł. Samka ogarnęła nieznaną błogość. Od tej chwili dopiero wiedział, co to jest pełne, wielkie, niezmierne szczęście. Serce jego otworzyło się, jako róża wonna, dusza jego rosła, jako nieskończoność niebios, i jako one pełna była gwiazd! Dzień w dzień klę-

czał teraz przed krzyżem i wylewał skarby swych uczuć, zapoznanych u ludzi, pod stopy Zbawiciela, niby drogicę Wschodu balsamy. Słowa, jakich nigdy nie był słyszał, przychodziły mu na usta, śpiewy piękniejsze od najpiękniejszych pieśni słowiczych brzmiały mu w piersiach i znajdowały dla się wyraz ludzki; zapał, potężniejszy na nad skrzydła orłów i wichrów, porywał go na wyżyny lazuru, kędy djamentowe •krążyły światy, i cała niezmierna głęb' niebios znalazła miejsce w granicach łona tego człowieka, którego przyjacielem był Chrystus! A Chrystus, który wszystkie światy w dłoni trzyma, dla którego wielkości ludziom odpowiedniego brak pojęcia, był codziennie gościem prostego Samka, jadał codziennie z uśmiechem z jego miski. Teraz, zaiste, nie było dziwu, że Samko mniemał, iż był w raju, i że wszędzie, w ogrodzie, w lesie, na korytarzach klasztornych, z zapalem nieustannie sobie powtarzał:

— Ciernista była ścieżka moja, ale doszedłem, doszedłem nią do niebios!

Posłyszeli to ludzie i śmieli się zeń, im dalej, tem bardziej, ale on o tem nie wiedział.

I zawitali jednego dnia trzej obcy biskupi do klasztoru, gdzie ich świetnie goszczono. Były teraz codziennie wielkie gody, i pewnego razu opowiadać jęli mnisi przy biesiadzie o Samku, jak myśli, że jest w raju, i jak ich za świętych bierze. Śmiech był wielki—i jeden z biskupów zapragnął widzieć prostaczka. Wstawano właśnie od stołu, aby iść szukać w ogrodzie cienia pod szumiącemi drzewy i chłodu u wód bijących. Szli wszyscy koło komórki, gdzie Samko właśnie z Chrystusem rozmawiał i strawą z Nim się dzielił. Jeden z mnichów posłyszał i poznał głos Samka; dał znak, aby wszyscy zamilkli, i towarzystwo całe zbliżyło się do drzwi komórki, które przeciąg otworzył. Samko obrócony twarzą do krucyfiksu, nie widział drzwi i nie wiedział, co się za nim dzieje. Ale biskupi i mnisi, przygotowani na śmiech, padali na twarze, rażeni zdumieniem, gdy ujrzeli Chrystusa na starym krzyżu. Najbielsza światłość biła odeń, głowę miał pochyloną ku Samkowi i mówił mu właśnie:

— Dość długo byłem gościem u ciebie, w twym raj, Samku mój; teraz ty będziesz gościem u mnie, w moim raj, gdzie na wieki ze mną zostaniesz!

Samko uśmiechnął się błogo, a usłyszawszy jednocześnie za sobą szmer padających na kolana mnichów i biskupów, obejrzał się, i wszyscy zdumieni się, jaki Samko był piękny. Miał oczy jako gwiazdy, włosy jako słońca promienie, a lice wyszlachetnione dobrocią nieskończoną i tą bładością, która świadczy o wielkiej abnegacji całego żywota, o długich cierpliwie znoszonych cierpieniach. Wszyscy mieli łzy w oczach i wszyscy dziwili się, że tacy byli dotąd ślepi! Bielmo spadało im z oczu, i poznawali naraz, jak wysoko nad nimi wszystkimi stał ten prosty, wierzący, gorąco a z prostotą miłujący Samko. I weszli do komórki, i kłaniali mu się, i padali na twarz przed krucyfiksem cudownym. Ale Samko ich nie rozumiał, oczy jego błdziły, dusza gotowała się w drogę do owego raj, dokąd wołał go ku sobie Chrystus, Pan nasz najśłodszy! Biskupi podtrzymywali opadającą głowę Samka, a przeor klasztoru rzekł uroczyście:

— Umierasz, i nie możemy ci już oddawać czci winnej! Jakże radzibyśmy cię teraz na rękach nosili. Niech dusza twa oręduje za nas przed Bogiem! Ciało twe zostanie nam, i ślubuję ci, że wystawimy pomnik z marmuru i złożemy je tam, odziane w złotogłowie!

Ale umierający Samko potrząsł głową.

— Pochowajcie mię na rozdrożu—rzekł cicho—bez krzyża i napisu, bez płyty grobowej i mogiły. To ostatnia ma wola.

Potem ucichł. Z ust zaszemrał mu cichy świegot ptasi. To było ostatnie jego westnienie. Nie poruszył się już. Ale ściana po za nim znikła, i mnisi ujrzeli tam niebo tak ciemno-szafirowe, że aż czarne przez głab' swą. Najgęstszy deszcz gwiazd czarodziejsko pięknych tam padał, a w migotaniu tem światł, w niezmiernej dali, unosiło się białe widziadło Zbawiciela. Było to jakby jasne upostaciowanie świętego uśmiechu. Boskie widzenie skinęło, jakby przyzywając ku sobie, i oto, pośród gwiazd padających, ścieżyną porosłą już nie cierniem, lecz liljami, jeło unosić się widmo Samka,

wdzięczne jak woń kwietna, białe jako promyk, powietrzne jak ptak.

Całą noc strawili mnisi na modlitwach. Rano odzieli ciało tego, który duszą z Chrystusem był, w białą szatę i pochowali je na rozdrożu, jak Samko sobie był życzył. Wspominali niebiańsko czysty uśmiech, smutny a wzruszający, z jakim ostatnie to życzenie wymówił, i próżno pytali jeden drugiego, czemu właśnie tak chciał ten człowiek, miłowany od Boga, zapóznany od świata. Nie odgadli. Nie odgadli, że dla tego tak chciał, bo w ostatnim okamgnieniu swego ziemskiego istnienia, jak w błyskawicy naglej, całe swe życie i znaczenie jego zrozumiał. Chciał, aby po śmierci tak po sercu jego deptano, jak deptano po niem przez całe życie. Toć krzeszały bezwiednie wszystkie te po nim deptające nogi twardemi swemi uderzeniami skry z serca jego, skry miłości, z których rozplonęła w jego łonie jasność, świecąca mu w pomroce cierpienia na ścieżce cierniowej, która go zawiodła do Raju!

Podbój pustyni.

Życzeniem Francji jest zawiadnąć pustynię Saharą. Rząd francuski chce w ten sposób połączyć swe posiadłości afrykańskie na wybrzeżu Gwinei z Algerją i Tunisem. Francuzi twierdzą, że celem zapewnienia bezpieczeństwa podróżnikom, trzeba opanować pustynię, w której głębiach tajemniczych kryją się gromady łupieżców, groźnych nawet dla zaludnionych terytoriów francuskich. Kolonialne wojsko francuskie jest w ciągłej obawie, czuwa niespokojnie, żyje w ustawicznym popłochu, stale gotowe do wymarszu, zmuszone już to do odpierania ataków, już to do przedsięwzięcia wypraw wojennych. Lecz oto udało się wyprawie Flamandla zbadać tajemnice tej pustyni w sposób, który zaszczył przynosi zarówno naczelnikowi wyprawy, jak i jego towarzyszom. Francuzi cieszą się teraz nadzieją, że nastanie wreszcie epoka spokoju i pomyślności w tym wspaniałym odlamie ich terenu kolonialnego.

Jaki jest cel zdobycia pustyni? Czy to nie jest próżna ambicja państwowa, żłudna zachcianka panowania nad wydłami piaszczystymi i gruntem skalistym, nad puszczą, którą praży słońce?

Odpowiedź jasną na to pytanie da nam rzut oka na mapę Afryki. Pustynia Sahara leży tutaj między dwiema głównymi grupami ziem francusko-afrykańskich; na północy ma Algerję i Tunis, na południo-zachodzie—Senegal, Sudan i Gwineę. Pustynia rozdziela te miejscowości, jakby klinem ogromnym. Francuzi uważają więc za rzecz konieczną

wcielanie pustyni do swych posiadłości, twierdząc, że stanowi ona łącznik, niezbędny między Algierem a Sudanem.

Nie należy zresztą sądzić, że Sachara jest tylko morzem piasku; są tam „wysepki“ zaludnione, zbiory oaz rozproszonych, na których żyją, handlują i walczą silne plemiona. Ta pustynia ludna stanowi jeszcze na granicy kolonji francuskich środowisko, gdzie się zbierają karawany, i ognisko



Przez Saharę. — Wyprawa Flamanda przebywa płaskowzgórze Tademait.
Pustynia nie będąc bynajmniej równiną z piasku wyczajnego, jest miejscami bardzo urozmaiconą. Fotografia nasza przedstawia karawanę, posuwającą się na płaskowzgórzu skalistym Tademait, na jednym z miejsc najbardziej przez słońce spalonym.

spisków powstańczych, wzniecanych przez Arabów łupieżczych, zmuszają kupców do płacenia haraczu. Francja nie chce dalej pozwolić, aby inni korzystali z bogactw pustyni, i obawia się, że one posłużą obcym za broń przeciw rządowi francuskiemu.

Korsarze Puszczy.

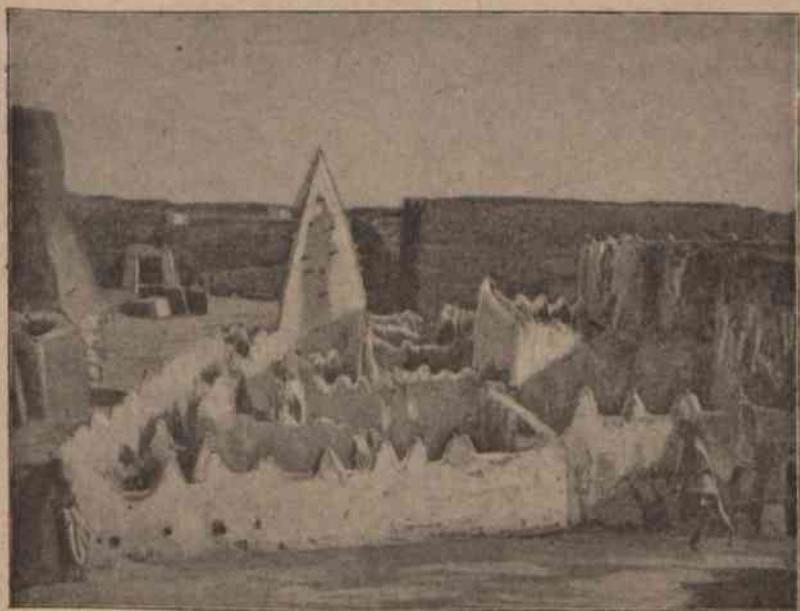
Do niedawna jeszcze Sachara była siedliskiem band rozbójniczych, które rzucały się stale na posiadłości sąsiednie. Z głębi pustyni zjawiały się gromady wojowników koczowniczych, dochodziły do granic kolonji francuskich, napadały samotne warty żołnierskie, porywały zapasy żywności i oddalały się bezkarnie, niknąc w ogromnej równinie piaszczystej. Pierwsze usiłowania francuzów, którzy chcieli zbadać teren pustyni, skończyły się tragicznie: wyprawę pokojową pułkownika Flattersa, w r. 1881, zdradzili przewodnicy. Pochwycił ją oddział wojska Tuaregów i zabił wszystkich jej członków, z wyjątkiem trzech oficerów. Ci ostatni nie mogli potem odnaleźć miejsca postoju wojska francuskiego; cierpieli głód tak straszny, że byli zmuszeni karmić się mięsem ludzkim. Znalezione ich prawie oszalałych, w stanie nawpół martwym. Zbrodnia Tuaregów nie została ukaraną przez lat ośmnaście. Zdawało się prawie niemożliwym, aby kiedykolwiek udało się osiągnąć tych wrogów nieuchwytnych, którzy napadają zniemacka, rzucają się i rabują, a potem znikają w przestrzeni niezbadanej.

Ci korsarze pustyni są zresztą zarówno malowniczy, jak niebezpieczni.

Są to ludzie piękni, wysokiej postawy, silni i zwinni. Ubiór ich jest zarazem pstrokaty i harmonijny. Noszą spodnie i bluzę z bawełny czerwonej lub niebieskiej, ściśnięte w pasie; na piersi mają wstęgę białą, pokrytą szerokim czerwonym workiem skórzanym, który służy za ładownicę do nabojów. Na głowie noszą zawój, otoczony opaską, zakrywającą czoło, z materji ciemnej; pozostałą część oblicza kryje zasłona czarna, z pod której wyglądają tylko oczy. Wszyscy są uzbrojeni w długie dzidy żelazne, kolczaste, z którymi się nie rozstają nigdy, w puginały i pałasze obosieczne. Wzdłuż siodła wisi dubeltówka, szabla posrebrzana i tarcza ze skóry antylopy.

Tuaregowie jeżdżą na wielbłądach osiodłanych, zwanych „mehara“. Kierują zaś nimi z zadziwiającą pewno-

ścią siebie, przyciskają tylko palcami nóg bosych szyję zwierzęcia. Jeździec siedzi na siodle, zakładając nogi wokoło wystającej kuli, w kształcie krzyża. Ma on w ten sposób ręce obie wolne, by móżdź władać dzidą lub szablą. Gdy dwóch Tuaregów walczy z sobą na wielbłądach, każdy dąży tylko do wytrącenia przeciwnika z tej pozycji nóg skrzyżowanych, bo wtenczas przeciwnik nie mogąc utrzymać się na



W In-Salah. — Groby Marabutów, czyli kaptanów mahometańskich; tutaj oddaje się część ich pobożności i cnotom, jako świętym po śmierci.

In-Salah, dokąd wyprawa Flamanda wtargnęła d. 29 grudnia 1900 r., po potyczce krwawej z kolumną, złożoną z przeszło 1200 wojowników saharyjskich, — był ogniskiem fanatyzmu religijnego. Posiadanie go uczyniło Francuzów panami krainy Tuatu, która była dotychczas nieprzystępnym schroniskiem łupieżców.

siodle, musi go się chwycić rękoma i traci możliwość dalszego opierania się nacierającemu.

Francuzi jednak mają jeszcze innych wrogów, oprócz Tuaregów. Na granicy marokańskiej, po całym południowozachodzie algierskim, grasują bandy rozbójników. Piotr Loti z zapalem opisał przepych ich stroju.

„.... Przejeżdżają galopem, z dzilami okrzykami; każą się jakby podziwiać, ukazując się raptem z pod dymu szerzącej ogień, broni, upojeni hałasem i pędem szalonym... Ażeby mieć na sobie strój o takim przepychu, musieli oni niezawodnie grabić długo podróży!... Wszystkie uzdy końskie i cała zbroja wojownika są owinięte w jedwab o barwie świetnie dobranej do stroju końskiego i ubrania jeźdźca: jedwab niebieski, różowy, zielony, żółty, amarantowy, lub koloru narcyza; wszystkie rzemienie są pozłacane. Konie mają pod brzuchem bardzo długie lambrekiny z aksamitu, haftowane bogato złotem, a podtrzymują je długie agrafki srebrne, cyzelowane lub wysadzone drogiemi kamieniami. „

Ci strojni rozbójnicy są takimi samymi łupieżcami, jak Tuaregowie; dwa te sąsiednie plemiona o jednakowych obyczajach niepokoją ustawicznie Algier południowy.

Francuskie wojsko na Saharze.

Francuzi musieli uzbroić się odpowiednio przeciw wrogom pustyni. A ponieważ główna siła wrogów tkwi w nadzwyczajnej ruchliwości, umożliwiającej ucieczkę szybką, przeto rząd francuski kazał wyćwiczyć należycie w wszelkiej jeździe konnej umyślny oddział kawalerji. Ta przednia straż algierska w przeciągu lat 2-3, miała ciągle utarczki, żyjąc w bezustannym popłochu. Na wzór oddziałów tuareskich, które zdają się fruwać po pustyni, utworzone dywizje francuskie nauczyły się również szybować w przestrzeni, ukazywać i znikać w jednej chwili, rozpraszając się w cztery strony płaszczyzny puste, ponurej i znosić wszelki niedostatek. Żołnierze francuscy przyzwyczaili się do trybu życia arabów, odżywiali się strawą bylejaką i pili wodę kiepską ze studni lub łągwi. W zapale wojennym, ciesząc się ciągle do brym humorem, a często odznaczając czynami bohater-

skiem, podczas wypraw licznych, żywili się jedynie daktylami i kokosami. Kawalerja francuska jeździła bez ustanku z południa na północ, ze wschodu na zachód, przypominając wszędzie swą obecność; spokojni mieszkańcy oaz przywykli dzięki temu liczyć na pomoc wojska, a koczujący rozbójnicy — obawiać się go i unikać. Potyczki stają się wreszcie prawdziwemi wyprawami wojennemi. W marcu 1899 roku kapitan Germain i 40 spahów (żołnierzy) saharyjskich puścili się na wywiady, krążąc dni 14 po okolicy od twierdzy Mac-Mahona do znanego „archipelagu oaz“, który znajduje się na krańcu południowym, do Fidikelt, na wschodzie krai-



Na krańcu południowym Algerji.—Forteca Miribel.

Aby zapewnić bezpieczeństwo oazom, nad którymi panują, Francuzi uważali za niezbędne umocnić swe działanie. W tym celu wybudowali fortece Miribel i Mac-Mahon. Przed wyprawą Flamanda, były to stanowiska wojskowe, najbardziej wysunięte na kraniec południowy.

ny Tuat, zamykającej francuzom drogę do Timbaktu. Kapitan Germain posuwał się aż do wrot In-Salah, a nikt go nie zaczepiał przez drogę. Francuzi wchodzili do samego środka schronienia Tuaregów.

Wpadli też na myśl szczęśliwą zastąpienia konia przez wielbłąda osiodłanego, zwanego Mehari. W tych bowiem wycieczkach forsownych po przez pustynię, koń okazał się za słaby, skorzystali przeto z wielbłądów, pozabieranych Tuaregom, gdyż „mehari“ jest tem śród wielbłądów jucznych,

czem koń rasowy w zaprzęgu do pługa. Zwierzęta wielce wytrwałe, lecz pod warunkiem, że będzie się pasło cztery godziny dziennie na suchych roślinach równin saharyjskich; może też obejść się bez picia cztery lub pięć dni. Mehari potrafi, nie męcząc się, robić ośm i pół kilometra na godzinę przez pięć lub sześć godzin z rzędu. Przed kilku laty zorganizowano kilka plutonów „spahów saharyjskich“, którzy przebywają ciągle na siodle wysokim, gotowi do pogoni za „meharami“ nieprzyjaciela. Oficerowie tego plutonu mają po trzy „mehary“, każdy żołnierz po dwa. Francuzi są więc teraz lepiej uzbrojeni, niż korsarze pustyni, i myślą tylko o posuwaniu się naprzód.

Pierwszą ich czynnością było otwarcie sobie drogi wolnej aż do oaz Tuatu, będących środowiskiem politycznym pustyni. Droga, prowadząca na zachodzie kordonu francuskiego przez doliny, obficie zaopatrzone w wodę, była niebezpieczna z powodu plemion berberyjskich, nieubłaganych wrogów. Francuzi postanowili wtargnąć do Tuatu przez Saharę wschodnią, lecz po tej stronie bardzo trudno było o wodę i wogóle o żywność.

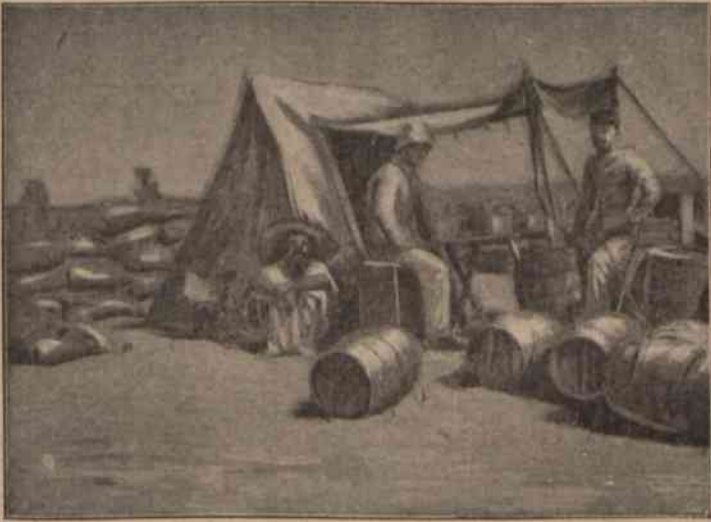
W r. 1899 powierzono wyprawie Flamanda misję o charakterze ściśle naukowym: zbadania pod względem geograficznym i ekonomicznym drogi francuskiej przez Saharę wschodnią do krańca południowego Tidikeltu, gdzie być może, uda się ustanowić punkt styczny z krajem pogranicznym Timbaktu. Zuchwałość korsarzy Sahary nałożyła na tę pokojową wyprawę geograficzną obowiązek istotnego zdobycia pustyni.

Pochód wyprawy. — Dzień pierwszy.

Flamand, profesor wyższej Szkoły Algieru, znany już z kilku wypraw po Saharze, miał pomocników w osobie p. Joly, również profesora uniwersytetu, i kapitana Pein,

dowódcy konwoju wojskowego. Trzech naczelników krajowych prowadziło 100 żołnierzy konwoju, jeżdżących na meharach, z wyjątkiem 14 z nich, którzy wybrali się konno. Zapasy mieściły się na 200 wielbłądach, dążących za wyprawą.

Wyprawa Flamanda, wyszedłszy z Algieru d. 8 listopada 1899 r. zatrzymała się kilka dni w Uargla dla uzupełnienia zapasów żywności. Z tego ostatniego środowiska francuskiego, wyruszyła d. 29 na południe. Od tego miejsca zaczyna się życie na pustyni.



W pustyni. — Służba przy zapasach żywności dla kolumny.

Daktyle, kokosy, konserwy, stanowiły jadłospis mało urozmaicony, którym musiano się zadowolić na pustyni. Żywność, jak i wodę, trzeba było nosić z sobą na grabietach wielbłądów. W namiotach, które służyły za składy żywności, odbywał się codziennie podział porcji jedla.

Z opowiadania samego podróżnika wiadomo, jak przepędzali dni pochodu.

„O godzinie trzeciej nad ranem hałas przeraźliwy rozlega się po całym obozie: to ryk wielbłądów, które się *barakują*. *Barakowanie* lub *zbarakowanie* wielbłąda znaczy: zmuszanie go do przykłąknięcia, celem nałożenia lub zdjęcia ładunku.

Ale to grzeczne zwierze nie przykłęka bez wysiłku, ani bez hałasu. Podczas ładowania wielbłąd wydaje głos przypominający chrapliwe gdakanie lub płukanie gardła, wraz z rżeniem ogłuszającym. A ponieważ w stadzie było około trzechset zwierząt, hałas przez nich powodowany, był aż nadto głośny, żeby zbudzić cały obóz śpiący.

„Symfonia ta zaczynała się tedy o godzinie trzeciej nadedniem, lecz dzień nastaje dopiero o w pół do siódmej; o tej porze można wstawać przy świetle dziennem. Ubrawszy się szybko, trzeba spieszyć po instrumenty, aby dokonać zaraz szeregu spostrzeżeń meteorologicznych.

„Zaledwie się zdążyło załatwić z temi pracami różnorodnemi, gdy rozbiegają namiot; jedni siadają na koń, inni na wielbłądy, a tu ma się przed sobą liczne obserwacje zajmujące. Tu i owdzie schodzi się z konia, by zbierać wzory różnych kamieni, potem się znowu schodzi i gromadzi okazy roślin,—i jedzie dalej. Śniadanie je się o godzinie wpół do jedenastej.

„Bez względu na porę roku jadłospis na Saharze przedstawia treść mało urozmaiconą; salceson lub mięso kozie i garść daktyli, sardela i garść daktyli, lub też kawałek tuńczyka (ryby morskiej) marynowanego i garść daktyli.

„Jako jedyny napój służy woda zazwyczaj bardzo chłodna, zachowywana w „gierbach“ (tągwiach z koziej skóry).

„Śniadanie trwa niecałe pół godziny, razem z odpoczynkiem. I wnet, ponieważ dni są krótkie, siada się na koń i rusza w drogę, czyniąc podczas jazdy spostrzeżenia, co trwa do jakiej trzeciej godziny.

„Urządza się zaś zwykle w ten sposób, żeby miejsce, obrane na obozowisko przez noc nadchodzącą, obrac wtedy, gdy słońce znajduje się pod kątem 45° nad horyzontem. Można wówczas czynić dokładne spostrzeżenia nad długością geograficzną.

„Ustawia się potem obozowisko; a podczas gdy ludzie poją wierzchowce i całe stado, — trzeba jeszcze zajrzeć do dziennika podróży, zapisać wymiary kompasu, zređagować

dzieje dnia ubiegłego, zaznaczyć wyraźnie notatki, w przeciągu dnia nakreślone w karnecie.

„Następuje godzina obiadowa. Zjada się kokosy, „mamsę“ lub ciasta. Po obiedzie śród obozu usypiającego, czyni się nowe spostrzeżenia astronomiczne i przygotowania do pochodu jutrzejszego. O godzinie jedenastej wieczorem, często o północy, kładziemy się spać wreszcie“.

Flamand nie opisuje tutaj ani trudów, ani upału piekącego, ani innych przeszkód wszelkiego rodzaju podczas podróży, ani też męczącej jednostajności. Z zapalem francuza i zachwytem uczonego myśli tylko o wynikach przedsięwziętego dzieła.

Na południe. — Laska wojenna.

Wyprawa szła wciąż naprzód ku południowi przez trzy tygodnie. Wydarzały się przytem wypadki, zakłócające zwykły porządek dzienny: jednego dnia napotkano studnię, zatrutą przez krajowców, którzy wrzucili w nią ścierwa kóz martwych. Innym razem znaleziono kościotrup Araba obok ścieżki, wytkniętej na ziemi śladami stóp „mehary“. Lecz gromadka podróżnych przeszedłszy szczęśliwie i bez przeszkód przez kamienistą równinę Tadomaitu, dotarła w końcu do Tidikeltu, „archipelagu oaz“ Tuatu wschodniego i stanęła u celu podróży. Straż przednia, doszedłszy d. 20 grudnia do studni Haci—Farer—Oum-el-Rill, znalazła tkwiącą w ziemi laskę, na której leżał papier z dość wyraźnym napisem: „Jeśli przekroczycie tę studnię, to proch przemówi“. Była to groźba wojenna Tidikeltu.

Wyprawa oczywiście postanowiła iść dalej mimo wszelkich przeszkód, założyła obóz na dni cztery nieopodal grożącej laski, poczem wkroczyła d. 27 grudnia do Foggary, oddalonej o 18 kilometrów na wschodzie od In-Salah, stolicy politycznej Fidikeltu. Przednie poczty, wysłane na zwiady,

doszedłszy aż do Igosten, dały znać, że na In-Salah utworzyła się kolumna wojska, złożona conajmniej z 1200 strzelców. Wyprawa naukowa musiała zamienić się na kolumnę wojskową.

Race alarmowe. — Proch przemawia.

Wieczorem 27-go misja złożona była tylko z małej gromady żołnierzy, należących do konwoju. Oddział spa-



Kobiety, wzięte do niewoli wraz z dziećmi, w walce pod In-Rhar.

hów saharijskich obozował tego dnia o jakie pięćdziesiąt kilometrów od misji na północy. Kiedy się już dobrze ściemniło, kapitan Pein kazał wypuścić kilka rac czerwonych, które znane były spahom, jako hasło: „niebezpieczeństwo bliskie, formować szyki“. Ale te race miały skutek nieoczekiwany: kolumna In-Salah, która znajdowała się zaledwie o kilka kilometrów od Francuzów, opóźniła szczęśliwie napad do dnia następnego

Kiedy bowiem dzień nastał, wojownicy z In-Salah, uspokojeni brakiem armat u przeciwników, zaczęli się posuwać naprzód w szyku wojennym przy dźwięku muzyki dziwacznej, wyśpiewując huczne pieśni wojenne. Kapitan Pein chciał się zastosować do programu pokojowego wyprawy, spróbował przeto po raz ostatni uzyskać zezwolenie na wolne przejście. Lecz w tej że chwili huk strzałów dał się słyszeć z pośród szeregów nieprzyjacielskich; strzał zranił jednego z żołnierzy francuskich. Linja jeźdźców białych zbliżała się żwawym krokiem do gromadki francu-



Orszak jeńców w „tellach”.

Gdy spahowie saharyjscy brali niewolników, musieli prowadzić ich z sobą w ten sposób, że ich pakowali do worków, zwanych „telli”, a dosyć obszernych, gdyż człowiek mógł nawet w nich siedzieć. Worki wiązano potem parami i ładowano na wielbłądy.

zów; długie fuzje strzelały bez ustanku. Francuzi dali także ognia. Pierwsi wojownicy biali padają martwi, ale muzyka czyni wrzawę, głucho uderzenia bębnow arabskich podniecają obrońców pustyni. Potyczka ciągnie się blisko przez trzy godziny; wreszcie linja jeźdźców, ostatecznie rozbita, rozprasa się i znika. Pięćdziesięciu białych leży bez życia na ziemi.

O drugiej godzinie spahowie saharyjscy przyłączają się do kolumny francuskiej. Wyprawa będąc teraz w komplecie, wyrusza na In-Salah, do którego wchodzi d. 29 bez walki. Zatykają sztandar trójbarwny uroczyście na bramie miejskiej, żołnierze prezentują broń, surmy trąbią. Francja zawładnęła ostatecznie środkiem, samem sercem Sahary.

Atoli zwycięztwo nie jest jeszcze zupełnie pewne. Dnia 5 stycznia wojacy pustyni napadają na wsie południowe w okolicy In-Salah. Kawalerja francuska odbiera ich, a tymczasem Flamandowi wraz z dwoma dziesiątkami ludzi udaje się zatrzymać 70 jeńców wojennych i zakładników, zdobytych w przeciągu dnia wczorajszego. Jednocześnie broni zwycięzko orszak cały stado wielbłądów, na które napadają ludzie z In-Salah, usiłując je uprowadzić. Tym razem francuzi zdobyli całą oazę. D. 18 stycznia Flamand może już udać się w drogę na północ, osiągnąć do fortec Miribel i El-Golea, zostawiając na miejscu nieliczną załogę. In-Salah nie wyrwie się już z rąk Francuzów.

Niezadługo po odjeździe wyprawy, Francuzi panowali już na całym południo-zachodzie aż do oazy In-Rhar. W końcu kolumna rzuca się na In-Rhar d. 19 marca, bierze 450 jeńców, rani 600 ludzi, czyniąc ich niezdolnymi do dalszej walki; francuzi stracili tylko 9 żołnierzy i mieli dwóch oficerów rannych. To powodzenie wojskowe zapewnia ostatecznie zdobyte wyniki wyprawy geograficznej Flamanda.

Drobna oaza w In-Salah stanowi w istocie prawdziwą stolicę polityczną i ekonomiczną całej tej krainy Tuatu, środowiska życia muzułmańskiego, rozproszonego wśród wydmy piaszczystych i równin skalistych, na 900 kilometrów od brzegu morza Śródziemnego, w samym środku Sahary. Francuzi zdobyli istotnie przez to szczęśliwe zwycięztwo zbiór oaz, których przestrzeń wynosi około 2,000 kilometrów kwadratowych; na których rośnie z 7 milionów drzew palmowych; gdzie mieszka przeszło 200,000 ludności a w tej liczbie 3,000 jeźdźców i 30,000 piechurów koczowniczych.

Miejscowości te, jako położone w środku pustyni, mają nader ważne znaczenie. W krajach, gdzie daktyl jest jedynym środkiem pożywienia, panuje niekiedy taka nędra, że murzyni

niszczą mrowiska, aby z nich wydobyć ziarnka ukryte. Rozwinięcie handlu wwozowego jest przeto tutaj koniecznym warunkiem życia. To środowisko handlu wymiennego przyciąga do siebie w pewien czas głodnych, którzy stanowią poważną większość ludności. In-Salah jest jedynym rynkiem, przystępnym dla Tuaregów. Francuzi są pewni, że zdobywszy to środowisko, rozciągną swe panowanie nad wszystkimi, którzy koczują po pustyni Saharze.



Spahi saharyjski i jego „Mehari”, czyli wielbłąd osiodłany.

Sahara prowincją francuską.

Od czasu osiedlenia się Francuzów w In-Salah, lotne oddziały ich wojska objeżdżają bezustannie Fidikelt i krainę Timmimun. Nieszczęsna zuchwałość Berberyjczyków zmusza Francuzów do energicznego działania i uspokojenia ostatecznego całej krainy.

D. 18 lutego tegoż roku, o godzinie piątej nad ranem, pojawiają się Berberowie w liczbie około tysiąca strzelców.

Napadają na Timmimun, sądząc, że nie zastaną tam obrońców, bo ci mieli się znajdować w kolumnach wojskowych. Francuzów było tutaj w samej rzeczy zaledwie 160. Przez trzy godziny trwa bitwa zażarta w ciemnościach. Rezultat jest taki, że powstańcy ponoszą zupełną porażkę, pod murami fortecy zostawiając ze sto trupów; z sobą zaś zabrali 200 rannych.

Straty Francuzów wynosiły 2 zabitych i 28 rannych. Zwycięstwo zostało drogo opłacone. Ale za to Berberowie, zda się, są teraz rozbici ostatecznie. Krwawa porażka nabrała wnet wielkiego rozgłosu w całym Tuacie, który skłania się obecnie do uznania nad sobą władzy Francuzów.

W ostatnich czasach odbywa się akt regularnego zajęcia tej krainy, którego program wykończa się ostatecznie pod kierunkiem generała Serviéra. Korsarze pustyni są już stanowczo zwyciężeni.

Francuzi są olśnieni wynikami wyprawy Flamanda, która zdobyła śmiało In-Salah. Jako władcy Tuatu, Francuzi uważają też siebie za władców Sahary, gdyż połączyli rozrzucone dotychczas grupy swych kolonij. Zdaniem ich, przewaga w Afryce północnej i wschodniej wzrasta również z dniem każdym. Oczekując urzeczywistnienia się myśli założenia kolei transsaharyjskiej, Francuzi są pewni, że w najbliższej przyszłości połączą archipelag oaz Tuatu z ziemią francuską za pomocą linii kolei żelaznej na wschodzie i zachodzie. Sieć drutów telegraficznych już się szykuje. Od dnia dzisiejszego—mówią Francuzi—Sahara jest prowincją naszą, po dwóch latach zaledwie działania pokojowego i wojennego. Szczycą się tem „prawnem“ a świetnem zwycięstwem kolonialnem, które jest dla nich o tyle pożytecznem ze względów ekonomicznych, ile chwalebne dla uczonych i wojska.

Z PRASY.

Teatr Ludowy w Warszawie.

Teatr Ludowy w Warszawie jest instytucją społeczną, niepozabawioną poważnej doniosłości. Nie chcemy się nad tem rozwodzić. Kto choć jeden wieczór w nim spędzi, ujrzy to bardzo wyraźnie. Zaznaczymy tylko jako objaw pocieszający, iż znaleźli się w społeczeństwie naszym ludzie, którzy rzecz ocenili trafnie, chcieli i umieli sprawę poprowadzić, zdobyć powodzenie i zwyciężyć.

Ścieżko współpracownik „Kraju”, Varsoviensis, opisał swoją rozmowę o teatrze Ludowym z dwoma najgłówniejszymi sławami teatru Ludowego z p. Wiklorem Czyżewiczem i z p. Marjanem Gawalewiczem; pierwszy kieruje częścią administracyjną, drugi artystyczną.

Powtarzamy tu rozmowę Varsoviensisa z p. Czyżewiczem, gdyż ta dotyka bardziej społecznej strony instytucji.

— Żeby zacząć od początku,—mówi p. Czyżewicz—niech więc pan zanotuje, iż nasz teatr zależnym jest, mówiąc w ogólności, od specjalnego warszawskiego komitetu trzeźwości, którego prezesem jest p. ober-policmajster, pułkownik Lichaczew. Do komitetu tego wchodzi z urzędu osoby, zajmujące pewne określone stanowiska, i one też o wszystkim decydują. Oprócz niech są jeszcze dwie kategorie członków komitetu. Pierwsza—to zaproszeni z głosem doradczym obywateli; tych poproszono kilku: pp. hr. Ludwika Skarżyńskiego, Marjana Gawalewicza, ks. M. Radziwiłła, Adama hr. Krasieńskiego i innych. Druga kategoria — to zaproszeni przez komitet opiekunowie cyrkulowi, i ci mają głos w decyzjach. Dwóch takich opiekunów jest czynnych: pan Feliks Stępiński i ja. Otóż komitet ten utworzył komisję za-

baw ludowych.

— Więc zabawy ludowe na Pradze są pomysłem komitetu?

— Niezupełnie. Właściwie zabawy ludowe w obecnej formie „wynałaził“, że tak powiem, hr. Ludwik Skarzyński, jako prezes wydziału dochodów niestałych w warszawskim Towarzystwie dobroczynności. Zabaw tych urządził trzy, i miały ogromne powodzenie. To zwróciło uwagę członków komitetu i na zabawy te i na ich organizatora. Zajęto się zorganizowaniem ich, a jako męża doświadczonego już na tem polu, poproszono hr. Skarzyńskiego, hrabia zaś pociągnął do roboty Gawalewicza i mnie, jako pomocników swoich w wydziale warsz. Tow. dob. Oto jaką drogą weszliśmy do nowej instytucji.

— A więc teatr ludowy?...

— Był pierwotnie jednym z punktów programu zabaw ludowych. Wybudowaliśmy z desek scenkę i dawaliśmy pod gołym niebem przedstawienia. Z początku powierzono to trupie p. Smotryckiego — i przedsiębiorcy ci dostarczali wszystkiego: sztuk, aktorów, kostjumów, za sumę 150 rubli od przedstawienia.

— I przedstawienia te miały powodzenie?

— Olbrzymie, zaraz od samego początku. W tym rodzaju rozrywki lud nasz zasmakował odrazu. Na trzy godziny przed podniesieniem kurtyny stali już przed teatrem ludzie, aby zdobyć sobie lepsze miejsce. To nam dało do myślenia. Zrodziła się myśl stałego teatru ludowego. Gdyśmy z nią wystąpili, znaleźliśmy u pułk. Lichaczewa szczerą życzliwość i poparcie, za które należy mu się podziękowanie. Sprawa teatru ludowego weszła na posiedzenie komitetu — i została zdecydowaną pomyślnie.

— I odrazu dano wam budynek obecny?

— Narazie poczęliśmy szukać odpowiedniejszej sali. Ale trudno było ją znaleźć. P. Wodziński za swój Tatersal wymagał 11 tys. rb. rocznie; Michał Wołowski za swój kontrakt z „Bagatelą“ samego odstępnego 8 tys. rb. — a tu salę dawano nam bezpłatnie. Więc choć posiadała ona swoje niedogodności, *nolens volens* wzięliśmy ją. Utworzono tedy przy komisji zabaw *podkomisję teatralną*, złożoną z pp. Gawalewicza i W. Bożowskiego, pod moim kierunkiem, i poczęliśmy organizować trupę. O naszych artystach powie panu Gawalewicz. Ja zaznaczyć tylko energiczne starania p. Bożowskiego o utworzenie własnej, a dobrej (to muszą nam przyznać) orkiestry. Był projekt powierzenia roli orkiestry kapeli wojskowej; wtedy p. Bożowski zwrócił uwagę na tę okoliczność, że warszawski instytut muzyczny wypuszcza corocznie sporą liczbę

artystów, którzy nie mogą znaleźć odpowiednich miejsc. I zaproponował utworzenie z nich własnej orkiestry. I mamy ją, choć kosztuje ona dwa razy tyle, co kapela.

— Kiedy otworzyliście teatr?

— W dniu 13 listopada 1899 roku „Biedakami“ Świderskiego. I natychmiast sprawdziły się nasze nadzieje. W listopadzie i grudniu mieliśmy 45,122 widzów. Powodzenie teatru ludowego było zapewnione. W roku 1900 rozwijał się on stale i odwiedziło go osób 225,831. Ale przyszła i nań chwila nieco cięższa.

— Zaintrygował mnie pan...

— W budżecie kuratorjum trzeźwości preliminowano na teatr ludowy sumę 67,020 rubli..

— Tymczasem rzeczywisty dochód...?

— Dochód za opłatę biletów wyniósł ledwie 62,650 rb. 70 kop.

— A więc niedobór?..

— Niedobór — śliski. Należy bowiem dodać do tego dochód tysiąca rb. z bufetu i za programy. A dalej wziąć pod uwagę tę okoliczność, iż trupa nasza dała 22 przedstawienia na zabawach ludowych, za co trzeba było zapłacić — licząc po 150 rb. od przedstawienia — 3,300 rb. Dodajmy te dwie sumy do pierwszej, — otrzymamy 67 tys. A więc istotnego deficytu nie było. W każdym razie ograniczono nas nieco obecnie.

— A więc komitet wymaga, aby teatr ludowy utrzymywał się własnym kosztem?

— Taką jest w istocie tendencja oszczędnościowa. Zresztą komitet otrzymuje od ministerstwa skarbu tylko 20 tys. rb. rocznie na swoje cele, hojnym więc być nie ma z czego. Bądź co bądź rozwijamy się mimo to stale. Rok obecny przyniósł nam, między innymi, nader ważne zmiany. Pierwsza z nich, to zamianowanie prezesem komisji zabaw p. Stępińskiego, na miejsce p. Tichomirowa. Druga — to *odłączenie podkomisji teatralnej od komisji zabaw i utworzenie z niej osobnej, niezależnej komisji*. Oprócz wymienionych członków, weszli do niej wskutku reformy: pułk. Marczenko i pp. Stępiński i Zygmunt Przybylski. P. Stępiński własnym kosztem wybudował teatr w parku na Pradze, i obecnie miejsca tam są płatne, od 5 do 30 kop. na przedstawienia popołudniowe i od 5 k. do 1 rb. na wieczorne. Wymowniej zresztą od słów i zapewnień powiedzą panu o powodzeniu dzieła naszego liczby. Przygotowałem tu ich parę na użytek czytelników „Kraju“. A więc było za czas istnienia działalności naszej, czyli w ciągu miesięcy 20:

w teatrze . . .	400 tys. osób
na zabawach . . .	723 „ „
	<hr/>
razem	1,122,533 osób,

wyraźnie: *miljon sto dwadzieścia dwu i pół tysiąca.*

Przyznając, że ten „miljon“ zrobił na mnie niemało wrażenie — a spodziewam się, że i wy, czytelnicy, niezupełnie obojętnie przyjmiecie wiadomość o nim. W istocie ludzie, którzy dzieło to tak umiejętnie prowadzą, dobrze się społeczeństwu zasłużyli.

— Czy duża różnica istnieje pomiędzy przeszłorocznym a tegorocznym budżetem miesięcznym teatru?

— Dawniej mieliśmy 7,152 rb., obecnie 5,600 rb., a więc mniej o 1,552 rb.

— Sporo jednak.

— Niech pan doda jednakże, iż ministerstwo dało nam 250 tys. rb. na budowę domu ludowego, w którym się mieścić będzie i teatr. Pieniądze te leżą już w banku i urosły dotychczas do 270 tysięcy. Ale cóż? Nie możemy dopytać się od zarządu miasta stosownego placu. Gdybyśmy tylko plac mieli, jakże posunęłoby się naprzód dzieło umoralnienia i podniesienia naszego ludu, we własnym bowiem budynku możnaby i w zimie coś robić, a teatr zyskałby na tem przedewszystkiem...

— Ostatnie pytanie: jak się zachowuje lud nasz?

— Pani! — wzorowo. Powiem panu rzecz nadzwyczajną. Na te miljon sto tysięcy osób bawiących się, *nie spisano dotychczas ani jednego policyjnego protokołu o zakłócenie porządku*. I jak ci ludzie są nam posłuszni! Prawda, że i traktuje się ich... Ja np. nie odzywam się do nikogo inaczej, choćby on był „na bosaka“, jak z kapeluszem w rękę i słowami: „szanowny pan będzie łaskaw“... Ci ludzie rozumieją, kto i co dla nich robi, i umieją być za to wdzięczni, jestem tego pewien. To też i satysfakcja prawdziwa pracować dla takiego ludu — i nie żal, doprawdy, trudu i czasu...

— Więc teatr ludowy ma przyszłość?

— Wręcz ogromną. Pan wie, że go narazie pewne koterje polityczne przyjęły niechętnie. Ale uprzedzenie to powoli znika, i może już teraz nawet znikło zupełnie. I nic dziwnego: kto zechce sam sprawdzić rezultaty naszej pracy, musi uznać jej użytek. Ot, przedonegdaj był u nas poraz pierwszy dr. Karol Benni, który powiedział Gawalewiczowi i mnie dużo komplementów. „*Chapeau bas!* przed wami“ — są jego słowa.

I ściskając mi na zakończenie rękę, energiczny prezes komisji teatralnej westchnął:

— I gdyby nam tylko miasto zechciało przyjść z pomocą...

Przeciw niechlujstwu.

W zeszycie sierpniowym „Zdrowia“ dr. K. Chęłchowski w art. p. t. „Nasze kąpiele prowincjonalne publiczne, kolejarze i fabryczne“, podnosi jedną z wielkich wad społeczeństwa naszego, brak zmysłu czystości.

Przykro jest — pisze dr. Chęłchowski — zarzucać własnemu społeczeństwu tak ciężką wadę, jak niechlujstwo. Ale cóż robić? Zaczynają nas przecież już traktować, jako lud brudny, budzący odrazę i obawę wszelkich zaraz. Na granicy pruskiej chłopów naszych dezynfekują, skarżą się, że Niemcomi trudno wytrzymać między takimi brudasami. Kto wie, czy nie zbliża się czas, w którym ludy podzielą się na brudne i czyste, i brudne będą musiały ustąpić czystym, albo zejść na niższe od nich stanowisko i jeszcze głębiej pograżyć się w niechlujstwie.

Czystość stanowi niemal treść całej dzisiejszej higieny. Niechlujstwo nietylko jest kolebką chorób zakaźnych i parasorzytnych, nietylko sprzyja zatruciom robotników, ale osłabia cały ustrój ludzki, szczególnie zaś już szkodzi nerkom i układowi nerwowemu. Za czystością ciała idzie porządek w domu, a za porządkiem w domu, ład w życiu.

Chciałbym jednak zwrócić uwagę na parę względów, nie uniewinniających nas wprawdzie, ale poniekąd tłumaczących dzisiejsze u nas zaniedbanie czystości.

W rozwoju cywilizacyjnym ludów zaniedbanie czystości może być zjawiskiem przemijającym, właściwem pewnemu stopniowi rozwoju, temu mianowicie, gdy na pierwszy plan wysuwa się praca i pracowitość, a pomija wszystko inne. Pomiedzy pracą fizyczną a czystością zachodzi antagonizm, i to konieczny. Wyrównać go, zatrzeć, to jedno z najważniejszych zadań społecznej cywilizacji.

O ludach dzikich utrzymują, że te dbają bardzo o czystość ciała. I w Europie zachodniej francuzom do dziś zarzucają niechlujstwo, a i Niemcy zaczęli brać częścię kąpie-

le wcale nie od tak dawna, bodaj czy nie od czasu zaprowadzenia natrysków ludowych. Zgodnie z tem i dziś w najnowszych higienach niemieckich utyskują na zaniedbanie czystości ciała wśród klas pracujących, zazdroszczą rosjanom zwyczaju częstych łaźni. Widzieliśmy, że i u nas w miastach z ludnością w znacznej części niemiecką gorzej jest nawet z kąpielami, niż w innych. To samo w wyższym jeszcze stopniu zobaczymy przy kąpielach dla robotników. Jest ich bez porównania mniej w fabrykach niemieckich, niż w będących własnością krajowców.

Wszystkie choroby zakaźne najsilniej się srożą na tle niechlujstwa. Dżuma jednak i cholera najbardziej są pod tym względem wymagające: koniecznym jest dla nich wysoki stopień zaniedbania czystości. Otóż choroby te powstawały tak dobrze w zachodniej Europie, jak i u nas. A zatem, powtarzam, brak czystości u nas jest czasowym okresem rozwojowym i zniknie z rozpowszechnieniem w społeczeństwie większego szacunku dla pracy i większego poczucia godności osobistej wśród klas pracujących.

Czystość stanowi główną myśl przewodnią całej naszej higieny. Kto wie jednak, czy niema w tem pewnej przesady, a przynajmniej pewnej jednostronności, jak w każdym zresztą nowszym kierunku, szybko zdobywającym sobie uznanie. Prawdopodobnie tak jest i z naszym dzisiejszem bałwochwalstwem dla czystości i przesadną czasem obawą bakterji.

Idealem higieny i zdrowia jest nie unikanie bakterji i wpływów szkodliwych, ale odporność na nie. Czy i kiedy uda się usunąć z natury szkodliwe zdrowiu drobnoustroje—nie wiadomo. Odporność zaś na szkodliwe czynniki, wiara w tę swoją odporność, zdobywanie wykreślonych sobie celów, bez względu na owe szkodliwe czynniki — wszystko to będzie istniało zawsze i będzie miarą wartości człowieka. Antagonizm między pracą a czystością istnieje, a przecież nikt się nie zawaha z odpowiedzią, co jest ważniejsze dla społeczeństwa. To samo byłoby, gdyby zachodził naprawdę antagonizm między czystością ciała a duszy, gdyby wypadło wybierać między jedną a drugą. Otóż, patrząc na nasz lud z tego punktu widzenia, dojrzymy w nim i wielką odporność, i wielką wiarę w swoją odporność, i pogardę nadmierną nawet dla czynników szkodliwych, chorobotwórczych, czy innych. Z tego punktu widzenia, niechlujstwo nasze nie byłoby czemś tak już rozpaczliwem. Zadaniem naszym byłoby wpoić w społeczeństwo przekonanie, że jednym z ważniejszych jego obecnych zadań, którego trzeba dokonać bez

względu na trudności, jest wyróbenie w sobie zmysłu czystości, a właściwiej może odzyskanie tego zmysłu, stępionego czasowo innemi zadaniami.

Na drodze do tego zadania pierwsze kroki może i musi zrobić ludność miejska. Widzieliśmy, że kąpiele, mianowicie łaźnie, były u nas równie rozpowszechnione, jak i w zachodniej Europie. Kiedy tam jednak zastąpiono je wannami, u nas w ostatnich wiekach zaniedbano kąpiele zupełnie. Kto wie, czy nie zależało to od wyjątkowych u nas stosunków lndnościowych miejskich, t. j. od separatyzmu naszego mieszczaństwa żydowskiego i chrześcijańskiego. Mieszczaństwo to nie spełniło swego zadania — utrzymania i szerzenia czystości. Żydzi przechowali wprawdzie łaźnie i swoje kąpiele, ale w swoim separatyzmie tak zmienili ich charakter, że istotę kąpieli podobno trudno w nich odszukać.

Ze świata kobiecego.

Pogadanka o modach.

Jeszcze nie w tym sezonie, ani nawet nie w tym roku ziści się przepowiednia fałszywych proroków, którzy od lat już kilku straszą nas oznajmieniami o rychłym zniknięciu bluzek i szmizetek z zakresu toalet damskich. Byłaby to wielka, pociągająca za sobą duży koszt.

Obecnie mając bodaj jedną lub dwie spódnice można wyglądać zawsze świeżo i elegancko: jasna bluzka, lub nowa szmizetka do figara zmieniają zupełnie wygląd toalety. Gdyby nie ich działalność pomocnicza, musiałybyśmy sobie sprawić dwa razy więcej sukni a w dodatku, w czasie upałów, byłybyśmy skazane na tortury stanika z podszewką, z fiszbinami, z grubym kołnierzem itp. Całe suknie batystowe lub nawet kretonowe nie są praktyczne ze względu na konieczność częstego prania; bluzka i szmizetka piorą się łatwiej i taniej. Otóż obie są bardzo noszone, różnaitość materiałów coraz większa. Widzimy pikowe, kretonowe, batystowe, etaminowe, zefrowe, *fil de soie* z połyskiem jedwabiu, wreszcie jedwabne, z fularu *Liberty*, z *Luizyny* i t. p. Szmizetki robią się w zakładeczki, ale już nie płaskie, tylko okrągłe, bardzo gęste, nie przyprasowane, co właśnie jest nowością. Wiele też szmizetek robi się w draperje *à la Gauloise*, to jest w fałdy ukośne, obejmujące figurę, zebrane na ramieniu i zakończone bądź węzłem, bądź *Mau* z drobnych aksamitek, bądź wreszcie bukietem sztucznych kwiatów. Duże kołnierze wykładane, z koronki lub jedwabnego muślinu, zastąpiły wysokie obroże, tak niewygodne latem.



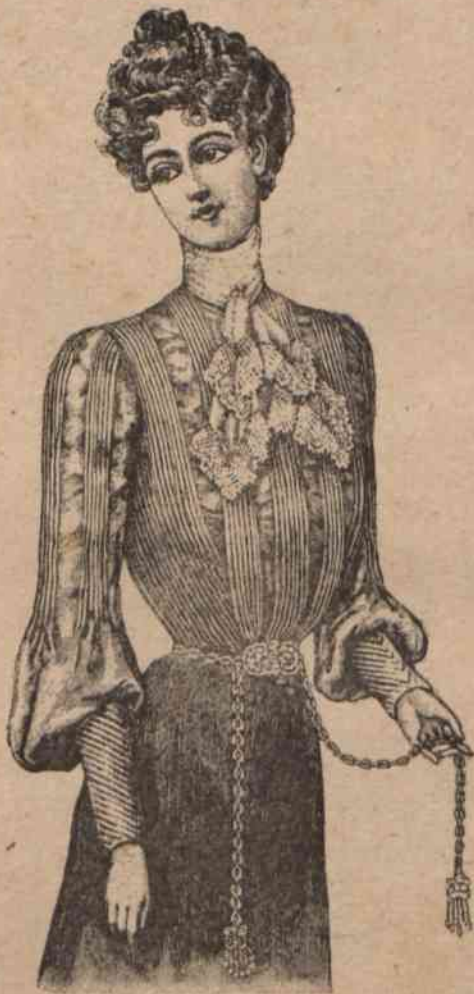
Suknia z falbankami i hafcikami

Suknia z aksamitkami

Suknia z falbankami i hafcikami

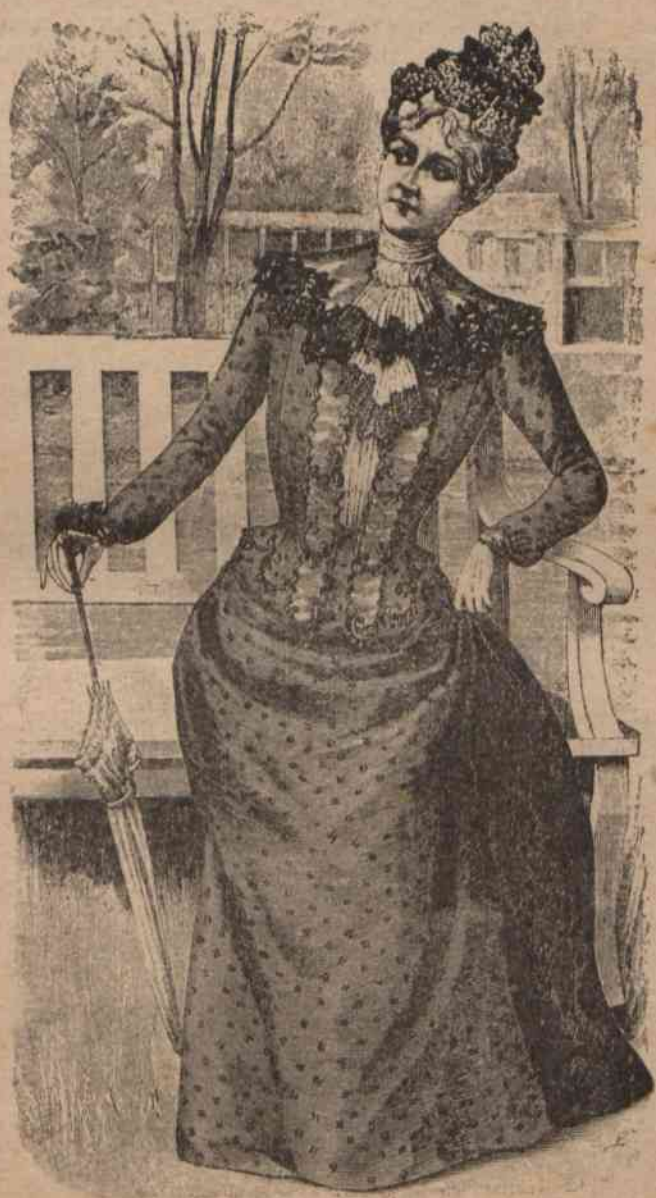
Suknia z aksamitkami.

Można łatwo stare staniki jasno jedwabne zużytkować na szmizetki, pokrywając przód tiulem albo muślinem. Batystowe lub koronkowe chusteczki dadzą się także zużytkować jako żaboty. Marszczy się je poprostu przez środek i przy-



Bluzka jedwabna.

pina broszką pod kołnierzem, końce spadają wolno. Fiszutki Marie Antoinette są noszone z coraz większym upodobaniem, ale stosowne tylko dla osób młodych, obdarzonych ładną i białą szyją.



Suknia letnia dla niemłodej damy

W miesiącu bieżącym najtrudniej może pisać o modach, bo fasony letnie już wypowiedziały ostatnie słowo, a na fasony jesienne trochę za wcześnie. Panie donaszają suknie, bo już nie warto sprawiać lekkich strojów, a z cięższymi czeka się do ukazania żurnalów, zapowiadających koniec lata.

Z kapeluszami tak samo, już je przyprószyły kurze, zmoczyły deszcze, słońce zdjęło z nich świeżość barwy,



Ubranie marynarskie dla małego chłopczyka.

a szkoda je wyrzucać, bo jeszcze nie pora na filce i aksamity. Gładki (*canotier*), noszony bywa do podróży, i na spaceru; oddaje on wielkie usługi w życiu codziennem. Jedyłą jego ozdobą jest węzeł lub *Mau* z lekkiej materyi, ze wstążki, z wetkniętem we środek skrzydelkiem lub tak zwaną *paletą*. Najnowszymi przybraniami są kokardy o sześciu splotach,



Suknia spacerowa



Fiszotka Marie-Antoinette



Nowy fason kapelusza.

wpięte z boku. Najnowszy fason *canotier'a* ma rondo obwinięte dokoła, jedynym jego przybraniem wstążka, zakończona sprzączką. Do sukien aksamitnych noszone są także berety



Matinka batystowa.

słomiane, z kokardą fularową granatową, w białe, drobne groszki i dwoma paletami, spływającymi po bokach. Pasterki,

używane zwłaszcza na wsi, ich garniowania z jedwabnego białego muślinu piorą się w wodzie, a upiąć je łatwo nawet samej. Modne są także kapelusze płaskie, jakby z dna talerzy, położonych jeden na drugim, pomiędzy niemi wkłada się girlanda kwiatów lub sfaldowana materya. W kwiatkach panuje wielka różnorodność, zaczynając od polnych a kończąc na wspaniałych różach; *gloire de Dijon*, *maréchal Niel*; na pasterkach dojrzewają wiśnie, porzeczeki, winogrona, jarzębina i t. p. Dla odświeżenia kwiatów, należy przez czas pewien trzymać je nad parą — z takiej łaźni rzymskiej wychodzą, jak nowe.

Przy zbliżającej się jesieni wszelkie sporty damskie będą uprawiane z zapałem, nie umiarkowanym palącymi promieniami słonecznymi. Zaznaczam, że do bicyklu nie są już noszone szarawary, tylko spódnice krótkie, fałdzone, z jednego brytu; nowością są zastępowane plecy z jedwabnej materyi. W jednej z poprzednich pogadań wspominałam już o niewłaściwym używaniu barw jasnych i fasonów fantastycznych do jazdy na rowerze; nie będą się zatem powtarzać, zaznaczę tylko drugą nowość w zakresie kostjumów podobnych: noszone są przy nich kołnierze marynarskie, zamiast stojących obcisłych. Ma się rozumieć taka moda obowiązuje tylko w cieplej porze roku.

E. Żmijewska.

ROZMAITOŚCI.

— **Dziennikarstwo chińskie.** W Chinach od dwustu przeszło lat wychodzi urzędowa gazeta codzienna „Kinn-Bao“ (gazeta stołeczna), specjalnie przeznaczona do ukazów cesarskich, rozporządzeń wicekrólów i innych dygnitarzy.

Od lat trzydziestu kolonja angielska w Szanghaju wydaje gazetę angielską „North China-Daily-News“, która jest dzielnym środkiem do rozszerzenia wpływu i języka angielskiego w kraju. W ostatnich czasach gazeta zaczęła dodawać w przekładzie na język chiński, wiadomości i artykuły, żywiej obchodzące krajowców.

W Chinach wychodzi jeszcze jedna gazeta francuska i jedna niemiecka.

Blizko trzydzieści lat temu założono pierwszą gazetę chińską, która dotąd zajmuje pierwsze miejsce. Oprócz tej wychodzą jeszcze trzy gazety chińskie w Szanghaju i dwie japońskie: jedna w Tientsinie i jedna w Szanghaju.

Wszystko są to gazety codzienne, istnieje tylko jeden tygodnik ilustrowany.

Listę wydawnictw periodycznych zamykają dwie gazety specjalne: jedna—handlowo-przemysłowa i druga—rolnicza.

Zobaczmy pobieżnie, co się znajduje w gazetach chińskich. Przedewszystkiem—ukazy cesarskie i polityka; wypadki, wiadomości i rozmaiłości; ogłoszenia. Wszystko więc—jak u nas.

Prasa chińska, pomimo swego bardzo dotąd słabego rozwoju, wywiera jednak wpływ wielki na życie społeczne. Tylko, dzięki jej, opinia publiczna zaczyna odczuwać potrzebę reform, gdyż wszystkie gazety należą do partji postępowej, stojącej po stronie cesarza i reform.

Trudne zadanie czeka prasę chińską. Aby zbudzić z tysięcletniego snu 400-miljonowy naród, który najmniejsze odstępstwo od tradycji uważa za zbrodnię, trzeba wielkiej energii i wiele, wiele czasu.

— **Słoneczniki.** Jedno z berlińskich biur patentowych, pisze o niedawno odkrytym środku, zabezpieczającym ginących przy rozbiciu okrętu.

Środkiem tym jest pospolity u nas słonecznik. Miąż rośliny uznany został przez najpoważniejszych znawców, za najłżejsze ze wszystkich znanych do tej pory ciał twardych.

W Niemczech powstało niedawno towarzystwo pod nazwą „Sonnenblumengesellschaft“, które odkupiło patent, wydało specjalną broszurę i przystąpiło już do praktycznego zastosowania nowego odkrycia na użytek ogółu.

Poczynione odkrycia w zupełności dowiodły, że miąż słonecznika okazuje na wodzie niezwykłą siłę odporną. Może on utrzymać z łatwością ładunek, czterdzieści razy przewyższający jego osobistą wagę, gdy tymczasem, sierść jeleni północnych utrzymuje na wodzie przedmioty cięższe od niej nie więcej, niż dziesięć razy, a korek — nie więcej niż pięć.

Pomienione towarzystwo rozporządza 80.000 łodyg słonecznikowych, wyhodowanych w majątku Seehof na 12 morgowej plantacji, a z otrzymanych 800 kilogr. miążu słonecznikowego, na początek zamierza przygotować 25.000 kostjumów i bluz pływackich, które są przeznaczone dla podlegających niebezpieczeństwu marynarzy, amatorów wrażeń sportowych podczas burzliwej pogody i kąpiących się w morzu.

Tym sposobem, dzięki staraniom nowego towarzystwa, wynaleziono, wreszcie sposób zabezpieczający od zguby znajdujących się w niebezpieczeństwie, przy pomocy ubioru, który waży zaledwie jeden funt a więc nie może zbyt obciążać tych, którzy zeń korzystają.

Rzeczywistą wartość nowego środka wykazały liczne doświadczenia; jeszcze w 1891 r. próbowano go w obecności przedstawiciela ministerjum marynarki i przekonano się, że nawet najlepszemu pływakowi, dzięki nowemu zabezpieczającemu kostjumowi, nie udało się ani razu dać nurka, a pewna dama, nieumiejąca zupełnie pływać, odziana w bluzę podbitą miążem słonecznikowym, poruszała się na powierzchni wody ze swobodą doskonałego i doświadczonego pływaka.

Kilka podobnych udanych prób zniewoliło władze morskie do przedsięwzięcia oficjalnych doświadczeń z pływackimi kamizelkami, podbitymi miążem słonecznikowym; z dwiema takimi kamizelkami, przystąpiono obecnie do dłuższych, półrocznych prób na morzu.

Oprócz tak znakomitej swej zdolności pływackiej, miąż słonecznikowy ma jeszcze tę wyższość nad korkiem i sierścią jelenią, że jest produktem miejscowym, podczas gdy inne lekkie materje należy sprowadzać prawie z końca świata i zdarza się, że w razie największej potrzeby nie można ich wcale dostać. Sierść jelenia jest łatwo zapalną, zaś miąż słonecznikowy nie zapala się zupełnie, lecz tli się powoli. Przytem nowe przeznaczenie słonecznika wywoła większe jego zapotrzebowanie, a zatem i hodowla tej rośliny przynosić będzie znakomity dochód gospodarstwu rolnym. Niezależnie od powyższego nasienie (ziarnka) słonecznika wydaje doskonały olej, a kuch słonecznikowy jest znakomitą paszą dla bydła. Wreszcie i sama łodyga słonecznika może być spożytkowana do celów przemysłu papierowego.

Dodamy nadto, że miąż słonecznikowy, znajdzie zastosowanie, nie tylko przy opisanym sposobie ratowania, lecz również i przy wydobywaniu zatopionych okrętów. Ostatni cel wymagać będzie, rzecz prosta, znacznej ilości miążu, lecz nie ulega wątpliwości, że wydatek ten stokrotnie się opłaci, wartością wydobytego majątku.

Bezpieczeństwo okrętów będzie w znacznym stopniu zabezpieczone, jeżeli kadłuby ich zostaną zaopatrzone w nowy ratunkowy środek, a ostrożność ta niewątpliwie okaże się bardzo pożyteczną przeszkodą przy rozbiciu lub uszkodzeniu okrętu.

Na ciekawą tę wiadomość, uważamy za właściwe zwrócić uwagę czytelników.

Słonecznik tak łatwo wschodzi i daje się hodować, jak mało która z roślin. Do tej pory hodowano go jedynie dla nasionia, łodygi zaś przeważnie używano na opał lub rzucano w mierzwę.

Oczywiście zapotrzebowanie jako materiału bezpożytecznego do tej pory miążu słonecznikowego, przyniesie gospodarstwu rolnym niemałe korzyści, o samym zaś pożytku jaki przyniesie nowy środek, nie można ohyba wątpić.

— **Drzewa, przyciągające pioruny.** O drzewach, przyciągających pioruny, ciekawe dane zamieszcza „Journ. d'agricult. pratique“. Oddawna zauważono, że niektóre rodzaje drzew częściej, niż inne, uderzane bywają przez pioruny. Badania wykazały, że buk, brzoza i klon zabezpieczone są niemal zupełnie od uderzeń piorunów, gdy tymczasem często bardzo uderzają one w dęby, wiązy, kasztany. Inne badania, prowadzone w lasach Niemiec, — jeszcze ściślej określiły porządek tych drzew, wskazując, że najczęściej pioruny uderzają w dęby, potem — w jodły, znacznie rzadziej w sosny. Podobno bardziej są narażone na uderzenia te drzewa, które zawierają więcej krochmalu, mniej materiałów smolistych.



— Najmniejsza i największa książka.

W końcu VIII i na początku XIX wieków, ogromnie weszły w modę i rozpowszechniły się na Zachodzie miniaturowe wydania książek. Książka wielkości paznokcia dużego palca — oto ciekawa wyfigielek. Rysunek nasz przedstawia w wielkości naturalnej książeczkę, ozdobnie ilustrowaną, zawierającą kilka poematów, z portretami zmarłej królowej Wiktorji, księżny Kent, lady Blesington, Wellingtona, Bethovena i t. d. Pewien kolekcjonista paryzki posiada bibliotekę podobnych miniaturowych wydań, zawierającą około dwustu tomów. U nas w niewiele większym formacie wyszły w „brelokowem“ wydaniu niektóre z arcydzieł Mickiewicza.

Dla przeciwstawienia podajemy rysunek książki, którą śmiało jedną z największych nazwać można. Olbrzymi ten tom, wydawnictwo holenderskiej firmy księgarskiej, dosięga wielkości człowieka słusznego wzrostu. Rozumie się, że pożytek przy-

nosiły zawsze i przynosić będą jedynie nasze zwykłe książki, które nie formatem, ale treścią zdumiewają często i czarują, a zawsze są życzliwymi przyjaciółmi, nauczycielami, doradcami.

— **Kara za kradzież wody.** Dla podróżników, przebywających skwarne piaski pustyni, bez wątpienia największą klęską jest brak wody, największą męczarnią pragnienie.

To też prawa pustyni okrutnie karzą tego, co sięgnie ręką po drogocenne zapasy, co skradnie wodę, będącą własnością ogółu.

Pewien podróżnik tak opisuje wypadek, którego był nocnym świadkiem.

...Byliśmy pewni, że wszyscy, co do jednego, zginiemy w pustyni, w strasznych męczarniach pragnienia. Zapasy wody już się prawie wyczerpały. Śmierć straszna rozpościerała nad nami czarne skrzydła.

Nadeszła noc, jasna, księżycowa. Siedzieliśmy i leżeli, na pół drzemiąc, gdy nagle rozległ się okrzyk stróża żywności. Odezwiał się głos trąbki—wszyscy zerwali się na równe nogi.

Okazało się, że jeden z arabów, męczony pragnieniem przekłął drutem wór z wodą i wypił znaczną ilość wody. Nieszczęśliwy klęczał z głową spuszczoną. O przebaczenie nie biegał, wiedział, co go czeka, wiedział, że kara go nie minie.

Rzeczywiście, nie odzywając się ani słowa, czterej arabowie poczęli kopać grób. Następnie, na znak dowódcy, ujęli skazańca, związali mu ręce i nogi, i spuścili w dół. Dwóch go trzymało, dwóch zasypywało mogiłę. W pół godziny wszystko było skończone. Tylko ramiona i głowa nieszczęśliwego sterczały z pod udeptanej ziemi.

Karawana, gotowa do dalszej drogi, przechodziła wolnym krokiem mimo zakopanego żywcem. Każdy monotonnym głosem powtarzał słowa kłatwy. Najokrutniejsi, t. j. najpobożniejsi mahometanie, pluli skazańcowi w twarz i obrzucali najstraszniejszymi kłatwami.

Wreszcie wódz karawany nalał w wielką łupinę kokosową wody, zmieszanej z rumem, postawił obok zakopanego i dotykając prawą ręką jego głowy, wygłosił następującą przemowę:

„Pozbawiłeś braci napoju, sam za to umrzesz z pragnienia!

Przekroczyłeś prawa pustyni, umrzesz więc w pustyni, której nie uszanowałeś.

Niechaj przyjdzie do ciebie lew, którego drapieżność i obłudę naśladowałeś! Niech zwilży swój skrawiony język w naczyniu, które stawiam obok ciebie, niech się napatrzy na twe męki przedśmiertne, zanim czaszkę twą zdruzgocze silnemi szczękami!

Lub niech hyjena zagłuszy twoje ostatnie rżenie i napije się twojej krwi nieczystej!

Wzgardziłeś słowami boskiego proroka, więc prorok opuścił cię i przeklął!

Zegnaj, bezecny, podły człowiecze! Okup swą zbrodnię czekającą cię męką i niech ci miłościw będzie Mahomet!“

Karawana oddaliła się...

Wiele, wiele lat przeszło od tej wstrząsającej sceny, a często widzę jeszcze tam, w pustyni, ten żywy tułów wśród martwej przyrody, tego człowieka, zakopanego żywcem w piasek pustyni.

— **Ciekawe zastosowanie magnezu.** Dr. Garel (Lyon. med.) podaje bardzo zajmującą wiadomość o usunięciu gwoźdźcia z oskrzela z pomocą mocnego magnezu. Kilkoletni chłopiec połknął dość duży gwóźdź żelazny. Prześwietlenie promieni Roentgena wykazało, że gwóźdź znajduje się w prawym oskrzelu. Dr. Garel wykonał tracheotomię, ale gwoźdźcia wyjąć nie mógł. Dopiero gdy zbliżył do rany koniec silnego magnezu, gwóźdź pokazał się w ranie i z łatwością został usunięty.

— **Jad grzechotnika, jako środek leczniczy.** Jad grzechotnika, jak dowodzi „Deutsche Medicinische Wochenschrift“, posiada własność leczenia wielu chorób skórnych, między innymi trądu. Srodka tego używają powszechnie w Brazylii.

Zdarzały się wypadki uleczenia trędowatych po ukąszeniu ich przez grzechotnika, i to naprowadziło d-ra Marcondesa de Monza na myśl zbadania wpływu jadu na trąd.

Pierwszą próbą było leczenie mulatki, od lat 10 dotkniętej trądem, i znajdującej się już w stanie opłakanym. Chora zażyła jad wewnątrz, poczem choroba przestała postępować, a nawet ukazały się oznaki polepszenia. Jeszcze lepszy skutek obserwowano u 15 chorych, którym środek ten zastrzykiwano pod skórę. U tych gruczoły trądowe zaczęły niknąć, rany goiły się, nadczułość lub znieczulenie skóry ginęło—jednym słowem poprawiał się ogólny stan chorych.

Na zasadzie tych danych dr. de Monza przyszedł do przekonania, że trąd, o ile nie jest połączony z innymi chorobami, można wyleczyć systematycznym stosowaniem jadu grzechotnika.

— **Chińska Joanna d'Arc.** W kraju, gdzie stanowisko kobiety nie uległo zmianom od lat tysięcy, w kraju, o którego mury odbijały się wszelkie żywsze powiewy postępu, gdzie kobieta nie ma prawa bez pozwolenia męża przestąpić progę domu, nie wolno jej obiadować z nim przy jednym stole, nie wolno nawet odzieży wieszać na jednym gwoździu z odzieżą męża, gdzie zamknięta w 4 ścianach domu, nie myśli i myśleć nie ma prawa ani o państwie, ani o życiu społecznym, — nagle ukazuje się typ kobiety-emancypantki w jego najczystszej postaci: kobiety — mówcy narodowego.

Pod wpływem strasznych wstrząśnień, których doznało państwo Chińskie w ostatnich czasach, na głos oierpienia dzieci — obudziła się matka-kobieta z wielowiekowego letargu i nim się kieruje w swych czynach. Zagrzewa do walki z europejczykami; mowy jej są wojownicze, zacięcie fanatyczne.

Anglicy dali jej pochlebne miano ohińskiej Joanny d'Aro.

— **Fotografowanie myśli.** W wydanem niedawno dziełku Dr. Marks dowodzi, że człowiek wydziela ze siebie pewne promienie, które bywają rozmaitej formy, barwy, naprężenia i koloru, stosownie do właściwości duchowych danego osobnika, stosownie do jego myśli i uzołu. Promienie te udało się nawet utrwalić na płycie,

Więc w niedalekiej przyszłości będziemy mieli fotografów myśli ludzkich. Ha, nauka z dniem każdym posuwa się naprzód. Czekajmy!

— **Muzeum na otwartem powietrzu.** Ciekawe te muzea są zdobyczą Szwecji. Ich twórcy pragną z niezwykłą dokładnością odtwarzać zwyczaje i warunki życia swych przodków z najdawniejszych czasów. W tym celu zakupują oni stare domy i przewożą na miejsca na muzea przeznaczone. Meblują domy te podług wzorów danej epoki, nie pomijając najdrobniejszych szczegółów, aby złudzenie uczynić zupełnem. Jadalnia zdaje się być dopiero co opuszczoną przez biesiadników: przybory porozrzucone na stole w nieładzie, na ziemi leży jakaś zepsuta zabawka dziecka, jakby przed chwilą rzucona przez jej nieletniego właściciela. W sypialni łóżka niezupełnie zasłane, w kuchni nieledwie ogień się pali. Jedno z podobnych muzeów, zajmujące 231,820 kw. metrów, znajduje się w pobliżu stolicy. Na placu tym widzieć można domy, chaty wieśniacze, kościoły, — niektóre gmachy wprawdzie w kopiach, ale do złudzenia naśladowanych.

Znajduje się tu też niewielki plac tańców i estrada. W pewne dni, związane z historją kraju, odbywają się tu zabawy, które nazwać można lekcjami poglądowemi historji. Na estradzie w stroje starożytne przybrani muzykanoi, wygrywają dawno zapomniane melodie; na placu odbywają się tańce dawne. Mają tu miejsce i pochody, przedstawienia.

Towarzystwo etnograficzne szwedzkie również założyło parę podobnych, lecz mniejszych muzeów.

Ile pożytku przynoszą podobne instytucje, — pojąć łatwo.

Rady i wskazówki praktyczne.

— **Pielęgnowanie włosów.** Czystość, a więc częste zmywanie głowy letnią wodą z mydłem i wyczesywanie gęstym grzebieniem — to pierwszy warunek utrzymania i wzrostu włosów. Włosy bardzo zanieczyszczone można przemyć żółtkiem. Dzieciom należy włosy często przystrzygać, zarówno dziewczynkom, jak chłopcom, nigdy jednak przy samej skórze. Włos się głębiej zakorzenia, wzmacnia i lepiej rośnie. Wszelkie pomady i eliksiry stanowczo są szkodliwe, zawierając ostre spirytusy, stare gryzące olejki, zanieczyszczając skórę, przez co zmniejsza się jej przeziębienie. Zapiekanie włosów gorącym żelazkiem wysusza włos z tłuszczu, który się w rurce włosa znajduje; włos pryska, dzieli się, marnieje i wypada. Zawijanie w papiloty wskutek naciągania włosa, wyrwa go z cebulki, a często wraz z cebulką, a raz z cebulką wyrwany włos nigdy i niczem odrodzonym być nie może. Jeżeli wskutek cierpienia ogólnego lub umiejscowionego, włos za mało ma w sobie tłuszczu, jedynym środkiem jest użycie świeżej, niesolonej słoniny: bierze się kawałek świeżej słoniny wraz z skórką i rozczesawszy włosy, lekko nią naciskając, po włosach niby szczoteczka prowadzi. Jeśli kto ma tak zwane włosy rude, może dłuższem używaniem ołowianego grzebienia zmienić czerwonawą barwę włosa: włos czerwony zawiera w sobie wiele siarki, a ta z ołowiem chemicznie tak się łączy, iż ciemno-brunatny barwnik przedstawia.

— **Praktyczny barometr.** Przygotować roztwór z 60 gr. alkoholu, 8 gr. kamfory, 2 gr. saletry i 2 gr. salmiaku. Płyn ten wlać do flaszki wąskiej o cylindrycznej formie. Podczas suszy pozostaje on jasnym; przy zmiennej pogodzie ukazują się w środku małe gwiazdki; podczas burzy natomiast następuje nieustanne poruszanie się płynu.

— **Krem malinowy.** Wycisnąć sok z 2 funtów malin, ubić 12 jaj w dobrej szklance wina, przydawszy do tego sok i ćwierć funta cukru; postawić wszystko na żarze i rozbić na gęstą piankę. Wyłożyć krem na półmisek, nadając mu kształt upodobany. Gdy zastygnie, obłożyć malinami. Tym samym sposobem robią się kremy z innych jagód. Jeśli krem zbyt tęższe, należy dodać zaraz ciepłego mleka, lub nawet wrzącej wody, w braku mleka. Jeśli zaś krem nie gęstnieje, należy rozbić w mleku lub letniej wodzie jedno lub więcej żółtek i dodać do kremu.

Zadania do nagrody.

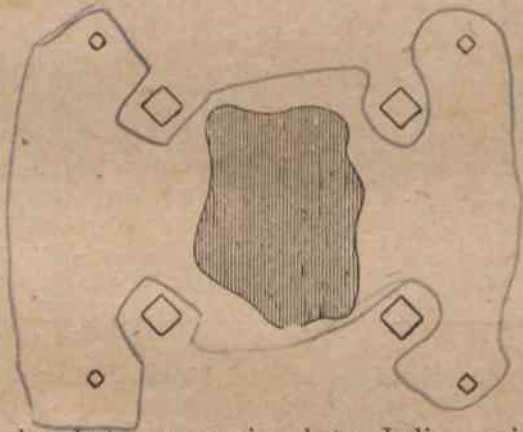
Częstokół Indjan.

Czterej Indianie zbudowali cztery chaty w pobliżu stawu, gdzie mieli wyłączne prawo połowu.

Czterej obcy koloniści przed chatami Indian zbudowali cztery drugie chaty.

Indianie tedy między chatami swoim i—obcych przybyszów, zbudowali częstokół, który odgradzał obcych od stawu, gdy sami oni mieli doń wolny dostęp.

Jaki był kierunek częstokołu?



Małe kwadraty oznaczają chaty Indian, większe—obcych przybyszów.

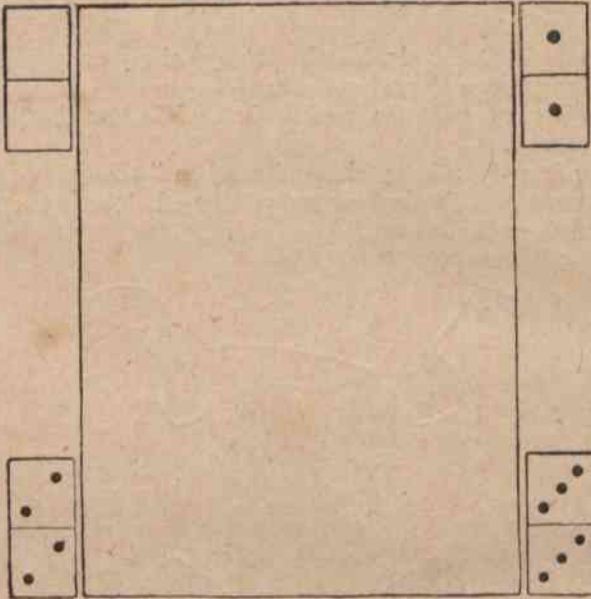
Ile kosztuje?

Jeżeli ktoś za pierwszym razem kupił 7 łokci jedwabiu i 5 łokci pluszu i zapłacił 53 ruble, a drugim razem za 8 łokci pluszu i 12 łokci jedwabiu — 88 rubli, to ile kosztuje łokieć jedwabiu i ile łokieć pluszu?

Pożądane jest, by pytanie to rozwiązane było sposobem arytmetycznym.

D O M I N O.

Ułożyć z 28 kamieni domina prostokąt, po rogach umieścić cztery podwójne kamienie, jak wyobraża nasz rysunek.



W figurze tej winno się mieścić 14 kwadratów z oczek domina w ten sposób, by znajdowały się tam dwa kwadraty z mydeł, dwa kwadraty—z jednościami, dwa—z dwójkami, dwa—z trójkami, dwa kwadraty z czwórkami, dwa—z piątkami i dwa z szóstkami.

P Y T A N I A.

I.

Który z poetów naszych w tak wzruszających zwierzeniach żalił się na sieroctwo, które go w dzieciństwie dotknęło?

„Nie wiem, czy, kto najtkliwszej miłości macierzyńskiej doznawał, mooniej czuł nademnie, co to jest matka? Imię matki od lat najmłodszych było dla mnie świętem nazwiskiem. Nie

mogłem się utulić ze smutku, który się cisnął w me serce, gdym widział lub słyszał wyrazy troskliwości i przywiązania macierzyńskiego; nieko dla matek, ale i dla współuczniów moich, których obok matek widziałem, miałem jakowys dziwny rodzaj uszanowania. Uważałem synów mających matki, choćby daleko uboższych odemnie, za jakoweś wyższe, do szczęścia od natury przeznaczone istoty. Kochałem ich więcej dla tego, że ich matki kochały. Wiele samotnych, nikomu nieznanym łez mnie kosztowało, gdym widział dziecię od matki pocałowane. Może to było dziecinne, przesadzone uczucie, ale je pojmie ten, kto lat dojrzałych doszedłszy, nie znał co to uścisk rodzicielski; pragnąłem zawsze, i mniemałem w sercu, że zasłużyłem na miłość u kogoś, ale do późnych lat, żadnej nie doświadczyłem. Nie mieć matki, która jedynie wychowanie serca dać może, nie mieć istoty, przed którą możnaby się szczerze ze wszystkimi dziecinnymi troskami, z owymi pierwszymi uczuciami wywnętrzyć, to jest, co nam najwięcej nadaje owe uczucie, w sobie samych się trawiące, ową nieśmiałość do ludzi, a najbardziej niebaczną na swoje postępowanie, od dobrych nałogów, wrażeń i przykładów zacząwszy.

Zdaje mi się, że człowieka jest potrzebą, aby kochał swą matkę; że kto jej niema, upatruje ją wszędzie i we wszystkim, chce ją sobie nahradzać. Do nieznannej matki tęsknimy w całym życiu, jak do ziemi, na której się nasze życie rozwijać poczęło, o nieznanjomej marzymy, jako o rajy obiecany i nagradzamy ją sobie tworząc o niej jak najdoskonalsze wyobrażenie: „Nie miałem matki“.

II.

Jacy znakomici wynalazcy, pochodząc ze stanu rzemieślniczego, chlubę stanowi swemu, a sławę i pożytek światu przynieśli?

III.

Jakiego wielkiego wodza — poety imię zachowała nam historja starożytna i kto wspaniałą tę postać przyswoił literaturze polskiej?

SZACHY.

Ułożył S. Loyd.

Czarne.



Białe.

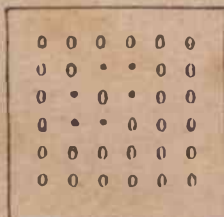
Białe zaczynają i dają mata za drugim posunięciem.

Rozwiązania.

Uwaga. Trzy nagrody, przeznaczone za najlepsze rozwiązania zadań, przyznawane są *trzem* prenumeratorom, *po jednej dla każdego* z trzech nagrodzonych.

Z e r a .

Rysunek nasz wyobraża jedno z bardzo wielu rozwiązań możliwych tego zadania.

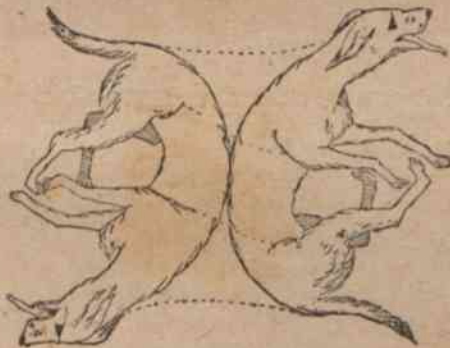


Rozwiązania nagrodzone pp.: A. Dominiak z Częstowy, Józef Laskowski z Lidy, S. Ogródowski ze Słupca. Inne dobre rozwiązania nadesłali pp.: Artymowicz z Uładówki, Antoniewski z Lublina, M. Andruszys z Łomży, Adam Bahr z Antonin, F. Balicki, Marja Bujnowska z Moskwy, Piotr Bejnar z Chełma, L. Brzozowski z Briańska, L. Biłek z Lubiasza, St. Cenzer z Łodzi, Franc. Ćwikliński z Chodowy, Jadwiga Dąbrowska z Bérdeczowa, Henryk Gorecki z Dziurszyńca, Grzegorz Giżycki z Żytomierza, Józef Godlewski z Lubar, A. Giersz z Dąbrowy, W. Gospodarczyk z Warki, L. Horowicz z Noworadomska, Stanisław Hofman z Piotrkowa, W. Hirner z Węgrowsa, Rajmund Jaworowski z Radomia, Stanisław Talat-Kiełpsz z Potoka, Ludwik Kijuć z Mazyla, Komorowski z Syrutyszek, Franciszek Krzyżewicz z Kumpik, C. Katyński z Pieniążkowa, F. Kutyłowski z Uładówki, Jan Milewski z Bieszenkowic, Aleksander Maresch, Jan Mackiewicz, K. Nieszokoć z Kowna, W. Oszczakiewicz z Czezelnika, A. Okrutnik z Serocka, Podolszyński z Łowicza, Rymaszewski z Rostowa, Józef Strzelczyk ze Szremieszyc, Józef Skalski, K. Suzin z Piotrkowa, S. Siwodiet z Wiślicy, Alina Sławoszewska z Nowosiółka, W. Tessaro z Garwolina, Jan Uhle z Zawiercia, Olimpia Widawska z Brodowa, Róża Wilkicka ze Staromyśla, Karol Wellisch, Konrad Wereszczyński z Sadanowa, M. Zdankiewicz ze Szpanowa, Tytus Zygoń, Walenty Zwoliński z Ostrowca, Henryk Zajda z Sichowa.

Ogółem rozwiązań 53.

P s y.

Na poniżej zamieszczonym rysunku linie, zmieniające psy martwe na biegnące—zakreślone są kreskami.



Rozwiązania nagrodzone pp.: Jadwiga Dąbrowska z Bérdeczowa, St. Hofman z Piotrkowa, Podolszyński z Łowicza. Inne dobre rozwiązania nadesłali pp.: M. Andruszys z Łomży, Artymowicz z Uładówki, E. Błotnicki z Lipna, F. Balicki, Marja Bujnowska z Moskwy, L. Brzozowski z Briańska, Fr. Ćwikliński z Chodowy, A. Dominiak z Częstochowy, A. Giersz z Dąbrowy Górniczej, W. Gospodarczyk z Warki, Józef Godlewski z Lubar, Grzegorz Giżycki z Żytomierza, Henryk Gorecki z Dziurszyńca, Rajmund Jaworowski z Radomia, C. Katyński z Pieniążkowa, J. Kobyliński z Radzyna, Komorowski z Syrutyszek, St. Talat-Kiełpsz z Potoka, Jan Milewski z Bieszenkowic, Alks. Maresch, Jan Mackiewicz, Adam Nejman z Puttńska, A. Okrutnik z Serocka, W. Oszczakiewicz z Czezelnika, Jan Piasecki z Gradzanowa, Rymaszewski z Rostowa, Józef Skalski, W. Tessaro z Garwolina, Jan Uhle z Zawiercia, Karol Wellisch, Róża Wilkicka ze Staromyśla, Konrad Wereszczyński z Satanowa, Olimpia Widawska z Brodowa.

Ogółem, rozwiązań 36.

Zgubiona sakiewka.

Liczba srebrnych rubli, które znajdowały się w zgubionej sakiewce, winna dzielić się na 7, prócz tego, podzielona przez 2, 3, 5—da w reszcie 1.—Najmniejszą więc liczbą może być 31, największą 99 (jest to warunkiem zadania). Więc w granicy tych dwóch liczb należy znaleźć taką, która dzieliłaby się bez reszty na 7.

Liczbą tą jest 91.

Rozwiązania nagrodzone pp.: Jan Milewski z Bieszenkowic, Henryk Zajda z Sichowa, Walenty Zwoliński z Ostrowca. Inne dobre rozwiązania naaestali pp.: M. Andruszys z Łomży, Adam Bahr z Antonin, E. Błotnicki z Lipna, F. Balicki, Marja Bujnowska z Moskwy, Piotr Bejnar z Chelma, L. Brzozowski z Brińska, L. Bilek z Lubaszowa, Fr. Ćwikliński z Chodowy, A. Dominiak z Cząstochowy, Jadwiga Dąbrowska z Berdyczowa, W. Gospodarczyk z Warki, Józef Gotlewski z Lubar, Grzegorz Giżycki z Żytomierza, Henryk Gorecki z Dziurszyńca, W. Hinner z Węgrowa, Stanisław Hofman z Piotrkowa, L. Horowicz z Noworadomska, Rajmund Jaworowski z Radomia, Stanisław Taat-Kielpsz z Potoka, Ludwik Kijuć z Mazyla, Komorowski z Surutyszek, Franciszek Krzyżewicz z Kumpik, C. Katyński z Pieniążkowa, F. Kutylowski z Uładówki, Józef Laskowski z Lidy, Jan Mackiewicz, Aleksander Maresch, K. Nieszokoć z Kowna, Adam Nejman z Pultuska, S. Ogródowski ze Słupca, A. Okrutnik z Serocka, W. Oszczakiewicz z Czelnika, Podolszyński z Łowicza, Rymaszewski z Rostowa, Józef Strzelczyk ze Strzemieszyc, Józef Skalski, A. Siwodiet z Wiśnicy, W. Tessaro z Garwolina, Jan Uhle z Zawiercia, Olipja Widawska z Brodowa, Róża Wilkicka ze Staromysła, Karol Wellisch.

Ogółem, rozwiązań 47

Rozwiązanie szachów.

Białe.

1. Dama D 6 — F 8

2. Skoczek E 4 — F 2

Albo:

1. . . .

2. Skoczek E 4 — C 3

Albo:

1. . . .

2. Skoczek B 4 — D 3

Czarne.

1. Pion G 2 — G 1

(Dama lub skoczek).

Mat.

1. Skoczek A 2 — C 3

Mat.

1. D 2 — D 1 (Dama)

Mat.

Rozwiązanie nadał p. Jan Uhle z Zawiercia.

Odpowiedzi na pytania, zamieszczone w numerze lipcowym „Miesięcznika.

I.

W numerze zeszłym podaliśmy urywek satyry Konstantego Gaszyńskiego († 1866) pod nagł. „Gra i karciarze“. Satyra ta

naprowadzona była na konkursie poznańskiego towarzystwa przyjaciół nauk.

Prawie jednocześnie Juljan Ursyn Niemcewicz (1757—1841) w pisanej w Ameryce poeemie swej, p. n. „Cztery pory życia ludzkiego“, poświęcił również graczom kilka jej wierszy, które tu przytaczamy:

Na widok kupy złota, już ochciwości rządu
 Pożera graczków w koło stolika zasiadłych.
 W twarzach ich raz ognistych, drugi raz wybladłych,
 Trwoga w nadzieję, radość w rozpacz się zamienia,
 I serce bije podług karty pościągnięcia.
 Noc bezsenna, i światło gdy zorza przywodzi
 Ten, co usiadł bogaczem, ubogim odchodzi.
 Niewczesne żale z zdrowia, i chwil drogich stratą.
 Nędzna starość niebaczonej młodości zapłatą.

A oto co mówi o kartach Stan. Szczepanowski:

„Od dzieciństwa karty uważałem, jako oznakę bezmyślności i idjotyzmu, bo przecież wynalezione zostały dla idjotycznego króla francuzkiego, Karola VII, który się niemi idjotycznie zabawił, podczas kiedy Anglicy już mu prawie całe królestwo zabrali.“

II.

Podług *pessimistów* świat jest zasadniczo i rdzennie zły, byt jego jest warunkiem niedorzeczności, bezładu, cierpienia i zbrodni. U wielu ludzi pesymizm jest skutkiem temperamentu lub charakteru. Tacy patrzą na świat czarno, podobnie jak inni znów różowo. Tutaj się zalicza pesymizm poetów takich, jak Bajron, Leopardi, pani Ackerman, którzy starają się rozumować i usprawiedliwiać swoje wyrzekania na świat. W Indjach zrodziła się *religia pessimistyczna* — budaizm; podług Sakya - Mouni świat jest złudzeniem, marzeniem bez celu i kresu. Prawo bytu jest prawem cierpienia. Aby uniknąć cierpienia, należy stłumić w sobie pragnienie życia. Przez wyrzeczenie się wszystkiego, osiąga się jedyną możliwą szczęśliwość, to jest unicestwienie — nirwanę. Podobne nauki głosili w Niemczech: Schopenhauer, Hartmann i Bahnsen.

Optymizm twierdzi, że świat jest dobry, że życie ma cel i wartość, że się opłaci trud życia. Tę zasadę wyznawali Sokrates, Platon aż do Bossueta, Fenelona, Leibnitza. „Nasz świat jest najlepszy“ — twierdzi Leibnitz. Usuńmy jednak którąś z niedoskonałości świata, jak naprz. klęski, choroby, cierpienie, grzech, lub śmierć; a ten *najlepszy* rzekomo świat wszak jeszcze lepszy? Choroba i klęski dla tego są nam przykre, że sprawiają

cierpienie. Cierpienie jest następstwem świadomości, cierpienie ją budzi i wzmacnia. Jest ono bodźcem postępu. Rozwija ono energję moralną, cierpliwość, odwagę, wszystkie zalety siły, a jednocześnie przez sympatję, którą w nim budzi dla bliźnich, rozwija także miłosierdzie, poświęcenie, miłość bliźniego, wszystkie cnoty łagodności. Jak usprawiedliwić grzech? Grzech jest skutkiem używania wolności. Świat bez wolności byłby maszyną, automatem, niezdolnym źle ozynić, nie byoby więc i cnoty. A zło, wytworzone przez wolność, daje się zawsze naprawić i odrobić.

A śmierć?... Ludzie ukazują się na chwilę, cierpią, walczą za dobro lub zło, i giną. Świat, który dąży do ideału, aby go zaprzepaścić w nicłość, jest niedorzecznością. Ale dusza jest nieśmiertelną, a nieśmiertelność duszy jest najwyższem usprawiedliwieniem Boga.

Oto są główne różnice w zapatrywaniu się na świat i życie, pesymistów i optymistów. Pierwsi wcale dobra nie widzą, drudzy zdają się nie dostrzegać zła.

III.

Praksyteles urodził się w Wielkiej Grecji około 360 r. przed Chrystusem. Prace tego rzeźbiarza były tak doskonałe, że on jeden był zdolny tylko oceniać ich wartość. Praksyteles pozwolił piękności greckiej, Fryne, wybrać ze wszystkich dzieł jego dłuta to, która jej się podoba. Żeby się dowiedzieć, która z jego statuj najcenniejsza, użyła podstępu. Gdy Praksyteles był u niej, wbiegł niewolnik z okrzykiem, że pracownia jego znajduje się w płomieniach. „Ratujcie amorka i satyra“ — zawołał przerażony artysta. — „Biorę amorka“ — rzekła ze śmiechem Fryne, rozumiejąc, że tę pracę mistrz najbardziej cenil. Dzieła Praksytelesa zaginęły; doszło tylko do nas imię jego.

ODPOWIEDZI.

PP. Bronisław Kulesza, Gabriela Janas, Jan Żmujdzinowicz, Władysław Pożaryski—rozwiązania spóźnione. Ostatni termin—d. 23 każdego miesiąca.

P. Borowski w Rydze. Książkę nam zwrócono z poczty. Prosimy o dokładniejszy adres.

P. Wilawski w Brodowie, st. Ozenin. Książki na pocztę ni: przyjęto. Prosimy o dokładniejszy adres, resp. stację pocztową.